1 LISTOPADA
Życie wieczne na co dzień

POLOWANIE NA ZIOBRĘ
PiS wygrało wybory, teraz szuka winnych

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI
Filmowa opowieść o zaangażowaniu reportera

SŁOMKOWY ZAPAŁ
Ekologiczne porywy sumień nie pomogą planecie

Kraków 4 listopada 2018 nr 45 (3617) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Elżbieta Moczarska:

Moja piękna żałoba

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

„Tygodnik” + książka

UDANE POŁĄCZENIE!

Książka ks. Adama Bonieckiego „Połączenie odebrane”▪ W PREZENCIE – dla każdego, kto wykupi do 30 listopada 2018 DOWOLNĄ▪▪ prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”!

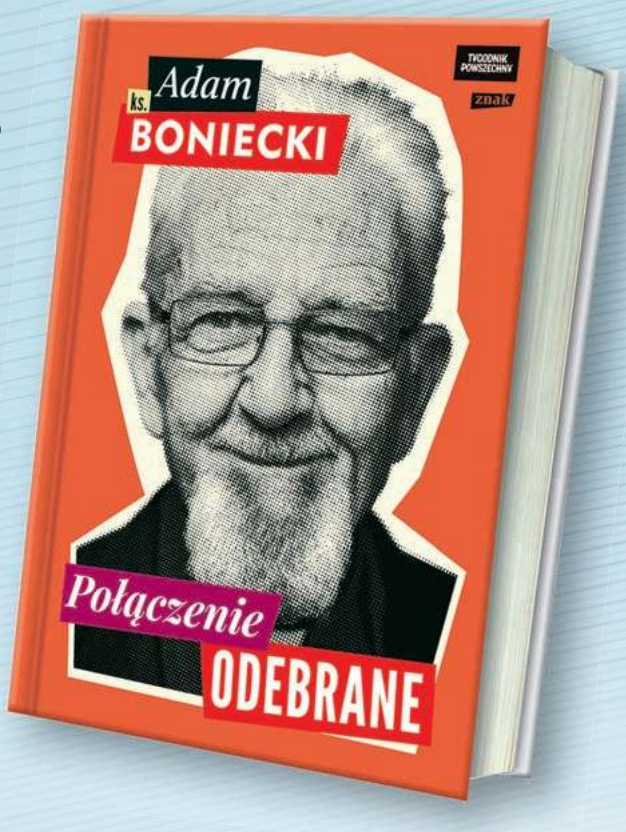

▪ „Połączenie odebrane”, rok wydania: 2018, cena katalogowa – 39,90 pln, stron 224. Wysyłka książki będzie realizowana w styczniu 2019 bez dodatkowych opłat.

▪▪ Aby skorzystać z oferty, należy do 30 listopada 2018 opłacić (wykupić nową lub przedłużyć na kolejny okres) dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”. Cennik i zasady zakupu prenumeraty opisane są poniżej.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł ▪	

▪ Oferta POKOLENIA 300 zł na rok

Niższa cena za roczną prenumeratę ekonomiczną dla osób, które w dniu zakupu są w wieku poniżej 25 albo powyżej 65 lat.

(Uwaga! zastrzegamy sobie prawo do weryfikacji prawa do ulgi.)

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

znak

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Zmienia się, ale się nie kończy*

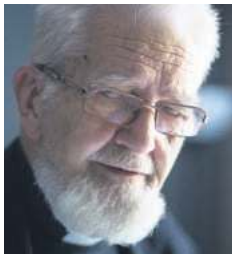

Kiedy myślę o Dniu Zadusznym, słyszę w głowie piosenkę Jana Krzysztofa Kelusa „Zaduszki": „Dla wygody nas – żywych / wstrzymano pogrzeby by nie popsuł święta / zbyt świeży ból (Tutaj postaw kwiat!) / wracając można patrzeć w lewo – w prawo / co mu postawili – co mu napisali / ile miał lat / ile miał lat". I zaraz się włącza inny śpiew, poważny, gregoriański: „Albowiem życie Twoich wiernych, o Panie, zmienia się, ale się nie kończy, i gdy rozpadnie się dom doczesnej pielgrzymki, znajdą przygotowane w niebie wieczne mieszkanie" (1. prefacja o zmarłych).

Na rzymski cmentarz Prima Porta można wjeżdżać samochodem. Nawet trzeba, bo cmentarz jest olbrzymi. Kiedyś widziałem tam taką scenę: wykopany grób, trumna, modlący się ludzie wokół grobu i nagle... stop. To nie ten grób. Bo ten jest dla kogoś innego. Modlitwy stop, przemówienia stop. Zmarły do karawanu, żywi do samochodów i za chwilę jeszcze raz, wszystko od początku: „Wypełniając chrześcijański obowiązek pogrzebania ciała ludzkiego, z wiarą błagajmy Boga...".

Czy gdyby nie odkryto pomyłki na czas, byłby to dla Twoich wiernych, o Panie, poważny błąd? Przecież ważne jest wieczne mieszkanie w niebie, nie grób. Wybacz, Panie, ale dla Twoich wiernych nie jest jednak obojętne „co mu postawili, co mu napisali, ile miał lat".

Opowiadał mi kiedyś w Rwandzie biskup Fokas Nikwigize (drugie pokolenie chrześcijan w tym kraju; kiedy po wojnie wracał z wygnania, został na granicy uprowadzony i zamordowany), jak podczas pierwszego w życiu pobytu w Europie zaskoczyła go ponurość naszych pogrzebów. U nas – mówił – na pogrzebach jest tak: „On umarł i jest u Boga. My żyjemy, więc cieszmy się". Z braku logiki wiary rozgrzesza nas sam Jezus, płacząc nad grobem Łazarza. Płaczemy. Trudno prowadzić pogrzeb kogoś bliskiego. Czytasz modlitwę albo zaczynasz mówić i nagle głos ci się łamie, tekst z modlitewnika przysłaniają łzy.

Żałoba – bo chcę pisać o żałobie – to stan po śmierci kogoś bliskiego, szok i ból. Rozsypuje się nam dotychczasowy sposób istnienia. Nawet wtedy, gdy było wiadomo, że śmierć przyjdzie, nie mówiąc o nagłej i niespodziewanej. Czas żałoby został tradycyjnie określony: rok i sześć tygodni po śmierci współmałżonka, po śmierci krewnych różnych stopni sześć miesięcy, trzy... Pamiętam czas, gdy tych miar się przestrzegało. Pamiętam, jak w latach okupacji widywało się na ulicy wdowy po rozstrzelanych mężach: w czerni, w żałobnych welonach. Mężczyźni na znak żałoby nosili na rękawie czarną opaskę, czasem w klapie marynarki cienkie czarne wstążeczki. Dlaczego? Żeby rozpoznać. Bo ból człowieka w żałobie zasługuje na szacunek.

Śmierć bliskich, śmierć ludzi, których kochamy, tych, których istnienie było cząstką naszego istnienia, to przedsmak własnej śmierci. Nikt i nic tej przestrzeni nie wypełni. Z ich odejściem jesteśmy już kimś nieco innym. Tej żałoby nie kończą żadne miesiące ani nawet lata.

A wiara? Egzystencjalnie najważniejszymi artykułami wyznania wiary są „wierzę w żywot wieczny", „świętych obcowanie" „ciała [mojego!] zmartwychwstanie". I oczywiście artykuł, na którym tamte się opierają: wierzę, że „umarł i trzeciego dnia zmartwychwstał".

Być może już towarzysząca ludzkości tęsknota za życiem wiecznym jest łaską wiary. Odpowiedzią będzie ryzyko zaufania, które może się stać doświadczeniem wiary. Wtedy mniej ważne będzie „co mu postawili, co mu napisali", ale ta przedziwna (tak!) pewność, że jednak „życie Twoich wiernych, o Panie, zmienia się, ale się nie kończy". ©℗

TP

10 lat Centrum Kopernika!

Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych zostało powołane w październiku 2008 r. z inicjatywy ks. prof. Michała Hellera, który przeznaczył na jego ufundowanie otrzymaną w tym samym roku Nagrodę Templetona.

Centrum prowadzi badania naukowe na pograniczu nauk empirycznych, filozofii i teologii, popularyzuje naukę w seriach wykładów, debat oraz dodatków do „Tygodnika Powszechnego", a z Fundacją Tygodnika Powszechnego współorganizuje Copernicus Festival. Pod auspicjami Centrum działają: Copernicus College, księgarnio-kawiarnia De Revolutionibus i oficyna Copernicus Center Press.

We wrześniu 2014 r. Fundacja Centrum Kopernika objęła 18 proc. udziałów w spółce Tygodnik Powszechny sp. z o.o., w której pozostałe 82 proc. należy do Fundacji Tygodnika Powszechnego.

Misją Centrum Kopernika, wyrastającą z krakowskich tradycji filozoficznych, jest ukazywanie nauki jako istotnej i integralnej części kultury.

Naszym Przyjaciołom z Centrum Kopernika życzymy stu lat!

Redakcja i Wydawca „Tygodnika Powszechnego"
Fundacja Tygodnika Powszechnego

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Sezon polowań na Ziobrę
ANDRZEJ STANKIEWICZ *Rozliczenia po wygranej w wyborach samorządowych, która w PiS jest odbierana jako porażka, mogą być krwawe.*

72 Confusão znaczy zamęt
ADRIAN STACHOWSKI *Tak jak najbardziej znane książki Kapuścińskiego, film o nim miesza fakty i niefakty. Splot dokumentu i animowanej fikcji tworzy atrakcyjną i inspirującą opowieść – ale dokument uwiarygadnia fikcję.*

26 Widzę Polskę bez smogu
ROZMOWA Z MICHAŁEM ZADARĄ, REŻYSEREM TEATRALNYM: *Piszę wspólnie z ekspertami obywatelską ustawę antysmogową. Marzy mi się kraj, w którym nasze dzieci nie muszą biegać w maskach do szkoły.*

32 Owoce śmierci
Z ELŻBIETĄ MOCZARSKĄ ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA: *Urządziłam przyjęcie, na którym częstowałam kompotem z grobu Moczarskich. Goście rozluźnili się, kiedy zobaczyli, jaka to dla mnie radość, że mogę ich nakarmić tymi śliwkami.*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Firma państwowa, taka jak PLL LOT, powinna błyszczeć przykładem i stanowić wzór z Sèvres dla dialogu społecznego – **RAFAŁ WOŚ** *w nowym internetowym cyklu komentuje sprawę LOT-u, który wystąpił przeciwko regułom ochrony pracowników.*
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Strona świata
Rodzinny dom birmańskiej przywódczyni Aung San Suu Kyi, który przez prawie 20 lat służył jej za areszt, ma zostać wystawiony na sprzedaż – **WOJCIECH JAGIELSKI** *o willi nad jeziorem, która przez lata była oazą wolności w krainie tyranii.*
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

86 Słomkowy zapał
MARCIN NAPIÓRKOWSKI *Pomagamy, żeby poczuć się lepiej czy żeby zmienić świat na lepsze? Uspokajamy wyrzuty sumienia czy przyjmujemy odpowiedzialność za świat, w którym żyjemy?*

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA // STANISLAV KOMOGOROV / STOCK.ADOBE.COM // MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP" // PIOTR DZIURDZIA // NEXT FILM

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Synod o młodzieży
EDWARD AUGUSTYN

7-11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK /O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Sezon polowań na Ziobrę
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Widzę Polskę bez smogu
ROZMOWA Z MICHAŁEM ZADARĄ

28 Ambasada pod lipą
JACEK GĄDEK: *Nad budową polskiej placówki w Berlinie wisi fatum*

■ ■ Z ODDECHEM

32 Owoce śmierci ROZMOWA Z ELŻBIETĄ MOCZARSKĄ

■ ■ WIARA

38 Diecezja obiecana
STANISŁAW ZASADA: *Czy w Łodzi uda się zbudować nowy model Kościoła?*

42 Już nigdy się nie poddam
ROZMOWA Z JOELLE CASTEIX, AKTYWISTKĄ DZIAŁAJĄCĄ NA RZECZ OCHRONY OFIAR PEDOFILII

45 Na równi z apostołami
HENRYK PIETRAS SJ *o książce „Emancypantki. Kobiety, które zbudowały Kościół"*

47 Marzenia starców
EDWARD AUGUSTYN

■ ■ ŚWIAT

48 Trump traci Kalifornię
MARTA ZDZIEBORSKA

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

12 W gościnie u zmarłych
ROZMOWA Z KS. GRZEGORZEM STRZELCZYKIEM, TEOLOGIEM:
Sąd ostateczny to moment, kiedy spojrzymy sobie wszyscy w oczy, wiedząc, dokąd doszło nasze dobro i nasze zło. Nastąpi totalne ujawnienie wszystkiego. Dzień wielkiego wstydu.

17 Źródło już bije
PIOTR SIKORA
Dobra Nowina zdumiewa: głosi, że na życie wieczne nie trzeba czekać ani chwili.

HENRYK SADURA / GETTY IMAGES

■ DODATEK SPECJALNY ■
ARS CAMERALIS

■ FELIETONY ■
31 ANNA DZIEWIT-MELLER ▪ **58** ANDRZEJ STASIUK ▪ **85** PAWEŁ BRAVO ▪ **90** STANISŁAW MANCEWICZ ▪ **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ELŻBIETA MOCZARSKA
Fot. Maciej Zienkiewicz dla „TP"
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

52 Niechętny hegemon
ROZMOWA Z ROBINEM ALEXANDREM: *Niemcy i Polacy wspólnie chcą, by USA nie opuszczały Europy*

56 Ojczyzna tymczasowa
WOJCIECH PIĘCIAK: *Tatarzy krymscy otworzyli swoje centrum kulturalne w Drohobyczu na zachodniej Ukrainie*

■ ■ HISTORIA

60 Wojna galicyjska
TADEUSZ A. OLSZAŃSKI *o pierwszym konflikcie zbrojnym odradzającej się RP*

■ ■ NAUKA

64 Muzeum na dnie
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Dwa kilometry pod powierzchnią Morza Czarnego leży statek z czasów bliskich „Odysei"*

■ ■ KULTURA

72 Confusão znaczy zamęt
ADRIAN STACHOWSKI

76 Kryształowa pułapka ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Dziedziczki"*

78 Requiem dla nas KAJETAN PROCHYRA: *W „Requiem pour L." muzyka zwycięża śmierć*

80 Chwała nadmiaru ROZMOWA Z KRISTINĄ SABALIAUSKAITĖ, PISARKĄ: *Potrzebujemy bólu, by nie powtarzać własnych błędów z przeszłości*

84 Warto zobaczyć w TV

84 Olimpijczyk na froncie LEKTOR *o książce „Niemieccy słuchacze! Przemówienia radiowe z lat 1940–1945" Thomasa Manna*

■ ■ ZMYSŁY

86 Słomkowy zapał
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

SYNOD DLA KAŻDEGO

„Dokumentów mamy wiele, kolejny też niewiele zmieni" – przestrzega Franciszek. Dla niego zakończony właśnie synod o młodzieży dopiero się zaczyna.

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

MASSIMILIANO MIGLIORATO / CPP / POLARIS / EAST NEWS

Papież wśród biskupów na synodzie, Watykan, 25 października 2018 r.

Końcowy dokument jest jak katalog IKEA – powiedział dziennikarzowi agencji AFP jeden z biskupów biorących udział w synodzie. – Każdy znajdzie w nim coś dla siebie". Nie mogło być inaczej, skoro jego tematem były problemy młodzieży – a więc całego świata.

XV zwyczajny synod biskupów zakończył się w niedzielę 28 października. W sobotnie popołudnie odbyło się głosowanie nad dokumentem końcowym, który wyznacza najważniejsze etapy duszpasterskiej pracy z młodymi ludźmi. Znajdziemy w nim fragmenty o miłości, czystości, rodzinie, powołaniu, wychowaniu i wolontariacie; o wojnie, emigracji i ksenofobii, o pracy, kulturze i internecie. Większość zagadnień przechodziła przez głosowania gładko. Jedynie kilka okazało się dla synodalnych ojców kontrowersyjnymi.

Przede wszystkim – homoseksualizm. Nie był to najważniejszy temat synodu. W dokumencie końcowym, liczącym 167 paragrafów, termin ten pojawia się raptem trzy razy, w dodatku w ujęciu nieodbiegającym od obowiązującej doktryny. Mimo to fragment zachęcający do „towarzyszenia w wierze osobom homo-

seksualnym” i do „pogłębionego studium antropologicznego, teologicznego i duszpasterskiego” nad płciowością i seksualnymi skłonnościami wzbudził najwięcej zastrzeżeń (65 głosów przeciw na 248 głosujących). Z oporami przegłosowano też paragrafy dotyczące etyki seksualnej i „teologii ciała” (43 głosy na „nie”), zawierające słowa „singiel” do opisu życia samotnego (29), czy wyrażające skruchę za przestępstwa seksualne w Kościele (31). Nie spodobały się też biskupom akapity mówiące o roli kobiet i dopuszczeniu ich do procesów decyzyjnych (38).

W tej ostatniej kwestii synod mógł być naprawdę rewolucyjny. Ciekawie było obserwować, jak zmienia się nastawienie biskupów do kwestii równych praw kobiet. W teorii wszyscy są za, ale w praktyce – także synodalnej – bywa inaczej. Prawo głosu przysługiwało tylko mężczyznom – także tym, którzy nie byli biskupami, a nawet nie mieli święceń, jak dwóch braci zakonnych, przełożonych generalnych zgromadzeń. Nie miały go natomiast siostry zakonne, pełniące w Kościele taką samą funkcję. Walka o równouprawnienie zaczęła się skromnie, od protestu kilku kobiet na placu św. Piotra. Z każdym dniem zdobywała coraz większe poparcie. Zasad głosowania jednak nie zmieniono.

Nie byłoby dobrze, gdyby przyjęty na koniec dokument był jedynym rezultatem synodu – przestrzegał przed tym papież po zakończeniu głosowania. Mówił: „Dokumentów mamy wiele, kolejny też niewiele zmieni”. W jego przekonaniu synod o młodzieży dopiero się zaczyna. Jego uczestnicy – 160 biskupów z ponad 5 tysięcy, którymi dysponuje Kościół – będą teraz musieli przekonać swoich braci w episkopacie i księży w diecezji, że młodzi ludzie mają do spełnienia ważniejsze role niż bycie dekoracją na kościelnych uroczystościach. Że są pełnoprawnymi członkami wspólnoty. Że duszpasterstwo polega na tym, by im cierpliwie towarzyszyć, choćby szli w złym kierunku, jak uczniowie w drodze do Emaus. I że chrześcijaństwo, jakim żyją w swoich krajach – nie jest jedynym możliwym chrześcijaństwem. ©℗

Bartłomiej nie boi się Moskwy

WIKIPEDIA.ORG

„CZY TO SIĘ PODOBA naszym braciom rosyjskim, czy nie, wcześniej czy później będą wykonywać postanowienia [o autokefalii dla ukraińskiego prawosławia], bo nie mają innego wyjścia” – mówił 21 października patriarcha Konstantynopola Bartłomiej I (na zdjęciu). „Nasi bracia Słowianie nie mogą ścierpieć pierwszeństwa Patriarchatu Ekumenicznego i greckiego narodu w prawosławiu” – dodał. Zaznaczył, że dobrze wie o rosyjskiej „czarnej propagandzie” wymierzonej przeciw niemu (Patriarchat Moskiewski współpracuje tu z reżimem Putina).

Bartłomiej po raz pierwszy skomentował postępowanie Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, który zerwał wspólnotę eucharystyczną z Konstantynopolem, wchodząc na drogę schizmy (i wycofał się też z dialogu z katolicyzmem). Rosyjski patriarcha Cyryl ma nadzieję, że większość księży Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego nie przejdzie do cerkwi autokefalicznej. Patriarchat Konstantynopola natomiast nie zamierza zrywać łączności eucharystycznej z RKP i nadal będzie wymieniał podczas liturgii imię Cyryla.

Decyzję o rozpoczęciu procedury udzielania niezależności ukraińskiemu Kościołowi podjęto 11 października. ©℗ MAM

Współodpowiedzialność za krzywdę

ARTUR SPORNIAK

Aż 80 procent Polaków uważa, że Kościół powinien ponosić finansową odpowiedzialność za czyny księży pedofilów – wynika z sondażu przeprowadzonego na zlecenie TVN po tym, jak sąd w Poznaniu przyznał ofierze księdza pedofila milion złotych zadośćuczynienia oraz dożywotnią rentę.

Przełożeni kościelni interpretują prawo tak, by uniknąć finansowej odpowiedzialności. Ale czy to jest sprawiedliwe i ostatecznie dobre dla Kościoła? Ksiądz nie jest zwykłym pracownikiem, on nigdy nie jest „po godzinach pracy”. Jeśli przestępca seksualny wykorzystał fakt, że jest duchownym, jeśli na dodatek nie został poddany weryfikacji podczas formacji, trudno utrzymać linię obrony o braku współodpowiedzialności Kościoła. Poza tym najważniejsza powinna być ofiara. Zrobienie wszystkiego – także finansowo – by pomóc jej wrócić do normalności, to ewangeliczny obowiązek. Nie można mówić o sprawiedliwości, gdy Kościół unika finansowej odpowiedzialności – zwłaszcza że w przypadku Poznania chodzi o zakonnika, który, ślubując ubóstwo, przekazał Kościołowi wszystko, co posiadał. ©℗

W SKRÓCIE

REAKCJA. „Szkoła nie jest i nie może być miejscem na jakiekolwiek propagowanie środowisk LGBTQ” – napisała w oświadczeniu Komisja Wychowania Katolickiego Konferencji Episkopatu Polski. Biskupi uważają, że „sprawy kształcenia i wychowania powinny być jak najbardziej odległe od koniunktur politycznych i ideologicznych”. Jest to reakcja na „Tęczowy Piątek” – akcję zorganizowaną 26 października przez Kampanię Przeciw Homofobii w ponad 200 szkołach, mającą na celu propagowanie akceptacji i otwartości wobec uczniów identyfikujących się z LGBTQ. Autorzy oświadczenia nie wspomnieli o obecnym w nauczaniu Kościoła wezwaniu do unikania jakichkolwiek oznak dyskryminacji.

AKCJA. Na znak solidarności z migrantami i uchodźcami przed bazyliką św. Piotra w Watykanie i wzdłuż ulicy Via della Conciliazione stanął 270-metrowej długości „stół solidarności”, przy którym posiliło się ok. 650 potrzebujących osób. Rzym „nie boi się różnic religijnych i kulturowych, ale przyjmuje je jako bogactwo” – wyjaśniała jedna z organizatorek. W akcję zaangażowało się ponad 70 różnych organizacji, w tym Kościoły ewangelickie oraz muzułmanie.

NAGRODA. Prof. Adam Strzembosz został laureatem nagrody „PONTIFICI – Budowniczemu Mostów” przyznawanej przez Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Nagroda, ustanowiona w 2006 r. na 50-lecie istnienia Klubu, przyznawana jest „za zasługi w szerzeniu wartości dobra wspólnego, dialogu i poświęcenia na rzecz bliźnich”.

MODLITWA. Mężczyźni nie wstydzą się modlitwy – pokazanie tego miała na celu akcja zorganizowana przez salezjanów w Krakowie. Po mszy odprawionej w kościele św. Piotra i Pawła blisko stu mężczyzn przeszło przez centrum miasta, odmawiając różaniec. „Chodzi o to, by dać świadectwo ludziom, że są mężczyźni, którzy wierzą i kochają Matkę Bożą, oraz że różaniec nie jest dla starszych osób, ale dla wszystkich” – mówił jeden z salezjanów. Podobna akcja odbyła się wcześniej w Warszawie.

Franciszek: z miłością nie ma zabawy

CZŁOWIEK POTRZEBUJE miłości bezwarunkowej, a kto nie otrzymuje tej akceptacji, nosi w sobie pewną niekompletność, często o tym nie wiedząc – mówił papież Franciszek podczas środowej audiencji ogólnej. – Ludzkie serce próbuje wypełnić tę pustkę namiastkami, godząc się na kompromisy i przeciętność, które z miłości mają jedynie miły posmak".

Papież rozpoczął katechezy o VI przykazaniu „Nie będziesz cudzołożył" w ramach cyklu o dziesięciu przykazaniach. Franciszek nie tylko przenikliwie mówił o miłości między dwojgiem osób, był także bardzo konkretny, jeśli chodzi o przygotowania do małżeństwa: „Przed zawarciem sakramentu małżeństwa konieczne jest dokładne przygotowanie, powiedziałbym swego rodzaju katechumenat. W grę wchodzi bowiem całe życie w miłości, a z miłością nie ma żadnych zabaw. Nie można nazwać przygotowaniem do małżeństwa trzech czy też czterech konferencji wygłoszonych w parafii. To nie jest przygotowanie! To udawanie przygotowania, a odpowiedzialność za takie działania ponoszą proboszcz, biskup, którzy na to pozwalają".

Polscy biskupi pracują nad nowym Dyrektorium Duszpasterstwa Rodzin, które ma uwzględniać postulaty papieża. Na razie nie wiadomo, kiedy ono powstanie. ©℗ ARTUR SPORNIAK

FUNDACIÓN RAMÓN PANÉ

Święci zamiast pokemonów

APLIKACJĘ „FOLLOW JC GO", inspirowaną „Pokemon Go", pobłogosławił Franciszek podczas spotkania z jej twórcami z amerykańskiej fundacji Ramón Pané. Program umożliwia „wyłapywanie świętych" podczas spaceru ulicami miasta. Aby ich zwerbować do drużyny ewangelizacyjnej, należy odpowiedzieć na pytania o ich biografie. Gracz kolekcjonuje także tablice Mojżeszowe czy różańce, które pozwalają podbić statystyki. Służy też temu wirtualna waluta, którą się zdobywa, przekazując pieniądze na cele charytatywne. Gra powstała z myślą o Światowych Dniach Młodzieży w Panamie. Jest dostępna na iOS i Androida, na razie w wersji hiszpańskiej, a wkrótce po angielsku, portugalsku i włosku. ©℗MAM

W SKRÓCIE

PYTANIA PREZYDENTA. „Wielu ludzi zadaje sobie pytanie, dlaczego UE zabrania tego, zabrania tamtego. Dlaczego np. w sklepie nie można w tej chwili kupić już zwykłej żarówki, można kupić tylko żarówkę energooszczędną?" – mówił Andrzej Duda na spotkaniu w Berlinie, dodając, że „to są problemy, nad którymi zastanawiają się ludzie" i że nie wie, czy „to przypadkiem nie jest jedna z przyczyn Brexitu". Prezydent nazwał to niedosytem demokracji, ale można też mówić o niedosycie wiedzy: że stare żarówki zużywają prawie 7 razy więcej energii niż ich nowsze odpowiedniki i dużo szybciej się psują.

ODPOWIEDZI BYŁEGO PREZYDENTA. Wielu ludzi zadaje sobie też pytanie, kto weźmie udział w obchodach rocznicy 100-lecia niepodległości. „Nie spieszył się pan prezydent z zaproszeniami, niech się nie spieszy, czekając na odpowiedź" – powiedział poprzednik Andrzeja Dudy, Bronisław Komorowski, dodając, że nie podjął jeszcze decyzji, czy przyjdzie na uroczystości. „Nie jest tak, że wczoraj były »zdradzieckie mordy« i »drugi sort«, teraz staniemy 11 listopada koło siebie, a jutro znowu będziemy opluwani" – powiedział w Radiu Zet.

OBIETNICE BYŁEGO MINISTRA. Raport o przyczynach katastrofy zostanie przedstawiony w czasie nie dłuższym niż za rok – powiedział Antoni Macierewicz, szef istniejącej wciąż podkomisji smoleńskiej, a my spróbowaliśmy policzyć, ile razy składał podobną deklarację, i się nam nie udało.

HAMULCE RZĄDOWEGO AUTA. Nie udało nam się również policzyć, ile razy w trakcie rządów PiS doszło do kolizji, wypadku lub stłuczki z udziałem samochodu Służby Ochrony Państwa, ale wiemy, że w miniony czwartek listę wydłużyła kolumna wioząca na weekend wicepremier Beatę Szydło: dwa rządowe samochody najechały na zatrzymującego się przed przejściem dla pieszych peugeota, a funkcjonariusz, który spowodował wypadek, zapłacił 220 zł mandatu i otrzymał 6 punktów karnych.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Rzecznik praw dziecka – farsa trwa

PIĄTKOWE GŁOSOWANIE SENATORÓW nad kandydaturą dr Agnieszki Dudzińskiej (tylko jeden głos za) nie zakończyło trzymiesięcznej farsy z wyborem Rzecznika Praw Dziecka. Zgłoszona w lipcu przez PiS Sabina Zalewska sama się wycofała po tym, jak „Tygodnik" – w tekście Anny Golus – opisał jej plagiaty. Gorączkowe poszukiwania nowej kandydatury zakończyły się zgłoszeniem Dudzińskiej. Ta jednak przepadła w głosowaniu, bo opozycja – na podstawie wyrwanego z kontekstu cytatu z jej wypowiedzi – sugerowała, iż popiera ona eutanazję. PiS zgłosiło Dudzińską powtórnie. Tym razem z sukcesem – ale tylko w Sejmie.

Dudzińska to socjolożka związana z Instytutem Studiów Politycznych PAN. Była zastępcą prezesa Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, przez wiele lat angażowała się na rzecz dzieci z niepełnosprawnościami. Konserwatystka, jak sama o sobie mówi, i przeciwniczka legalizacji aborcji, potrafiła zaskakiwać – np. gdy deklarowała, że szykanowanych dzieci o homoseksualnych skłonnościach będzie jako RPD „bronić jak własnych".

Biorąc pod uwagę polityczny kontekst – i choćby fakt, że poprzednia kandydatka dopuszczała klapsy i negowała samą ideę ochrony praw dzieci – Sejm wskazał postać umiarkowaną. Czy właśnie to okazało się przeszkodą nie do przejścia i spowodowało zaskakującą woltę w Senacie?

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Polska (prawie) bez bezrobotnych

STOPA BEZROBOCIA rejestrowanego spadła we wrześniu do 5,7 proc., z 5,8 proc. w sierpniu – podał Główny Urząd Statystyczny. Według unijnych statystyk Polska jest – po Czechach i na równi z Niemcami – trzecim państwem Unii z najniższym bezrobociem. Zdaniem ekonomistów coraz bliżej nam do tzw. naturalnej stopy bezrobocia, tj. sytuacji, w której, mówiąc w uproszczeniu, pracy nie mają tylko ci, którzy jej nie szukają lub stracili ją wskutek niezależnych od siebie okoliczności (np. bankructwa pracodawcy) i nie zdążyli znaleźć nowej.

Ciekawa jest sytuacja w poszczególnych miastach i miasteczkach. Mamy np. powiat wolsztyński w Wielkopolsce, gdzie bez pracy pod koniec wakacji było tylko 1,3 proc. mieszkańców w wieku produkcyjnym. Na drugim biegunie plasuje się powiat szydłowiecki na południu Mazowsza, gdzie bezrobocie utrzymywało się na poziomie aż 23 proc. ©℗ MR

Jak pracowano nad wolnym

12 LISTOPADA BĘDZIE KOLEJNYM, już 115. w tym roku dniem wolnym od pracy – postanowił Sejm, przyznając Polakom ekwiwalent za święto niepodległości, które tym razem wypada w niedzielę. Parlamentarzystom sprawa wydała się prosta: jeden taki dzień to spadek PKB o jakieś 0,2 proc. w skali roku, czyli ok. 4 mld zł. Ze świętowania posłowie wyłączyli wprawdzie pracowników handlu, ostatecznie Senat przyjął jednak ustawę z poprawkami, które nie pozwolą na otwarcie sklepów również 12 listopada.

Na senatorach nie zrobiła wrażenia także opinia biura legislacyjnego, które podkreślało, że ustawa może być niekonstytucyjna, bo wejdzie w życie niemal bez *vacatio legis*. Projekt wróci teraz do Sejmu, który zajmie się nim zapewne dopiero 7 listopada, a to znaczy, że prezydent będzie mógł podpisać ustawę na trzy dni przed ustanowionym przez nią świętem. ©℗ MR

LICZBA TYGODNIA

12 000 000

– tyle ton węgla sprowadzono do Polski od początku roku, by uzupełnić dostawy z polskich kopalni. Trzy czwarte pochodzi z Rosji. W tym roku import rosyjskiego węgla może być dwa razy wyższy niż w ubiegłym.

GRAŻYNA MAKARA

UE chce ograniczyć plastikowe śmieci

CZY PLASTIKOWE PATYCZKI do balonów, mieszadełka i słomki zastąpią wkrótce przysłowiową żarówkę użytą ostatnio jako pretekst do sarkania na ingerencję Brukseli w życie codzienne? Dyrektywa zatwierdzona właśnie przez Parlament Europejski – do dalszych negocjacji z krajami członkowskimi – już od 2021 r. zakaże sprzedawania tych plastikowych produktów. Przewiduje też kompleksowe działania (nie zakazy, ale np. obciążenie producentów kosztami utylizacji) wobec wielu ważniejszych kategorii i próbuje wyważyć racje konsumentów (na każdym kroku korzystających z dobrodziejstw plastiku) z koniecznością ochrony środowiska. Już teraz w morzach pływa 150 mln ton odpadów z tworzyw sztucznych (na zdjęciu: plaża nad Atlantykiem w Ghanie). Politycy unijni nie odważyli się na razie nałożyć restrykcji na produkty menstruacyjne, które są piątą co do wielkości kategorią plastikowych śmieci. Przed wyborami żaden polityk nie chce zostać zapamiętany jako ten, który wprowadził „podatek od tamponów”. ©℗ PAWEŁ BRAVO

Do czego służą państwowe spółki

RAFAŁ WOŚ

Jednego prezes LOT Rafał Milczarski może być pewien: zapisał się w historii. Niestety na jej niechlubnych kartach, choć wcześniej za jego kadencji spółka zdołała poprawić kondycję finansową. Zwalniając dyscyplinarnie prawie 70 strajkujących związkowców, przebił wiele antypracowniczych rekordów. Owszem, na porządku dziennym jest zastraszanie i niszczenie pojedynczych działaczy. Ale aż tylu? Na to nie odważyli się nawet przedsiębiorcy w specjalnych strefach ekonomicznych (kiedyś w Hucie Batory próbował to zrobić prywatny inwestor, ale politycy mu nie pozwolili). I jeszcze groźby astronomicznych kar finansowych wobec uczestników protestu, pozowanie na nieugiętego neothatcherystę. To dowodzi, że Milczarski nie jest przygotowany do funkcji prezesa dużej państwowej spółki. Jego polityczni patroni (rząd PiS) ponoszą za to odpowiedzialność.

Jeśli nawet prezes LOT ostatecznie odejdzie (w końcu straty rosną i rosną), niesmak zostanie. Państwowe firmy mają do odegrania konkretną rolę. Nie są po to, by usadzać w nich kolegów lub cieszyć się, że „nasz narodowy przewoźnik rośnie w siłę”. Państwowe spółki muszą być wzorcem z Sèvres, gdy chodzi o standardy zatrudnienia, prowadzenie dialogu społecznego i dzielenie się ekonomicznym sukcesem. To ważne zwłaszcza w kraju przez lata tak antypracowniczym jak Polska. ©℗

USA: bombowe przesyłki dla krytyków Trumpa

TUŻ PRZED WYBORAMI uzupełniającymi do parlamentu USA – które są we wtorek 6 listopada, a w których rządzący Republikanie mogą utracić większość (piszemy o tym w dziale Świat) – tematem numer jeden w Stanach stała się skoordynowana akcja terrorystyczna o najwyraźniej rodzimej proweniencji.

Do minionego piątku policja zidentyfikowała i przejęła 10 paczek wyglądających na ładunki wybuchowe domowej roboty, które ktoś rozesłał pocztą do znanych krytyków prezydenta Trumpa związanych z Partią Demokratyczną. Wśród adresatów są politycy (były prezydent Obama, były wiceprezydent Biden, Hillary Clinton, były

KEVIN COOMBS / REUTERS / FORUM

minister sprawiedliwości i dwoje kongresmenów), a także aktor Robert de Niro i finansista George Soros. Żadna paczka nie wybuchła; nie jest jasne, czy intencją sprawców było zabójstwo, czy zastraszenie. Po tym, jak paczka dla byłego szef CIA Johna Brennana przyszła na adres telewizji CNN w Nowym Jorku (Brennan komentuje dla CNN), ewakuowano cały wieżowiec (na zdjęciu powyżej).

Media i politycy krytyczni wobec Trumpa widzą w tej akcji skutek „werbalnej przemocy" prezydenta; z kolei Trump uważa, że winę za radykalizację nastrojów ponoszą krytykujące go media. Z obu stron barykady, od Demokratów i Republikanów, słychać zgodną opinię, że to sygnał ostrzegawczy dla głęboko podzielonego społeczeństwa USA.

©℗ WP / NZZ, FAZ

LIANG XU / XINHUA / EAST NEWS

NAJDŁUŻSZY MORSKI MOST ŚWIATA połączył Chiny z enklawami Hongkongiem i Makau, mającymi w ChRL status Specjalnych Regionów Administracyjnych. W opinii ekspertów licząca 55 km konstrukcja (w tym 36 km mostu, 7 km podmorskiego tunelu i dwie sztuczne wyspy), kosztująca 16 mld dolarów, to projekt polityczny: narzędzie integracji niedawnych kolonii (w 1997 r. Londyn oddał Chinom Hongkong, a w 1999 r. Lizbona – Makau). Michał Bogusz z Ośrodka Studiów Wschodnich uważa, że chodzi o „rozmycie osobnej tożsamości", zwłaszcza mieszkańców Hongkongu, gdzie silne jest „przywiązanie do rządów prawa, świadomość praw człowieka i wolności słowa, które są coraz bardziej okrawane przez Pekin". ©℗ WP / FAZ, POLSKIE RADIO

Sojusz ćwiczy obronę

NAJWIĘKSZE MANEWRY NATO od końca zimnej wojny – z udziałem 50 tys. żołnierzy z wszystkich 29 krajów Sojuszu, a także ze Szwecji i Finlandii – zaczęły się w Norwegii. Przy ciężkiej już pogodzie (śnieżyce i mrozy) żołnierze, sztabowcy i logistycy testują mechanizmy wspólnej obrony kraju ze wschodniej flanki Sojuszu przed atakiem „Czerwonych" (Rosji). Politycy uzasadniają tak duże manewry „zmienionym otoczeniem międzynarodowym", czytaj: sytuacją w Europie Wschodniej po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Fakt, że w manewrach biorą udział neutralne Szwecja i Finlandia, interpretuje się jako sygnał ich *de facto* (choć nie *de iure*) coraz silniejszych związków z NATO. Najwięcej żołnierzy wystawiły Niemcy (10 tys.), które w 2019 r. przejmą rotacyjne dowodzenie nad Siłami Błyskawicznego Reagowania (VJTF). W manewrach bierze udział 10 tys. pojazdów, 250 samolotów i 65 okrętów, w tym lotniskowiec „Truman". Dla żołnierzy przygotowano 1,8 mln posiłków i 4,6 mln butelek wody.

©℗ WP / FAZ, NZZ, ARD

Jemen: liczby straszne, liczby okrągłe

MARCIN ŻYŁA

Kolejny milion dzieci zagrożony głodem" (Save the Children). „Wkrótce 14 mln ludzi może być uzależnionych od pomocy" (ONZ). „Co trzy godziny ginie tu na wojnie cywil" (Oxfam). To fragmenty raportów o sytuacji w Jemenie, które opublikowano tylko w minionym tygodniu.

Wojna, która trwa od 2015 r., wkroczyła w nową fazę: walki trwają w rejonie portów i blokują – wcześniej i tak szczupłe – dostawy żywności. W niektórych regionach jej ceny wzrosły w ciągu ostatnich trzech miesięcy aż dwukrotnie. Tysiące ludzi, dzień w dzień, żyje w strachu przed bombardowaniami, ostrzałem artyleryjskim i chorobami (ubiegłoroczna epidemia cholery w Jemenie była największą, odkąd na świecie zaczęto prowadzić statystyki). W tej wojnie zginęło dotąd ok. 10 tys. ludzi. Ale nawet tu konieczne jest zaokrąglenie – dostęp do wielu regionów kraju jest dla osób z zewnątrz niemożliwy. ©℗

W SKRÓCIE

NA FALI. Leonardo DiCaprio wyprodukował polski film dokumentalny o awangardowym artyście Stanisławie Szukalskim. Premierowy pokaz „Struggle: The Life and Lost Art of Szukalski" odbędzie się pod koniec listopada na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych w Amsterdamie. Rodzina aktora była blisko związana z artystą i posiada pokaźną kolekcję jego dzieł. Sam Di Caprio w wielu wywiadach przyznaje, że Szukalski był dla niego inspiracją do roli Jacka Dawsona w „Titanicu".

INSTAGRAM / S_SZUKALSKI_ART

SPOD ZIEMI. Od narzędzi z epoki kamienia łupanego po sztuczne szczęki: tysiące obiektów znalezionych podczas budowy nowej linii metra w Amsterdamie można obejrzeć w wirtualnym muzeum Below the Surface. Wszystkie pieczołowicie skatalogowane, a niektóre z nich – jak guzik od munduru pracownika jednej z miejskich firm telegraficznych, pochodzący z lat 20. XX w. – także opisane przez historyków. Tu znów polski akcent: pieczę nad eksponatami sprawuje Polak, miejski archeolog, prof. Jerzy Gawroński.

W SIECI. Kilka dni temu jedną z amerykańskich blogerek zaniepokoił fakt, że Netflix zachęca do oglądania programów prezentując czarnoskórym widzom jedynie zdjęcia z czarnoskórymi bohaterami, nawet gdy stanowią postacie drugoplanowe. W odpowiedzi na tweeta blogerki pojawiły się wpisy innych użytkowników, którym serwis wideo proponował podobnie „spersonalizowane" rasowo treści. Koncern zaprzecza. To drugie tego typu oskarżenie wobec Netfliksa w tym roku. W czerwcu za rasistowskie wypowiedzi zwolniony został dyrektor ds. komunikacji.

Jaką moralność zaszczepimy maszynom

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Mając wybór, pozwolimy zginąć staruszkowi czy dziecku? Szczeniaczkowi czy kotkowi? Inżynierowie z MIT postanowili to zbadać, by nauczyć sztuczną inteligencję moralności. Właśnie ukazały się wyniki tego badania.

2 mln ochotników z 233 państw rozwiązało ponad 43 mln scenariuszy wyboru między dwiema złymi opcjami. Wiele wyników jest uniwersalnych: wyżej cenimy życie człowieka niż zwierzęcia, wolimy ratować większe grupy niż mniejsze. Jednak Zachód i Południe wyżej cenią życie młodszych niż starszych, a w Azji różnica ta zanika. Podobnie jak premia, którą Zachód przyznaje osobom o wyższym statusie społecznym. Kraje bogate wyżej cenią życie przechodnia przestrzegającego przepisów niż przechodzącego na czerwonym świetle. Kraje o niższym PKB – niekoniecznie.

Autonomiczne samochody bez wątpienia będą wkrótce znajdowały się w sytuacjach bez dobrego wyjścia – np. wybierając manewr wobec nieuchronnego wypadku. Chcemy, żeby ich algorytmy decydowały zgodnie z naszym poczuciem moralności. Tylko czy sami je rozumiemy? ©

ROBERT SŁUSZNIAK / CONRAD FESTIVAL

10. EDYCJA FESTIWALU CONRADA w Krakowie przebiegła pod hasłem „pop", dlatego tematykę kolejnych dni wyznaczały pojęcia: poprawność, popularność, popęd, populizm, popkultura, popłoch, popyt. Sto kilkadziesiąt spotkań, ponad setka gości (m.in. Olga Tokarczuk, Martín Caparrós, Arundhati Roy, Elisabeth Åsbrink i Lars Saabye Christensen) i tysiące rozmów o literaturze oraz reszcie świata... Relację z festiwalu zamieścimy w kolejnym numerze „Tygodnika". ©℗ MS

Dawka sztuki na receptę

NA LIŚCIE LEKÓW refundowanych w Kanadzie pojawiło się w minionym tygodniu kilka nowych pozycji, a wśród nich malarze: El Greco, Rembrandt i Beuys. Od 1 listopada lekarze w Montrealu przez rok mogą zalecać swoim pacjentom odwiedziny w miejscowym Muzeum Sztuk Pięknych. Każdy z medyków biorących udział w tym pilotażowym i unikalnym na skalę światową projekcie ma do wykorzystania 50 recept, będących jednocześnie biletami wstępu do tego Muzeum, dla pacjenta i jego rodziny.

Prowadzone głównie przez Amerykanów i Brytyjczyków badania potwierdzają efektywność terapii przez sztukę. Udowodniono, że jest ona skuteczna w leczeniu osób z demencją oraz zaburzeniami posttraumatycznymi, w tym m.in. ofiar przemocy.

Estetoterapia – bo taką nosi ona nazwę – przynosi również konkretne korzyści w leczeniu dzieci i młodzieży ze spektrum autyzmu i nadpobudliwości (ADHD). U takich małych pacjentów zaobserwowano poprawę koncentracji oraz umiejętności radzenia sobie w kontaktach społecznych.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

TEMAT TYGODNIKA

W GOŚCINIE U ZMARŁYCH

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK, TEOLOG:

Sąd ostateczny to moment, kiedy spojrzymy sobie wszyscy w oczy, wiedząc, dokąd doszło nasze dobro i nasze zło. Nastąpi totalne ujawnienie wszystkiego. Dzień wielkiego wstydu.

MACIEJ MÜLLER: Boję się śmierci.

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK: To zdrowy odruch. Instynkt zachowania życia jest mocno zakorzeniony w naszych mózgach. Boimy się rzeczy nieznanych, poza tym mamy traumatyczne doświadczenia straty po śmierci bliskich.

Zagadnąłem kilka osób, co je interesuje w kwestii śmierci. Rzucały na ogół: „co zrobić, żeby nie umrzeć?".

Na to akurat mamy przepis w Ewangelii: „Kto straci swe życie z Mego powodu, ten je zachowa" (Łk 9, 24).

Czyli najlepiej zostać męczennikiem?

Nie. Oddać życie można niekoniecznie w sposób gwałtowny. Jezus wypowiada to zdanie zaraz po nakazie, by brać swój codzienny krzyż. Oddawanie życia odbywa się więc wzdłuż życia, a nie w poprzek. Budzę się niewyspany i chętnie bym poleżał, ale muszę ogarnąć dzieci. O to chodzi.

Mam wrażenie, że w pytaniach kolegów nie brzmiała tęsknota za życiem wiecznym, tylko za utrzymaniem dobrze znanego życia tutaj.

I to jest niebezpieczeństwo, przed którym Jezus ostrzega: „kto chce zachować swoje życie, straci je". Jesteśmy w stanie wyciskać z innych soki, byle pożyć pięć minut dłużej. Ten egoizm jest naszym największym wrogiem, bo prowadzi do tego, co Apokalipsa nazywa „śmiercią drugą". Czyli rodzaju życia, który jest gorszy od śmierci.

GRAŻYNA MAKARA

Ma sens religijność typu „memento mori"?

Obawiałbym się skrajności. Po jednej stronie jest odrzucenie świata, popadnięcie w samodręczenie i smutek, który nie pozwala żyć. Po drugiej – niebezpieczeństwo usunięcia śmierci z horyzontu. O tym mówi przypowieść o bogaczu, któremu pola tak obrodziły, że pomyślał sobie: „Masz wielkie zasoby dóbr, na długie lata złożone; odpoczywaj, jedz, pij i używaj! Lecz Bóg rzekł do niego: »Głupcze, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie«" (Łk 12, 16-21). Kiedy nie widzę śmierci, nie widzę życia. Śmierć przypomina, że wszystko, co tu mam, jest ulotne, a ja jestem kruchy. Drugi człowiek też, więc muszę się o niego zatroszczyć. „Memento mori", ale na razie – „memento vitae", jak śpiewał Sojka.

Czy śmierć jest wrogiem?

Biblia tak ją identyfikuje: „Jako ostatni wróg zostanie pokonana śmierć" (1 Kor 15, 26), „Śmierci Bóg nie uczynił i nie cieszy się ze zguby żyjących" (Mdr 1, 13). To jednak, co dziś wiemy o biologii, zmienia sposób odczytania tych tekstów. Ojcowie Kościoła zakładali, że przed grzechem śmierci nie było, tę naukę powtarzały potem niektóre synody. Dzisiaj interpretujemy Pismo inaczej: śmierć biologicznego organizmu nie jest wynikiem grzechu. Z badań naukowych wynika, że to, co było na Ziemi przed człowiekiem, biologicznie niewiele się różniło od tego, co było po człowieku. Śmierć jako biologiczny mechanizm istniała więc wcześniej. Bóg uczynił śmierć w tym znaczeniu, że obumieranie organizmów jest częścią biologii. Bez grzechu doświadczenie śmierci prawdopodobnie byłoby jednak diametralnie inne, związane z jasną świadomością Bożej obecności. Bóg nie stworzył lęku, który wiążemy ze śmiercią.

Święty Franciszek nazwał śmierć siostrą, która prowadzi w ramiona Ojca.

Bo chrześcijaństwo stawia w centrum zmartwychwstanie; śmierć jest tylko przemianą formy życia. Teksty pogrzebowe głoszą: „życie twoich wiernych zmienia się, ale się nie kończy". Po grzechu ta zmiana stała się bolesna. Nie lubimy przeprowadzek, tym bardziej jeśli trzeba pozostawić wszystko i iść w nieznane.

Zupełnie samemu.

To chyba nie jest tak straszne, jak się wydaje, bo rozłąka od tamtej strony prawdopodobnie tak bardzo nie doskwiera. Zmarli mają w Bogu i poprzez Boga jakiś rodzaj łączności z nami. My tego horyzontu na co dzień nie bierzemy za bardzo pod uwagę, bo obcowanie świętych zredukowaliśmy do myślenia o kanonizowanych. Po to mamy uroczystość Wszystkich Świętych, żeby sobie uświadomić, że święci to „wielki tłum, którego nie mógł nikt policzyć, z każdego narodu i wszystkich pokoleń, ludów i języków" (Ap 7, 9).

Czyli bez grzechu też byśmy umierali, tylko przeżywalibyśmy śmierć w inny sposób?

Tak przypuszczam. Z doświadczeń duszpasterskich wiem, że jeżeli umieranie dokonuje się w atmosferze miłości, bliskości, to jest lżejsze. Miałem szczęście widzieć śmierć ludzi umierających w tak głębokim zaufaniu do Boga, że był to dla nich po prostu następny krok w życiu. Odchodzili pojednani po tej stronie i przekonani, że po drugiej „Ponbóczek już czeko". Śmierć bez lęku jest więc możliwa nawet w naszych warunkach.

Ale mam też inne doświadczenie. Byłem przez pewien czas kapelanem na hematologii. To oddział, z którego z dużym prawdopodobieństwem można już nie wyjść żywym. Widziałem ludzi umierających w potwornym lęku. Byłem bezradny, szczególnie gdy nie życzyli sobie towarzyszenia. Jeśli ktoś odrzuca bliskość, zapada się w ból i spiralę lęku. Takiej śmierci Bóg nie uczynił.

„Gaudium et spes" wspomina o lęku przed unicestwieniem na zawsze.

Myślenie o śmierci zmienia się w trakcie życia. Najpierw nie zważa się na nią w ogóle. Potem, kiedy coś zaczyna w środku klekotać, pojawia się myśl: życie nie jest na zawsze. Jedna z dróg prowadzących do mojego mieszkania wiedzie przez dom księży emerytów. To *memento:* człowieku, zacznij się przygotowywać, bo wkrótce przeprowadzisz się na drugą stronę ogrodu. A potem na trzecią, bo dalej jest cmentarz.

Często spowiadam ludzi w podeszłym wieku. Nieraz to, jak podchodzą do śmierci, wiąże się z tym, kto tam już poszedł. Czasem tęsknią za śmiercią, bo zostali sami: „Jo by se już poszła, niech ksiyńżoszek za mnie porzyko, żeby Ponbóczek mnie już zabroł". Strach był wcześniej: ↦

żeby nie umrzeć przed mężem, „bo on se som nie do rady”.

Lęk bywa związany ze świadomością własnego grzechu. Ludzie, którzy zrobili w życiu paskudne rzeczy, miewają trudność z uwolnieniem się od nich, nawet jeśli dawno się wyspowiadali. W obliczu śmierci wzmaga się poczucie winy i lęk przed spotkaniem tych, których się skrzywdziło. Tak bywa z syndromem poaborcyjnym. Czasem słyszę np.: tam czeka czwórka dzieci, które zabiłam. Jak im spojrzę w oczy?

Ojcowie Pustyni ostrzegali, że kuszenie trwa aż do ostatniego tchu. I to końcowe jest najstraszniejsze, powoduje czarną rozpacz.

Bo to kuszenie przeciw miłosierdziu, ostatecznemu aktowi ufności Bogu. *Ars moriendi* sprowadza się do wejścia w śmierć w zaufaniu, że tam jest miłosierny Bóg. A w związku z tym, że to droga najlepsza, pokusy ciągną dokładnie w przeciwną stronę.

Co najlepiej robić, umierając?

Najpierw trzeba zapytać, co robić, żyjąc. Kościół wypracował wprawdzie całą technologię przejścia – spowiedź, wiatyk – ale jeśli nawrócenie zostawimy na ostatni moment, to raczej nie będzie dawało pełnego uspokojenia. Jeśli ten proces odbędzie się wcześniej, a najlepiej – jeśli trwa przez całe życie – to jest większa szansa na harmonię przy umieraniu. Ale nie ma gwarancji. Widziałem ludzi, którzy żyli porządnym, chrześcijańskim życiem, a przed śmiercią dorwał ich obezwładniający lęk. Na ogół jednak temu, kto żył przebaczając i przyjmując przebaczenie, łatwiej umierać, bo po pierwsze nie zalegają mu niezałatwione sprawy, po drugie nie lęka się tych, których spotka po drugiej stronie, po trzecie: wie, jaki jest Bóg.

Możemy wierzyć, jaki jest Bóg, nie wiedzieć.

Jest pewien rodzaj wiedzy wypływający z doświadczenia. Jak dochodzimy do przekonania, że współmałżonek czy rodzice nas kochają? Przez powtarzalne doświadczenie, że nie zawodzą naszego zaufania. Z wiarą jest tak samo. Narracja oświeceniowa przeciwstawiła rozum i wiarę, wypychając tę ostatnią w przestrzeń irracjonalną. Tylko ile decyzji podejmujemy na bazie absolutnie pewnej kalkulacji, płynącej z przesłanek zweryfikowanych na drodze eksperymentu? Chyba jednak kierujemy się w życiu przede wszystkim zaufaniem.

> Chętnie dołożyłbym do suplikacji takie wezwanie: „od przewlekłej i wyniszczającej choroby **zachowaj nas, Panie”.**

Jeśli umieranie jest tak traumatycznym doświadczeniem, to czemu modlimy się: „od nagłej a niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie”?

Wielu chciałoby mieć nagłą śmierć i uniknąć budzącego lęk przechodzenia. Tylko że to samolubne. Czy taka śmierć jest dobra dla bliskich?

Długie umieranie też może być wyniszczające dla wszystkich wokół.

Nie wzywajmy jednak pochopnie nagłej śmierci. Niemniej chętnie bym dołożył do suplikacji wezwanie: „od przewlekłej i wyniszczającej choroby zachowaj nas Panie”. Kiedy formułowano tę modlitwę, nagła śmierć, niedająca możliwości pojednania się z Bogiem, zdarzała się często. Ludzie latami chodzili z grzechami ciężkimi na sumieniu; nie przypadkiem Sobór Lateński IV (1215 r.) nakazał spowiadać się i przyjmować komunię przynajmniej raz w roku.

Naprawdę tak dużo zależy od tej ostatniej spowiedzi? Czemu musi liczyć się to, że zawaliłem ostatni odcinek życia?

Grzech ciężki, czyli odwrócenie się od Boga, świadomy i dobrowolny wybór zła, jest sprawą naprawdę poważną. Czy w związku z tym, że generalnie żyłem dobrze, ostatnia prosta się nie liczy? W ostatnim momencie można się nawrócić, ale i przewrócić.

Zerwijmy tę zasłonę. Umieramy, i co się dzieje?

Wpadamy w Boga, który jest po drugiej stronie.

„Dzięki duszy duchowej przeżyjemy nawet własną śmierć” – pisał Jan Paweł II. O co tu chodzi?

Dusza duchowa to rdzeń człowieka, który jest poza materią. Klasyczny tomizm przyjmuje, że dusza jest formą ciała: to, w jaki sposób człowiek jest ciałem, zależy od jego duszy. Dusza ma funkcję backupu, kopii bezpieczeństwa pamięci i wszystkich danych dotyczących życia. To, jakim jestem człowiekiem, co przeżyłem – zachowuje się w duszy duchowej i przechodzi do innego stanu funkcjonowania. Bo w czasie między śmiercią a zmartwychwstaniem jesteśmy duszami. Nasza tożsamość, możliwość kochania, radowania się z relacji z Bogiem – jest realizowana przez duszę.

Czyli umieram, dusza ze mnie wylatuje...

Nic nie wylatuje. Jeśli przyjmiemy, że ona jest nie-ciałem, czymś spoza materii, to raczej wchodzi w inny wymiar. W którym jesteśmy już w tej chwili, ale nie ogarniamy go świadomością.

Czyli gdybym na przykład umarł teraz, to mogłoby się okazać, że na tym trzecim fotelu siedzi Bóg i będzie mnie sądził?

„Siedzi”, „teraz”... Trudno nam się uwolnić od myślenia przestrzenno-czasowego. Jeśli poszukujemy metafor, to zamiast o ulatywaniu duszy z ciała lepiej mówić o przeskoku do rzeczywistości równoległej.

A co z tym sądem?

Dokonuje się w momencie, kiedy wpadam w ten inny wymiar, uświadamiam sobie, wobec Kogo jestem, w Kim jestem. Podejmuję decyzję kluczową: chcę z Nim być czy nie.

Tę decyzję podejmuje się poprzez całe życie czy dopiero wtedy?

Każda nasza decyzja bazuje na przesłankach zebranych z dotychczasowego doświadczenia. Taka jest też ta ostateczna: zawieszona na całym naszym życiu. Jeśli skrajny egoista nagle wpada w Boga i odkrywa, że musi miłować wszystkich, rezygnując z siebie – to może tego nie chcieć, ponieważ zawsze żył inaczej.

Ale czy ten moment po śmierci można traktować jako ostatnią szansę?

Tak.

Jeśli umieram bez spowiedzi, ale powiem „tak", zostanę zbawiony?

Jeżeli o wszystkim by decydował stan z momentu śmierci, to po co sąd? Tu chodzi o coś o wiele dalej idącego niż ewidencja uczynków. Sąd ma nas doprowadzić do prawdy, bo my umieramy na ogół w stanie splątania. Nie wiemy do końca, co było dobre. W momencie sądu możemy – w obecności kochającego Boga – wreszcie się rozplątać. Wtedy wszystko stanie się jasne.

Będzie wiele odkryć typu: a ja nie wiedziałem, że to był grzech.

Rzeczywistość sądu jest bolesna. Dlatego autorzy biblijni zazwyczaj sięgali po obrazy typu: oczyszczanie złota w ogniu.

Co się wyjaśnia na sądzie szczegółowym?

Góra albo dół. Niebo albo piekło.

A jeśli za moją duszę odprawia się dziesiątki gregorianek, coś mi to pomoże?

Mamy jeszcze sytuację, w której człowiek wybrał bycie z Bogiem – więc jest na drodze do nieba – ale umarł bardzo splątany. Lubię sięgać po metaforę balonu: Bóg, powołując nas do istnienia, zakładał, że będziemy napompowani do pewnego ciśnienia dobra. Jeżeli z takim ciśnieniem dochodzimy do śmierci, przechodzimy prosto do nieba. A co, jeśli balon, przez grzech, sflaczał? Człowiek, który umarł, a nie jest w pełnej jedności z Bogiem, znajduje się w stanie bezradności. I tu niezbędna jest modlitwa wstawiennicza, która dopompowuje balon do właściwych rozmiarów. Czyściec jest bolesny właśnie przez to rozciąganie. Jeżeli ktoś był egoistą, konieczność zdania się na łaskę ludzi będzie dla niego upokarzająca. Ale kiedy zakorzeni się w nim pokora, będzie gotowy na „wejście do nieba".

Czyli?

Do stanu, w którym człowiek wybrał Boga i cieszy się maksymalną możliwą wspólnotą z Nim i z innymi ludźmi. Ten człowiek, będąc w Bogu, pozostaje też w jedności z tymi, którzy jeszcze nie umarli. Może wstawiać się za nimi, bo wyszedł już ze stanu bezradności.

To jest już niebo ostateczne?

I tak, i nie. Przekonanie, że przeżycie szczęścia – w sensie relacji do Boga – już nie będzie większe, jest zdogmatyzowane. Ale to nie jest stan docelowy, ponieważ Bóg zaplanował go jako stan materialny w świecie przemienionym. Szczęście jest więc pełne, ale forma, w jakiej się je przeżywa, jeszcze nieostateczna. Brakuje zmartwychwstania ciała.

> Jeśli skrajny egoista nagle staje wobec Boga i odkrywa, że musi miłować wszystkich, rezygnując z siebie – to może tego nie chcieć, ponieważ **zawsze żył inaczej.**

To wszystko dotyczy też piekła, tylko *à rebours*?

Że nieszczęście jest maksymalne? Dokładnie tak. Ale nie ma negatywnego czyśćca.

Piekło polega na niebyciu z Bogiem?

Nie da się nie być z Bogiem. Tu chodzi o coś znacznie „gorszego". Jeżeli człowiek, który chce odrzucić wszystkich, ma możliwość odizolowania się, to taki stan jest całkiem znośny. Tylko że nie ma po tamtej stronie miejsca, które byłoby pozbawione obecności Boga. Piekło polega na tym, że człowiek wszystkich nienawidzi, ale nie dostaje od nich wsparcia w tej nienawiści, bo oni go kochają na przekór wszystkiemu. A on nie ma dokąd uciec.

Może to jest potencjał do tego, żeby on zmienił swoją decyzję?

Niektórzy Ojcowie Kościoła ufali, że to będzie możliwe.

Możemy się tego trzymać, czy to herezja?

Staram się na ten temat milczeć. Ks. Hryniewicz cytuje jednego z Ojców bodaj jakoś tak: jeżeli ktoś nie wierzy w apokatastazę (powszechne zbawienie), to jest osłem, ale jeżeli ją głosi, to jest wołem. Już z faktu, że podczas każdej mszy modlimy się za wszystkich zmarłych (nie ma żadnych „dusz opuszczonych"), wynika, że Kościół nie chce rozstać się z tą nadzieją. Wiara w niemożliwość piekła oznaczałaby, że nasza wolność jest tylko pozorem, a ostatecznie i tak musimy pokochać Wielkiego Brata. Jeżeli na poważnie traktujemy wolność, to na końcu tego założenia jest potencjalność piekła.

Moim zdaniem jest jedna osoba poważnie zagrożona piekłem: to jestem ja. Mam wgląd w swoje sumienie, wiem o złych rzeczach, które zdarzyło mi się zrobić. Nie wiem, czy ich nie powtórzę i czy nie znajdę się w stanie ostatecznego odrzucenia Boga. Do piekła pakujemy zawsze innych. Ślązacy mają problem z zaakceptowaniem tego, że mogliby być w niebie z ludźmi z Sosnowca. A wykluczanie innych ze zbawienia to powód do bycia potępionym. Bóg i ludzie z Zagłębia są w pakiecie.

Trudno sobie wyobrazić, że w niebie spotkają się gwałciciel i jego ofiara.

Wejście w przestrzeń Bożego pojednania łączy się z ostatecznym doświadczeniem miłosierdzia, ale i ostateczną zdolnością do jego dawania. Prawdopodobnie to właśnie będziemy ćwiczyć w czyśćcu. Przypomnijmy sobie spotkanie w więzieniu Jana Pawła II z Alim Ağcą. Takie rzeczy są możliwe już tu, postrzegamy je jako heroiczne, graniczne i szaleńcze. Tym bardziej będą się działy tam.

To, co Ksiądz opowiada, wynika z objawienia?

Część tak, a resztę teologia wydobywa dzięki zastosowaniu argumentu z koherencji (zgodności). Na przykład: skoro Kościół przejął z judaizmu modlitwę za zmarłych, to znaczy, że ta modlitwa coś im daje. A skoro daje, to znaczy, że czegoś im brakuje.

Na końcu tego rozumowania mamy ideę czyśćca. Nowy Testament o niej nie wspomina, ale wyznacza punkty, na których przecięciu trzeba ją sformułować, bo inaczej powstanie teologiczna dziura. Mendelejew potrafił „obliczyć", scharakteryzować nieodkryte jeszcze pierwiastki. W teologii też tak czasem robimy. Niemniej potrzebny jest umiar. Ważną lekcją jest lektura Księgi Hioba. Jak Bóg odpowiada na jego pytania?

Na zasadzie: nie zaglądaj mi w garnki, i tak nic nie zrozumiesz.

Nie masz zasobów, żeby przyjąć odpowiedź. Nawet gdybym ci spróbował odpowiedzieć, to nie jesteś w stanie tego zinterioryzować. ↦

Dziwne, że Hiobowi ta odpowiedź wystarcza.

Przynosi mu ukojenie. Po długiej wewnętrznej walce uświadamia sobie, że Bóg jest ponad wszystko. A jego zadaniem jest zaufać. Bóg nie odpowie na dręczące nas pytania, ale jeśli mu zaufamy, to spoczniemy w pokoju – żeby sięgnąć po retorykę pogrzebową – już po tej stronie.

Przed nami sąd ostateczny. Bóg jeszcze raz spędza wszystkie dusze w jedno miejsce i wydaje na nie ponowny wyrok?

Już nie dusze! W Dniu Pańskim zmartwychwstaną ciała, odbędzie się sąd oraz powstanie nowa ziemia i nowe niebo. Wyrok sądu szczegółowego nie podlega zmianie, sąd ostateczny to nie druga instancja. Musi więc dotyczyć czegoś, czego nie można było zrobić przy sądzie pierwszym: oceny konsekwencji wszystkich naszych czynów. Jeśli nasze dziecko wynajdzie lek na raka, wiadomo, że to dobro wypłynęło w jakiejś mierze z doświadczenia miłości i mądrości rodziców. Nasze dobro wydało owoce, dzięki niemu zachodzi następne i następne – aż do końca świata. Podobnie jest ze złem. Jeśli prześladowaliśmy pracowników, któryś z nich mógł popaść w nerwicę, przez co cierpiała jego rodzina i co miało skutki także w kolejnych pokoleniach. Wszystko to można zebrać i ocenić dopiero wtedy, gdy skończy się historia. To moment, kiedy spojrzymy sobie wszyscy w oczy, wiedząc, dokąd doszło nasze dobro i nasze zło. Dzień wielkiego wstydu.

Wyjdzie na jaw każda wykasowana historia wyszukiwań?

Oczywiście. Nastąpi totalne ujawnienie wszystkiego. Będziemy wiedzieć, kto w trzeciej klasie podstawówki ukradł nam kanapkę.

Czy jesteśmy odpowiedzialni za cudze grzechy?

Trochę tak. Funkcjonujemy w układzie zależności.

Ale mamy dobre chęci.

Dlatego to nie wpływa na nasze bycie z Bogiem bądź nie. To już sprawa rozstrzygnięta. Zastanawiam się, jak się czuje np. Nietzsche, wiedząc, że jego myśl wykorzystano do skonstruowania ohydnej ideologii śmierci. Siedzi w niebie i czeka na dzień sądu, kiedy będzie musiał spojrzeć w oczy wszystkim Żydom zagazowanym w czasie II wojny światowej. To jest możliwe tylko w miłosierdziu Bożym. Nietzsche nie chciał tego zła i nie ma ono wpływu na jego zbawienie.

Jak będziemy wyglądali, kiedy zmartwychwstaniemy?

Jedyne ciało zmartwychwstałe, które przez pewien czas było podatne na obserwację, należało do Chrystusa. Działy się z nim dziwne rzeczy – np. potrafił wejść mimo zamkniętych drzwi. Jezus jest rozpoznawalny (gdy na to pozwala), Jego ciało nosi ślady męki, zachodzi więc ciągłość organizacji materii po linii historii, jaką On przeżył. Jeśli przyjmiemy, że dusza jest formą ciała, to forma funkcjonuje tymczasowo samotnie, potem otrzymuje nową materię i jak ją formuje? Podobnie. W przypadku Chrystusa ciało jest do dyspozycji, forma bierze więc sobie z powrotem tę samą materię. Ale gdyby Jezusa skremowano, to też by zmartwychwstał i też nosiłby ślady męki.

A co z poćwiartowanym św. Stanisławem?

Ślady męki u Jezusa są znakiem związanym z dokonanym zbawieniem. Nie sądzę, żeby nasze zmartwychwstałe ciała miały być naznaczone przede wszystkim momentem śmierci. Niewiele jednak wiemy. Zmartwychwstałe ciało Jezusa funkcjonowało w warunkach nieprzemienionej materii; przemieniony Chrystus chodził po starej ziemi. W związku z tym nie wiemy, czy możemy z Ewangelii wyciągać wnioski o ciele zmartwychwstałym jako takim. Teologowie bazujący na pitagoreizmie twierdzili, że ciała po zmartwychwstaniu będą miały kształt idealny – czyli kulisty.

Znajoma zastanawiała się, czy w niebie będzie szczuplejsza. Nie wiem, czy się ucieszy.

No cóż... Na pewno trzeba brać pod uwagę, że kategoria piękna jest związana ze zmysłami i określonym sposobem funkcjonowania naszego mózgu. Jaka będzie estetyka w przemienionej materii? Może będzie matematycznie wysublimowana, czyli uzyskamy idealne proporcje?

Już teraz podobają nam się twarze bardziej symetryczne.

Wewnątrz znanego nam systemu odniesień. Ale może uzyskamy wyższą zdolność rozpoznawania piękna i nie będziemy już dzielić ludzi na pięknych i brzydkich? Pokusa, żeby spekulować, jest ogromna. Wystarczy sięgnąć do średniowiecznych sporów, czy zmartwychwstałe ciało będzie miało genitalia. Św. Tomasz uważał, że tak, bo trzeba brać pod uwagę nie tylko kryterium użyteczności (rozrodu już nie będzie), ale integralności ciała. Teologowie zastanawiali się też, co będzie z jelitami. Bo przecież ciało, które ma zdolność życia wiecznego, nie musi przyjmować pokarmów. Akwinata ponownie sięgnął po argument o integralności, zastrzegając przy tym, że jelita nie będą już wypełnione płynami ohydnymi, ale szlachetnymi. Na tych uroczych przykładach widać, do czego prowadzi nadużywanie argumentu z koherencji. Można niepostrzeżenie opuścić system bezpieczny i przejść do hipotetycznego.

Dlaczego Chrystus mówi, że nie będzie już małżeństw?

Przecież to świetna wiadomość.

Ale ja chciałbym, żeby moja żona pozostała najbliższą mi osobą.

I tak będzie! Po tej stronie życia nasza zdolność miłowania szybko dostaje zadyszki. Jesteśmy w stanie kochać niewiele osób. I łatwo o konflikt miłości: bliska relacja z inną kobietą jest zdradą. Tam nie będzie już egoizmu i miłość nie będzie wymagała ochrony, którą na ziemi daje jej sakrament małżeństwa. Tutaj miłość jest krucha, delikatna i podatna na zranienie. W rzeczywistości przemienionej nie będzie potrzeby wyłączności. To, co pozostaje wyjątkowe, to historia. Z nikim innym nie będzie pan miał takich wspólnych dziejów, jak ze swoją żoną. Wyjątkowość relacji zostanie więc zachowana. Małżeństwo nie będzie już potrzebne, ale nie musimy się obawiać, że bliscy przestaną być nam bliscy. Bóg, zbawiając, nie niszczy rzeczy dobrych.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

GRAŻYNA MAKARA

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK *(ur. 1971) jest teologiem specjalizującym się w chrystologii, adiunktem w Katedrze Teologii Dogmatycznej i Duchowości Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Obecnie także dyrektor Ośrodka Formacji Diakonów Stałych Archidiecezji Katowickiej.*

HENRYK SADURA / GETTY IMAGES

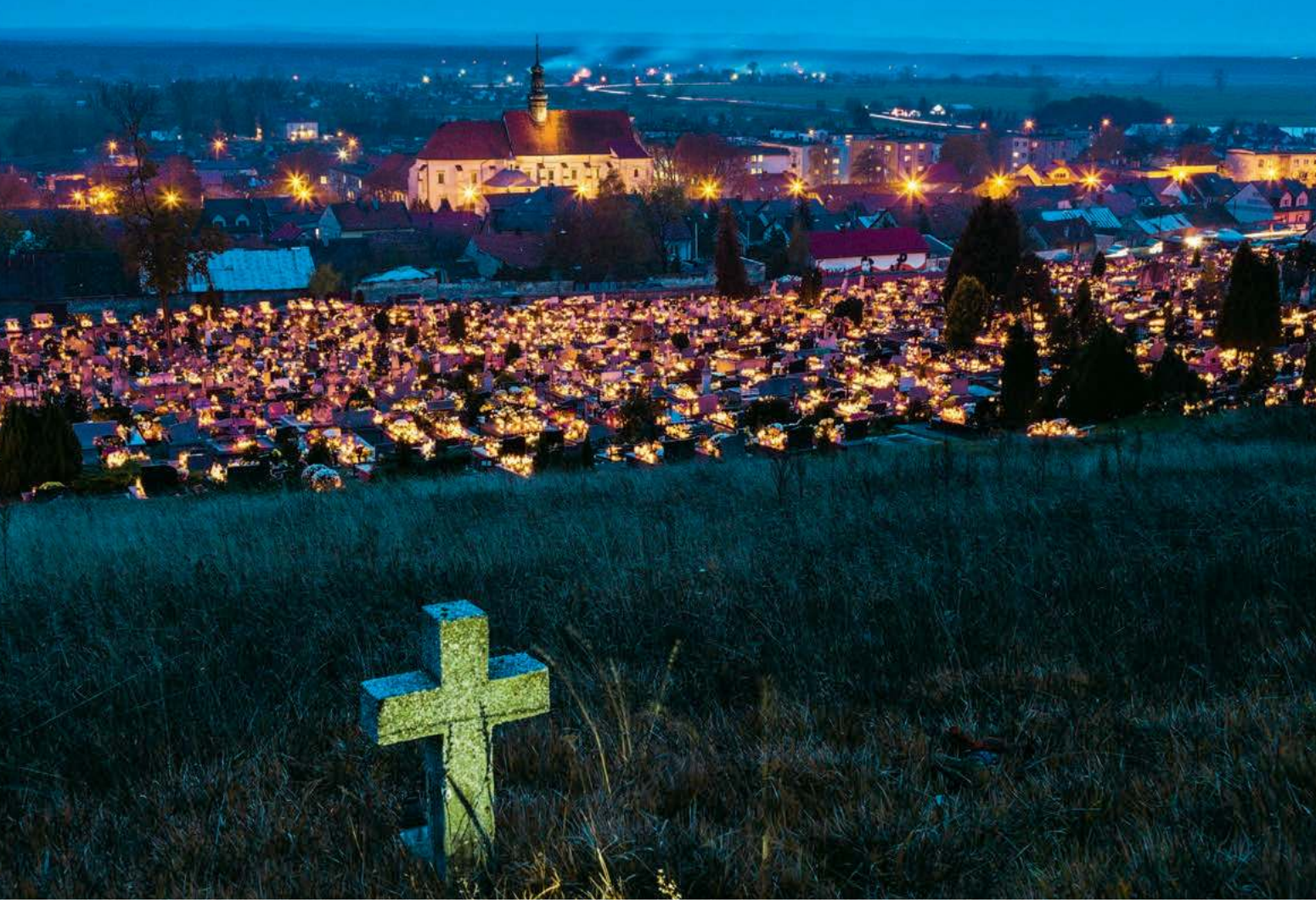

Dzień Wszystkich Świętych w Pińczowie, woj. świętokrzyskie

Źródło już bije

PIOTR SIKORA

Dobra Nowina zdumiewa: głosi, że na życie wieczne nie trzeba czekać ani chwili.

Daty na nagrobkach – wszystkie minione. Rodzą się wspomnienia. Wzrok duszy odbija się jednak od nich i usiłuje przeniknąć: gdzie poszli ci wszyscy święci, wszyscy zmarli? Pytająco spogląda w przyszłość: gdzie idę ja? Jeśli natrafia na ciemność, to może dlatego, że skierowany jest nie w tym, co trzeba, kierunku.

W Ewangelii Jana możemy przeczytać zaskakujące słowa: „Ten bowiem, kogo Bóg posłał, mówi słowa Boże i bez miary udziela Ducha. Ojciec miłuje Syna i wszystko oddał w Jego ręce. Kto wierzy w Syna, ma życie wieczne; kto zaś nie jest posłuszny Synowi, nie dostrzeże życia, lecz gniew Boży spoczywa na nim" (J 3, 34-36). Jeśli ktoś przyzwyczajony jest myśleć o wieczności jako o przyszłości zasłoniętej umieraniem, zapisane tu słowa Jezusa rozbijają jego obraz spraw ostatecznych. Wskazują jednoznacznie: ten, kto wierzy w Syna, ma – już teraz – życie wieczne, już teraz żyje wiecznym życiem.

W czwartej Ewangelii Jezus jeszcze kilkakrotnie wypowie podobną myśl, łącząc posiadanie życia wiecznego z wiarą czy ze spożywaniem Jego Ciała i Krwi: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto wierzy, ma życie wieczne" (J 6, 47). Albo: „Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym. Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a Krew moja jest prawdziwym napojem. Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim. Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto Mnie spożywa, będzie żył przeze Mnie" (J 6, 54-57).

Niech nie myli nas tu wzmianka o „dniu ostatecznym" jako dniu wskrzeszenia. Jest to bowiem w perspektywie Ewangelii Jana dzień, w którym wszystko się dokonało, co – zgodnie ze słowami Jezusa wypowiedzianymi na krzyżu – spełnia się w Jego przejściu do Ojca, czyli w wydarzeniu śmierci i zmartwychwstania. O tym właśnie mówił do uczniów w wieczerniku: „A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem. (...) Nie zostawię was sierotami: Przyjdę do was. Jeszcze chwila, a świat nie będzie już Mnie oglądał. Ale wy Mnie widzicie, ponieważ Ja żyję i wy żyć będziecie. W owym dniu poznacie, że Ja jestem ↦

↦ w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was" (J 14, 3. 18-20). Miejsce przygotowane nam przez Jezusa nie jest „hen tam", lecz w nas. Na zamieszkanie w nim nie musimy zaś czekać wiele lat – ta przestrzeń (jeśli można nazwać ją przestrzenią) już w nas istnieje, otwarta teraz. Jak do tego wymiaru dotrzeć? Wystarczy, mówi Jezus, wierzyć. Ale jak się to robi?

Podążaj za ciszą

Życiodajna wiara w Jezusa nie jest po prostu przyjęciem bez dowodu Jego słów. W tradycji Izraela, której uczestnikami byli zarówno Rabbi z Nazaretu, jak i ewangelista oraz jego pierwsi czytelnicy, wiara była rozumiana jako całkowite zdanie się na Tego, w którego się wierzy, jako nakierowanie na Niego całej swojej egzystencji. Wyrazem wiary była modlitwa, którą każdy pobożny Żyd wypowiadał trzy razy dziennie, próbując jej słowami ukształtować swoje życie: „Słuchaj, Izraelu, Wiekuisty jest jeden. Będziesz miłował Wiekuistego, swego Boga, całym swym sercem, całą swą duszą, całą swą mocą". Korzeniem wiary jest zamilknięcie, uciszenie serca i umysłu, i słuchanie. Wsłuchanie w Boga brzmiącego w szmerze ciszy (por. 1 Krl 19, 12-13) scala człowieka, by cały – zintegrowany i niepodzielony – Boga kochał.

Kto wierzy w Syna, ten jest w Niego – boski Logos, Słowo – całkowicie zasłuchany, na Niego całkowicie nakierowany, zdając się na Niego zupełnie. To On staje się źródłem i zasadą wszystkich myśli, uczuć i czynów takiego człowieka, On staje się więc źródłem i zasadą jego tożsamości. Jak Syn – wsłuchany w Ojca i zdający się na Niego – przez Niego żyje, tak człowiek żyje przez Syna – który jest w Ojcu i w człowieku.

Stąd mamy drugą część wypowiedzi, w której Jezus mówi, iż ten, kto nie jest posłuszny Synowi, życia nie dostrzeże – posłuszeństwo trzeba tutaj rozumieć (zgodnie nie tylko z polską etymologią tego słowa) jako słuchanie i podążanie za usłyszanym głosem. W perspektywie Janowej ewangelii Logos-Słowo, Światło i Życie splatają się ze sobą nierozdzielnie. Wszystko, co istnieje, stało się przez Logos. Istnieje w Nim – i w Nim jest życiem. Życie płynie więc wokół nas i w nas – zawsze, w każdym momencie, w każdej chwili. Nie zawsze jednak je dostrzegamy, nie zawsze jesteśmy jego świadomi, nie doświadczamy tego, co jest naszą prawdziwą naturą.

Wypuść siebie

Trafną, choć nie do końca jasną intuicję, o co tu chodzi, miał polski filozof Henryk Elzenberg. Pisał on: „Nie nieśmiertelność, ale wydostanie się poza »świat śmierci«. Przestać się utożsamiać z tym ciałem, które musi się rozpaść, a przede wszystkim z tą psychiką, która ma zgasnąć. Utożsamiać się z czymś, co jest poza czasem, pozaczasowe. To jest sensowny i w jakimś sensie dostępny równoważnik »życia wiecznego«".

Elzenberg chrześcijaństwo traktował z krytycznym dystansem, a jego słowa mogą zgrzytać w chrześcijańskich uszach. Ale jego intuicja bardzo bliska jest nauce Jezusa, przekazanej przez wszystkich ewangelistów. W wersji Jana brzmi ona tak: „Ten, kto kocha swoją duszę/psyche, traci ją, a kto nienawidzi swojej duszy/psyche na tym świecie, zachowa ją na życie wieczne" (J 12, 25). Greckie słowo użyte tu na oznaczenie kochania duszy – *filein* – zawiera w sobie konotacje przywiązania, dążenia, pragnienia. Można by je przetłumaczyć: „kto lgnie do swojej duszy", kto się z nią utożsamia.

Słowo zaś *miseo*, tłumaczone jako „nienawidzi", może też oznaczać wzgardę, odrzucenie, lekceważenie. W takiej interpretacji nie chodzi o autoagresję, lecz o swoisty dystans, brak lgnięcia do swojej „duszy na tym świecie", a więc do swojego psychiczno-empirycznego „ja", odwiązanie od własnej tożsamości wyróżnionej na podstawie odrębności ciała oraz niepowtarzalności poszczególnego strumienia świadomości, ze wszystkimi jego śladami pamięciowymi, z całą jego historią. Jak zgodnie stwierdzają Rabbi z Nazaretu i polski filozof: tę tożsamość tracimy, ona gaśnie, jeśli się do niej przywiążemy, jeśli o nią będzie nam chodzić – zostaniemy z niczym.

Choć może nawet lepiej powiedzieć: nie tyle zostaniemy, co zostajemy. Nie chodzi bowiem tylko o przeminięcie naszego doczesnego „ja" kiedyś w przyszłości. Ono przemija stale, teraz – jako element przemijającego świata. Jeśli jednak ziarno umiera, przypomina Jezus, uwalnia z siebie nowe życie – którym naprawdę jesteśmy.

Znajdź początek

W perspektywie ewangelicznej utożsamienie, o którym pisał Elzenberg, nie jest decyzją woli, czysto ludzkim ruchem ku zewnętrznemu wobec nas przedmiotowi, lecz ma charakter odkrycia już uprzednio nam danej i nie od nas pochodzącej – ale najbardziej naszej – tożsamości. Boski Logos brzmi w nas od początku naszego istnienia, od początku tworząc nas na swój obraz i podobieństwo. Współzależność naszego końca – tj. ostatecznego spełnienia naszej egzystencji – i owego boskiego początku dobrze wyraża tekst apokryficznej Ewangelii Tomasza: „Uczniowie powiedzieli do Jezusa: »Powiedz nam, jak nadejdzie nasz koniec?«. Odparł Jezus: »Czy znaleźliście już wasz początek, że pytacie o koniec? W miejscu, gdzie jest początek, jest i koniec. Błogosławiony, kto stanie na początku – pozna koniec i nie zakosztuje śmierci«" (EwT 18).

Trzeba nam stanąć na początku – czyli powrócić do naszego boskiego Źródła – a ono bije w nas, nawet jeśli nie jesteśmy świadomi jego istnienia, gdy w naszej świadomości zostało przysypane przez tysiące zewnętrznych bodźców i wzbudzonych przez nie pragnień, dążeń i niechęci. Splatają się one w zasłonę, która rozpościera przed nami złudny obraz ulotnego i przemijającego świata jako trwałej rzeczywistości.

Zasłona rozproszenia rozciąga się nie tylko w przestrzeni, lecz przede wszystkim w czasie. By sparafrazować słowa Pascala: wyciągani poza tu-i-teraz przez narzucające się nam nieodparcie obrazy z pamięci, albo przez troski, lęki i nadzieje, wspominamy życie, albo spodziewamy się żyć – ale nie żyjemy naprawdę.

Warto jednak zobaczyć, że pomiędzy wspominaniem a spodziewaniem się nie ma symetrii. Albowiem znamy tak naprawdę tylko przeszłość. Nasz obraz przyszłości, nasze lęki i nadzieje zbudowane są z naszych już przeżytych doświadczeń. Nasza historia jest filtrem, przez który patrzymy na otaczający nas świat. W naszej

RDC POLSKIE RADIO

PIOTR SIKORA będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 31 października o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

historii pewne sprawy stają się dla nas bardzo cenne – na tyle cenne, że chcemy, aby trwały. Lecz przywiązanie do tego, co przemija – przemożna chęć zatrzymania, czego zatrzymać się nie da – zamyka na to, co nadchodzi, nowe, świeże, to, czego jeszcze nie było.

Teraz jest(eś)

Warto w tym momencie posłuchać innego jeszcze wielkiego filozofa, który choć podobnie jak Elzenberg nie był chrześcijaninem, miewał bardzo ewangeliczne intuicje. W swoim notatniku Ludwig Wittgenstein zanotował: „Tylko ten, kto żyje nie w czasie, a w teraźniejszości, jest szczęśliwy". Szczęście zanurzonego w teraźniejszości bierze się zaś stąd, że „życie w teraźniejszości nie zna śmierci". Wyjaśnienie Wittgensteina może wydać się proste: „Jeśli przez wieczność rozumiemy nie nieskończony okres czasu, lecz bezczasowość, to można powiedzieć, że żyje wiecznie ten, kto żyje w teraźniejszości".

W chrześcijańskiej, mistycznej perspektywie nie chodzi tylko o psychologiczne wrażenie braku upływu czasu, które może być nazwane, na zasadzie *licentia poetica*, wiecznością. Powracając z rozproszenia w tym, czego już i jeszcze nie ma, i skupiając się w jedynym momencie, który istnieje, dotykamy fundamentalnego wymiaru rzeczywistości. Jak wyjaśnia to Mistrz Eckhart: „Bóg jest bowiem w tej władzy [czyli w najgłębszym poziomie ducha/umysłu – PS] jakby w wiecznym »teraz«. Gdyby duch był w niej stale zjednoczony z Bogiem, człowiek nie mógłby się starzeć, »teraz« bowiem, w którym On stworzył człowieka, »teraz«, w którym zejdzie z tego świata ostatni człowiek, i »teraz«, w którym ja do was mówię, w Bogu się utożsamiają i stanowią jedno tylko »teraz«. A ponieważ ten człowiek mieszka z Bogiem w jednej światłości, nie ma w nim ani cierpienia, ani następstwa czasu, lecz tylko niezmienna wieczność" (Kazanie 2). Dlatego właśnie „w duszy, która trwa w obecnym »teraz«, Ojciec rodzi swego Jednorodzonego Syna, a w tym samym narodzeniu dusza się rodzi na nowo w Bogu. Jest to jedno i to samo narodzenie: ilekroć dusza rodzi się na nowo w Bogu, tylekroć Ojciec rodzi w niej swego Jednorodzonego Syna" (Kazanie 10).

Eckhart mówi o narodzeniu Syna w duszy. Ewangelista Jan – o trwaniu w człowieku Syna-Logosu. Obaj chcą otworzyć przed nami perspektywę, w której człowiek – każda i każdy z nas – jawi się jako nie całkiem przemijający, jako posiadający w sobie wieczny wymiar, boską „iskierkę".

> Trzeba nam stanąć na początku – czyli powrócić do naszego boskiego Źródła – a ono bije w nas, nawet jeśli **nie jesteśmy świadomi jego istnienia.**

Żyj bez granic

Koniecznym warunkiem rozpalenia się tej iskierki w płomień widoczny w codziennej egzystencji jest nie tylko skupienie na rozbrzmiewającym cicho w nas teraz Słowie. Trzeba, jak opisuje Eckhart, wyzbyć się postawy „kupca", czyli kształtowania naszych relacji ze światem, a nawet z Bogiem, na zasadzie „coś za coś". Jesteśmy dla innych dobrzy, prowadzimy życie religijne, gdyż – i o tyle, o ile – wzmacnia to nasze poczucie własnej wartości, umacnia nasze „ego" albo (to ma miejsce zwłaszcza w sferze praktyk religijnych) przynosi nadzieję na przyszłą, „wieczną" nagrodę. Nagrodę tę zaś wyobrażamy sobie najczęściej jako dobrostan naszego „ja", takiego, jakim jest ono w doczesności: ograniczonego, odseparowanego od innych w tym, co własne, przeżywającego przemijające doświadczenia.

Najgorsze jest tu jednak to wsobne nastawienie – chęć otrzymania i zatrzymania dobra dla siebie. Kto jednak chce zachować takie „ja", takie życie – ten, mówi Jezus, straci je. Droga życia przebiega inaczej.

Pamiętam, jak moje dzieci – wówczas kilkuletnie – odkryły tę drogę ku wieczności. Dostały po paczce cukierków. Zamiast jednak, jak dotąd, zjeść je w samotności, zaprosiły kilkoro koleżanek i kolegów z sąsiedztwa. Cukierki rozeszły się szybciej, a każde z moich dzieci zjadło ich znacznie mniej, niż gdyby jadły same. Ale pojawiła się nowa jakość – radość wspólnego „ucztowania" – już sama w sobie, w momencie wspólnego spotkania, większa niż czysto zmysłowa przyjemność smakowania słodyczy; a także tworząca relacje przyjaźni, znacznie mniej podatne na niszczący wpływ czasu niż pobudzenie kubków smakowych.

Więcej jeszcze – moje dzieci odkryły możliwość cieszenia się z radości innych, a nawet uczestnictwa w ich radości, przeżywania – jak swojego – szczęścia drugiego. Granice ich małych „ja" zostały rozluźnione, ich serca się poszerzyły. W bezinteresownej i wspólnej radości ujawniła się iskierka wieczności.

Oddaj wszystko

Właśnie z tego względu Jezus wiąże posiadanie wiecznego życia ze spożywaniem Jego Ciała i Krwi. „Jam jest chleb życia. Ojcowie wasi jedli mannę na pustyni i pomarli. To jest chleb, który z nieba zstępuje: kto go spożywa, nie umrze. Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata" (J 6, 48-51).

Jedząc i pijąc zwykłe pożywienie i napój, w procesie trawienia przekształcamy tę materię w siebie. Jak jednak uświadamiali sobie i nam ojcowie Kościoła – jedzenie i picie Ciała i Krwi Boga ma skutek przeciwny: w procesie duchowego trawienia nie my jesteśmy stroną aktywną, to boskie Pożywienie przemienia nas w siebie. Jest to jednak Ciało, które siebie wydało na śmierć, które z siebie zrezygnowało, całe siebie oddaje. Być strawionym przez boskie Ciało i Krew to znaczy być przemienionym w Rzeczywistość, która nie zatrzymuje nic dla siebie, która nigdzie nie stawia granicy: moje – nie moje; która cała staje się pokarmem dla innych.

Jezus przeszedł w Ojca umierając. Jeśli więc Ewangelia przedstawia Go jako od początku boskiego, będącego jedno z Ojcem, to dlatego, że od początku był cały dla innych. „Gdzie ja jestem, będzie i mój sługa" (J 12, 26) – żyjemy, życie oddając.

Przesłanie Ewangelii Jana, którego treść była mniej lub bardziej wyraźnie doświadczana przez mistyków, takich jak Eckhart, albo filozofów, jak Wittgenstein czy Elzenberg, nie głosi, iż wraz ze śmiercią wszystko się kończy. Odwraca jednak nasz wzrok poszukujący wieczności od nieznanej przyszłości i kieruje go ku tajemniczej głębi obecnej w nas i wszędzie. Jeśli odważymy się pójść za szmerem Słowa, odkryjemy szczęście, w którym znikamy i bez lęku przed śmiercią wiecznie żyjemy.

©℗ PIOTR SIKORA

PAWEŁ

Śpiewak:
Powrót z wygnania

Prorok Jeremiasz miał dobre oko. Jak zapowiadał, tak się stało: Babilon upadł, a na jego miejsce powstało królestwo Persji. Król perski Cyrus w roku 538 p.n.e. zezwolił Żydom na powrót do Jerozolimy. Kolejne fale wygnańców mogły powrócić do swojej ziemi. O tym opowiadają Księgi Ezry/Ezdrasza i Nehemiasza. Do 1500 r. księgi te stanowiły jedną całość, spisaną w oryginale w językach hebrajskim i aramejskim. Opisują ponadstuletnią historię narodu żydowskiego, zamieszkującego perską prowincję wokół miasta Jerozolima.

Przez te lata dokonały się epokowe wydarzenia. Odbudowana została Świątynia, a Nehemiasz otoczył miasto murem. Rekonstrukcję Świątyni ukończono w 6. roku rządów Dariusza I (516 p.n.e.). Prace nad jej odbudową trwały 21 lat. Radosnej uroczystości ukończenia budowy towarzyszyło złożenie olbrzymich ofiar: 100 byków, 200 baranów, 400 owiec i 12 kozłów. W dniu otwarcia Drugiej Świątyni jedni płakali z radości, a inni z tęsknoty za tą utraconą. Ale najważniejsze, że kult powrócił na swoje miejsce.

Ezra, który pochodził z rodu arcykapłanów, uznawany był za skrybę i jednego z administratorów prowincji Jehud, z ramienia króla perskiego. Miał on do dyspozycji nieprzebraną ilość kosztowności, pochodzących ze skarbca Pierwszej Świątyni. Ezra jest znany przede wszystkim jako ten, który posiadał mistyczne widzenie i rozumienie prawa boskiego. Widział siebie jako reformatora porządku moralnego Żydów. Znane są nam niektóre z jego zarządzeń. Np. to, że małżeństwa mieszane muszą zostać rozwiązane. Ezra dowiedział się, że wiele osób z rodów arystokratycznych i kapłańskich wzięło sobie za żony kobiety z obcych plemion. Po wezwaniu Ezry Żydom nie wolno już było mieć innych żon niż Żydówki. Żydowskie kobiety nie mogły wychodzić za mężczyzn z nieczystych plemion. Mężczyźni, którzy mieli obce żony, w czasie ulewnej zimowej burzy stanęli przed Ezrą. Zgodnie z prawami pogrzebowymi rozerwali swoje ubrania, pościli, modlili się i wyznawali swoje grzechy. Wtedy Ezra poprosił Najwyższego o to, by wybaczył swoim synom grzech cudzołóstwa. Jego błagania przyniosły rychły rezultat. Żydzi oddalili obce żony, a sami głośno prosili Boga o wybaczenie. Historia ta przywoływana jest często, kiedy mówi się o sile postu.

W kolejnym rozdziale czytamy o tym, że Ezra nakazał publiczne odczytywanie Tory pierwszego dnia 7. miesiąca roku (był to dzień Rosz Haszana). Stawał na podwyższeniu otoczony dygnitarzami, święte zwoje czytane były w oryginale, a na potrzeby ludu Lewici tłumaczyli je na język aramejski. Święto trwało osiem dni, a po nim ogłoszono Święto Kuczek, o którym nie pamiętano od pokoleń. Ezra przywrócił wagę szabatu. Dotąd w obrębie miasta nawet w sobotę handlowano, warsztaty rzemieślnicze były otwarte, a rolnicy pracowali w polu. Ezra wyrzucił kupców z miasta i nakazał Lewitom, by nauczyli lud, jak przestrzegać zasad sobotniego odpoczynku. Tak oto lud Izraela znów wziął w posiadanie ziemię sobie daną i przyjął jarzmo prawa, bez którego nie byłby dzisiaj tym, kim jest. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Bohaterowie nadziei

Epidemie, czy wprost pandemie, występują na różnych płaszczyznach ludzkiego życia, nie wyłączając Kościoła. To nieszczęście trapi jednak nie tylko chrześcijan, ale również wyznawców innych religii i niewierzących. W Ewangelii św. Mateusza Jezus mówi: „Z wnętrza, z serca ludzkiego, pochodzą złe myśli, rozpusta, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zawiść, bluźnierstwo, pycha, głupota. Całe to zło wychodzi na zewnątrz i plami człowieka". Dzisiaj, zauważa papież Franciszek, napotykamy „niebezpieczeństwa innego rodzaju. Panują dwie przeciwne tendencje, z jednej strony sekularyzm, który prowadzi do światowości. Druga pokusa to zamknięcie się w przestarzałym albo wręcz nieewagelicznym sposobie rozumienia swojej roli w Kościele, prowadzącym do bezpłodnego klerykalizmu". Jak nie ulec temu zepsuciu?

Wśród wielu sposobów zaradzania temu nieszczęściu Franciszek wymienia nadzieję i wskazuje na młodzież jako jej „bohaterów": „Nadzieja, przyszłość są w [ich] rękach". Papież wie, jak delikatny i wymagający jest ten skarb, dlatego zachęca młodych: „Niech otuchy dodadzą wam słowa: nie lękajcie się, bierzcie odpowiedzialność w swoje ręce, bądźcie odważni, realizujcie swoje marzenia". Ale o czym młodzi marzą? Odpowiedzi na to pytanie szukał Synod.

Młodzi mają to do siebie, że, jak mówił Czesław Miłosz, sięgają po niemożliwe, czyli marzą o cudzie przemiany wody ludzkiego życia w wino. Szukają proroka takiego jak Eliasz, który wskaże im dzban, w którym nigdy „nie skończy się mąka", i baryłkę, w której nigdy „nie braknie oliwy (...) aż do dnia, w którym Pan ześle deszcz na ziemię". Marzą o niewyczerpującym się źródle, z którego wypływa światło dla oczu, rozumu i serca, aby trafnie rozeznać, zrozumieć, co tu i teraz jest działaniem Boga. Dlatego liczą na pomoc życiowo doświadczonych: rodziców i starszych Kościoła.

Jezus zapoczątkował swoją działalność przy stole weselnym w Kanie, dopełnił przy stole paschalnym w Jerozolimie i przedłuża w każdej mszy po to, byśmy umieli dostrzec Go również poza świątyniami w naszych domach, przy naszych domowych stołach-ołtarzach. A ponieważ Jezus zawsze przychodzi w towarzystwie ludzi, to znaczy, że przyprowadza nam gości, których my, „w Jego Imię", mamy zaszczyt podejmować. Wszystko po to, żeby sen-marzenie młodych i starych, ale również Boga, mógł się spełnić. Żeby tak się stało, trzeba chrześcijan na wzór Maryi, sług z Kany i apostołów. To dzięki ich uważności, wrażliwości i pracowitości, dzięki ich zaufaniu Jezusowi, mógł On uratować ich „radość miłości", a tym samym upewnić nas, że cud Jego obecności i działania wciąż trwa. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Dwa słowa

Dobiega końca Synod Biskupów. Gdy to piszę, dokument końcowy jest jeszcze tajemnicą; wolno mi wszakże podzielić się najważniejszymi odkryciami. Odkrycia te dają się ogarnąć kilkoma najprostszymi słowami.

Pierwsze z nich to różnorodność. Dość szybko na Synodzie uświadomiono sobie, że nie da się namalować jednego obrazu młodzieży, przystającego do wszystkich kontekstów. My (z „Zachodu") najchętniej mówimy o młodych zanurzonych w świecie wirtualnym, tymczasem ojcowie synodalni z Afryki mówią, że połowa ich młodych jest niepiśmienna! Ten brak dostępu do edukacji generuje następne problemy: nie mając żadnych perspektyw życiowych u siebie, młodzi Afrykańczycy decydują się na emigrację (ponad 80 proc. młodych z Afryki to migranci) – większa część z nich szuka szczęścia w migracji do krajów zachodnich. Tu jednak pada łatwym łupem ludzi głęboko niemoralnych i – jeśli przeżyją niebezpieczeństwa wędrówki – stają się prawdziwymi niewolnikami (liczbę niewolników w dzisiejszym świecie szacuje się na poziomie 40 mln!).

Ubolewamy, że zachodnia młodzież z trudem odnajduje drogę na niedzielną Eucharystię. Młodzież azjatycka uczęszcza na nią w absolutnej większości (w Wietnamie w 90 proc.); więcej – młodzież azjatycka poświadcza swoją wiarę w sposób radykalny: najgłębsza cisza zalegała na sali synodalnej wtedy, gdy azjatyccy biskupi opowiadali o konkretnych przypadkach męczeństwa młodych ludzi.

Różnorodność stawia znaki zapytania przy tezach, które uznaliśmy już za niekwestionowalne. Jakże jestem Panu osobiście wdzięczny za dar poznania biskupów afrykańskich i azjatyckich; za możliwość bliskiej współpracy z biskupami australijskimi i amerykańskimi.

Drugie słowo to synodalność, a nawet synodalność misyjna. To termin dyscyplinujący metodę działania Kościoła. Kościół jest dla misji, a nie dla siebie samego – Franciszek powtarza to nieustannie. Kościół jest dla ewangelizacji. Ewangelizacja wszakże nie jest „prywatnym" dziełem kogokolwiek. Jest zawsze misją Wspólnoty. Nie jest wszakże taką dopiero na etapie realizacji, jest taką również na etapie refleksji – przygotowania – planowania – rozeznawania.

Ojcowie podkreślali: „synodalność" oznacza „partycypację" – współudział. I współodpowiedzialność. Owo „współ-" ma rozmaite wymiary: na trzy dni przed zamknięciem Synodu jego członkowie przeżyli wspólną pielgrzymkę do grobu św. Piotra. Jakieś osiem kilometrów z Monte Mario do Watykanu wędrowali razem (*syn-hodos* znaczy tyle, co „wspólna droga") kardynałowie, biskupi, księża, osoby konsekrowane, młodzi audytorzy i młodzież rzymskich parafii.

Synodalność jako metoda życia i misji Kościoła nie kończy się z Synodem. Zostaje zadana nam wszystkim w lokalnych Kościołach. Synodalność oznacza również zasadniczą zmianę perspektywy: przestajemy się zastanawiać nad tym, co Kościół może jeszcze zrobić dla młodych. Zaczynamy rozeznawać, co może zrobić razem z młodymi. Młodzi nie są bowiem jedynie „nadzieją" i „przyszłością" Kościoła. Są jego teraźniejszością. ©

Bóg stworzył mnie jako nie-istnienie, które wydaje się istnieć, abym, wyrzekając się z miłości tego, co uważam za swoje istnienie, wyszła z nicości. Wtedy już nie ma ja. Ja jest nicością.

SIMONE WEIL

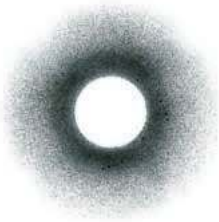

Powrót do korzeni to cisza i spokój. Powtórne narodziny.

LAOZI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (4-11 XI)

31. niedziela zwykła: Pwt 6, 2-6; Ps 18; Hbr 7, 23-28; Mk 12, 28b-34;
Poniedziałek: Flp 2, 1-4; Ps 131; Łk 14, 12-14;
Wtorek: Flp 2, 5-11; Ps 22; Łk 14, 15-24;
Środa: Flp 2, 12-18; Ps 27; Łk 14, 25-33;
Czwartek: Flp 3, 3-8a; Ps 105; Łk 15, 1-10;
Piątek: Ez 47, 1-2. 8-9. 12; Ps 46; J 2, 13-22;
Sobota: Flp 4, 10-19; Ps 112; Łk 16, 9-15;
32. niedziela zwykła: 1 Krl 17, 10-16; Ps 146; Hbr 9, 24-28; Mk 12, 38-44.

KRAJ

SEZON POLOWAŃ NA ZIOBRĘ

Jarosław Kaczyński był specjalistą od wyborczych zwycięstw, które niewiele mu dawały. Ta klątwa powraca. Rozliczenia po wygranej, która w PiS jest odbierana jako porażka, mogą być krwawe.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jeśli wierzyć ekspertce od mowy ciała przepytanej przez jeden z portali internetowych, to w momencie ogłaszania wyników wyborów samorządowych prezes PiS Jarosław Kaczyński z trudem krył poczucie goryczy. „Zero radości, dał do zrozumienia, że przegrał" – wróżyła z grymasów i gestów. „Całym sobą manifestował rozczarowanie".

Nie trzeba być ekspertem od języka ciała, by pojąć, że niezadowolenie prezesa było w pełni uzasadnione. To nie tak miało być.

Poligon wyborczy

Nigdy dotąd wybory samorządowe nie były tak ważne dla wszystkich głównych graczy. Gdzie nie spojrzeć, rezultaty są czytane, analizowane i nicowane na wszelkie sposoby. To oczywiście dlatego, że tegoroczne wybory to przygotowanie do kluczowego starcia – wyborów parlamentarnych za rok, które zdecydują o kontynuacji rewolucji Kaczyńskiego lub jej drastycznym przerwaniu.

Arytmetycznie niby wszystko się zgadza – jak przewidywano, PiS wygrało wybory do sejmików wojewódzkich, które najbardziej przypominają wybory sejmowe (34 proc). Cztery lata temu PiS też wygrało, tyle że nieznacznie i z wynikiem wyraźnie gorszym (27 proc.). Szkopuł w tym, że – bez względu na oficjalną propagandę sukcesu – w PiS obowiązywał inny punkt odniesienia. W wyborach parlamentarnych w 2015 r. partia zdobyła prawie 38 proc. głosów. Ponieważ po objęciu władzy wpompowała w rodzinne budżety Polaków dziesiątki miliardów, miała prawo oczekiwać większej wdzięczności, liczonej wynikiem przekraczającym 40 proc.

To miało dać hegemonię, czyli samodzielne rządy, w większości sejmików wojewódzkich.

Ostatecznie PiS zwyciężyło w dziewięciu sejmikach: dolnośląskim, lubelskim, łódzkim, małopolskim, mazowieckim, podkarpackim, podlaskim, śląskim i świętokrzyskim.

Pozostałe regiony przypadły Koalicji Obywatelskiej, na którą składają się PO i Nowoczesna.

Nawet jeśli po ogłoszeniu oficjalnych wyników PiS nieco zyskało wobec pierwszych prognoz socjologicznych – które dawały mu 32 proc. – to ta chwilowa ulga nie przykryje uczucia rozgoryczenia i frustracji.

Uśpieni sztabowcy

Sztabowców PiS uśpiły stabilne, wysokie notowania przez większość kampanii. Ale zaważył finał, w którym PiS zaliczył spektakularne kłopoty.

Po pierwsze, na jaw wyszły taśmy Mateusza Morawieckiego nagrane, gdy pięć lat temu jako prezes banku prowadzał się z ludźmi Platformy do niesławnej knajpy nagrywających kelnerów Sowa i Przyjaciele. Potem na jaw wyszedł skrywany przez ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę wniosek do Trybunału Konstytucyjnego, dotyczący zbadania zgodności z polską Konstytucją jednego z zapisów Traktatu o Unii Europejskiej, co opozycja zręcznie okrzyknęła początkiem wyprowadzania Polski z UE.

W ostatnich godzinach kampanii spadła na PiS decyzja unijnego Trybunału Sprawiedliwości dotycząca wstrzymania obowiązywania ustaw sądowych i przywróce-

RAFAŁ OLEKSIEWICZ / REPORTER

Zbigniew Ziobro w Sejmie, dwa dni po wyborach, 23 października 2018 r.

nia do orzekania wszystkich sędziów Sądu Najwyższego, których PiS pod rękę z prezydentem chciało wysłać na wcześniejsze emerytury. W PiS panuje przekonanie, że moment decyzji luksemburskiego sądu jest nieprzypadkowy, że to pośrednia ingerencja tej traktowanej z podejrzliwością „zagranicy", która ma wspierać opozycję, by przywrócić ją do władzy.

Kiedy więc w wieczór wyborczy prezes Jarosław Kaczyński ogłaszał sukces swej partii („kończymy wybory wynikiem, który dobrze wróży, jeśli chodzi o przyszłość"), to – ma rację ekspertka od mimiki – robił dobrą minę do złej gry. PiS wygrało, ale już widać, że w praktyce może mieć kłopot z konsumpcją owego zwycięstwa.

Niemal na pewno Kaczyńskiemu nie uda się objąć władzy we wszystkich zwycięskich regionach. W innych partiach PiS ma opinię ugrupowania jadowitego, więc chętnych do koalicji brakuje. W efekcie Kaczyński ma gwarancje rządów jedynie tam, gdzie PiS wygrało samodzielnie, czyli w sześciu województwach (Lubelszczyzna, Łódzkie, Małopolska, Podkarpacie, Podlasie, Świętokrzyskie). Może uda mu się jeszcze stworzyć koalicję na Dolnym Śląsku, gdzie na współpracę mogą pójść Bezpartyjni Samorządowcy. To niespodzianka wyborów, ugrupowanie założone przez dolnośląskich samorządowców, dawnych współpracowników Pawła Kukiza. Zdobyli w całym kraju 15 mandatów w sejmikach, podczas gdy sam Kukiz – ani jednego.

Platforma odwraca uwagę

Choć Koalicja Obywatelska wypadła wyraźnie słabiej od PiS (dostała 27 proc. poparcia), ma szanse zachować władzę w większości regionów, w tym na Mazowszu, gdzie walka trwała do ostatniej chwili. Powód jest prosty – to, czego brakuje PiS, Platforma ma w nadmiarze. Jest w stanie stworzyć regionalne koalicje z wieloma ugrupowaniami i w ten sposób zdobyć większość w sejmikach, nawet jeśli w niektórych z nich nie wygrała.

Mimo to trudno uznać wyniki za sukces Platformy czy też Koalicji Obywatelskiej. Wieczór wyborczy, na którym uwagę przykuwały imponujące zwycięstwa w pierwszej turze prezydenckich kandydatów KO w dużych miastach, odwrócił uwagę od zasadniczych bolączek, które widać po wynikach. Po pierwsze, tak długo wyczekiwana i ogłoszona z pompą współpraca obu ugrupowań liberalnych nie doprowadziła do żadnej zasadniczej zmiany na scenie politycznej.

KO nawet nie obroniło stanu posiadania Platformy i Nowoczesnej z wyborów parlamentarnych w 2015 r. Startując wówczas oddzielnie, partie zdobyły niemal 32 proc. (Platforma 24 proc., Nowoczesna zaś prawie 8 proc.). Gdzie są ci dawni wyborcy? Czemu po trzech latach utkanych kontrowersjami działań PiS nie popierają opozycji?

Z tego wniosek – i to po wtóre – że szyldy PO, N i KO nie wyglądają na tyle atrakcyjnie, by za rok dawały realną szansę na walkę z PiS. Stąd pogłoski, że w najbliższych miesiącach dojdzie do zasadniczych zmian w tym największym bloku opozycyjnym. Stronnicy Schetyny zapowiadają dokooptowanie nowych podmiotów. Jego przeciwnicy rozpuszczają plotki, że pakiet kontrolny w tej formacji chciałby uzyskać Donald Tusk, który chce mieć otwartą możliwość powrotu na wybory prezydenckie w 2020 r. Faktem jest, że Tusk wzmocnił swą krajową aktywność, a jego współpracownicy – dotąd ignorujący kontakty z polskimi dziennikarzami – na nowo się ożywili. – Po analizie wyników Donald zrozumiał, że bez zmian po stronie opozycji za rok Kaczyński i tak prawdopodobnie zwycięży – twierdzi jeden z polityków związanych z Tuskiem.

Łowy na lewicę

Gdzie Koalicja Obywatelska może się udać na łowy? Przede wszystkim na lewicę, która wypadła w wyborach fatalnie. Nieco zapomniane, od trzech lat zahibernowane poza Sejmem SLD dostało niespełna 7 proc. (co dało zaledwie 11 radnych sejmikowych w całym kraju). ↦

Partia chciała sprawdzić, czy wyborcy sobie o niej przypomnieli, na co wskazywały niektóre sondaże. Jeśli sobie przypomnieli, to wyjątkowo nieliczni.

W praktyce taki wynik nie daje SLD większych szans na samodzielny start w wyborach sejmowych, gdy polaryzacja między dwoma głównymi blokami będzie jeszcze większa.

Jeszcze gorzej wypadła Partia Razem (1,6 proc.). Ugrupowanie młodej, najczęściej wielkomiejskiej lewicy nie miało wielkich szans w wyborach samorządowych. Ale ten wynik oznacza, że od 2015 r. – gdy Partia Razem osiągnęła sensacyjne 3,6 proc. i dzięki temu zaczęła otrzymywać wsparcie z pieniędzy publicznych – nie zrobiła nic, by zbudować struktury terenowe i pozyskać nowych wyborców.

Z takiego obrotu sprawy może się cieszyć obsadzany w roli mesjasza lewicy Robert Biedroń, ustępujący prezydent Słupska. Pogruchotana Razem i słabe SLD mają wybór: albo włączą się w jego projekt, albo zaczną kolaborację z liberałami z Platformy, albo zginą. Nie przypadkiem Biedroń tryska humorem. – Naciski, żeby tworzyć jakąś Koalicję Obywatelską, pod którą wszyscy się podpiszą, jest fałszywa. Potrzebne jest coś nowego, co uzupełni tę ofertę – stwierdził.

Wykończyć PSL

Nie wiadomo, jakie decyzje podejmie PSL. W kampanii przed wyborami samorządowymi PiS wypowiedziało ludowcom wojnę totalną, na zniszczenie. Czując, że w dużych miastach nie uda się pozyskać nowych wyborców – ostatecznie udało się ich jedynie stracić – PiS postanowiło udać się na jeszcze głębsze łowy na akwenach kontrolowanych dotąd przez PSL. Już w 2015 r. PiS wygrało swe samodzielne rządy dzięki poparciu wsi, a Kaczyński nakazał skonstruować Program 500 plus jako bezpośrednią wypłatę gotówki w dużej mierze dlatego, że gdyby był podatkową ulgą, rolnicy nie mogliby z niego skorzystać.

Ostatecznie Kaczyńskiemu nie udało się wykończyć PSL – to także jedna z porażek PiS i przyczyna słabszego wyniku w porównaniu z wyborami parlamentarnymi. Może zaważyło niezadowolenie wsi z działań rządu (w połowie czerwca Morawiecki usunął niepopularnego ministra rolnictwa Krzysztofa Jurgiela)? Może zdecydowało przywiązanie do szyldu PSL, obecnego w samorządach od początku III RP?

> Dla rozwoju sytuacji **kluczowe jest to, w co wierzy Morawiecki.** Jeśli jest przekonany o nielojalności Ziobry, to z pewnością będzie szukał rewanżu.

Nie zmienia to faktu, że PSL wyszło z wyborów ciężko poranione. Początkowy entuzjazm ludowców – którym pierwsze badania dawały prawie 17 proc. poparcia – szybko minął, gdy zaczęły spływać oficjalne wyniki. Ostatecznie PSL dostało poparcie nieznacznie przekraczające 12 proc., tracąc wielu radnych w Polsce i oddając PiS kontrolę nad swymi tradycyjnymi włościami, choćby sejmikiem świętokrzyskim.

Ludowcy dostali za mało, by ze spokojem iść za rok do wyborów samodzielnie, a za dużo, by pokornie doczepić swą zieloną, czterolistną koniczynkę do sztandarów PO i Nowoczesnej.

Pamiętać przy tym należy, że ludowcy mają specyficznych wyborców. Porównanie wyników wyborów samorządowych z 2014 r. i parlamentarnych z 2015 r. pokazuje, że spora część wyborców samorządowych PSL w wyborach do Sejmu głosuje na PiS.

Dlatego szef ludowców Władysław Kosiniak-Kamysz nie chce słyszeć o regionalnych koalicjach z PiS. Do wyborów parlamentarnych zamierza toczyć z Kaczyńskim boje w obronie swego elektoratu.

To przez niego, panie prezesie

O ile wyniki samorządowe będą mieć zasadnicze znaczenie dla dalszego losu wszystkich głównych graczy, to jednak PiS jest w sytuacji szczególnej. Oficjalnie w partii panuje spokój i cisza, by nie psuć nielicznych wyborczych szans kandydatów PiS w drugiej turze. Tak naprawdę jednak w PiS buzuje. Z jednej strony trwa szukanie winnych, z drugiej szykują się poważne przetasowania na partyjnych szczytach.

Jak zwykle w PiS w razie porażki – nawet jeśli jest to porażka zwycięska – objawili się już pierwsi krytycy, podpowiadający prezesowi, kogo obsadzić w roli kozłów ofiarnych.

Wicemarszałek Senatu Adam Bielan, wieloletni sztabowiec wyborczy PiS, dziś bliski premierowi Morawieckiemu, zapowiedział audyt kampanii i mimochodem rzucił, że przestrzegał towarzyszy przed nadmiernym inwestowaniem w wybory w Warszawie. W języku partyjnego aparatu to jasny donos na kandydata PiS w stolicy Patryka Jakiego i jego promotora Zbigniewa Ziobrę. Donos nieprzypadkowy – Morawiecki i jego otoczenie widzą (lub na siłę chcą zobaczyć) rękę Ziobry we wszelkich kampanijnych wpadkach, które mogły doprowadzić do utraty przez PiS kluczowych procentów, decydujących o tym, co jest zwycięstwem, a co zwycięską porażką.

Jak głoszą dobrze poinformowani siewcy politycznych plotek, premier wierzy, że to Ziobro stoi za publikacją przez Onet materiałów z akt afery taśmowej, w tym jego nagrania z biznesowymi przyjaciółmi. Rozmowa z wiosny 2013 r. – gdy Morawiecki był prezesem prywatnego banku – pokazuje go jako liberała, który uważa, że ludzie mają zbyt wysokie oczekiwania, krytyka darmowej edukacji i służby zdrowia, człowieka blisko związanego z ówczesnymi liderami Platformy Obywatelskiej.

Ta rozmowa mocno nadszarpnęła starannie pielęgnowany wizerunek Morawieckiego jako Robin Hooda z sercem na dłoni. Stąd – wedle zasady „kto na tym skorzystał?" – Morawiecki wskazuje na swego głównego konkurenta, czyli Ziobrę, jako źródło przecieku.

Wszak akta to prokuratura, a prokuratura to...

Wyciek, którego nie było

Jako jeden z autorów kilkunastu materiałów w Onecie opartych na danych z akt mogę z całą mocą zaprzeczyć: to bzdura. Nie było przecieku i nie było Ziobry. Dostęp do akt uzyskaliśmy legalnie, za zgodą Sądu Najwyższego, który jest w tej chwili ich dysponentem (bada kasację na wniosek głównego bohatera afery, Marka Falenty). Na kopię każdego dokumentu mamy odrębne pozwolenia.

Z punktu widzenia sytuacji politycznej nie ma to jednak większego znaczenia. Jeśli Morawiecki wierzy w inspirującą moc Ziobry, to żadne deklaracje jego wiary obalić nie zdołają.

A dla rozwoju wypadków politycznych kluczowe jest właśnie to, w co wierzy Morawiecki – bo jeśli jest przekonany o nie-

lojalności Ziobry, to znaczy, że będzie szukał rewanżu.

Faktem jest też, że Morawiecki widzi twarz Ziobry w każdej ze swych porażek. Tak było choćby w sprawie kontrowersyjnej ustawy o IPN, która powstała w resorcie sprawiedliwości, a jej skutki uderzyły w premiera. Gdy „Newsweek" opisał żonglowanie majątkiem przez Morawieckiego, premier także skarżył się Kaczyńskiemu, że to robota prokuratora generalnego.

Ale może być też tak, że Morawiecki, twardo stąpając po ziemi, wcale w ziobrowy spisek nie wierzy. On go kreuje, chcąc wykorzystać ujawnienie taśm i słabszy wynik wyborczy jako pretekst do rozprawy ze swym najsilniejszym przeciwnikiem.

Ostatnia przeszkoda

Patrząc na to chłodno, Ziobro jest ostatnim człowiekiem, który stoi Morawieckiemu na drodze do pełnej władzy. Książąt w PiS, których Morawiecki musi brać pod uwagę przy podziale wpływów w razie sukcesji, jest kilku: Brudziński, Kamiński czy Macierewicz. Jednak konkurent ostał się tylko jeden, właśnie Ziobro. Z książętami Morawiecki musi się układać, ulegać im i ich politycznie korumpować. Ziobrę chce wyeliminować.

To może być główny efekt wyborów samorządowych, w których PiS wypadł dużo poniżej oczekiwań Kaczyńskiego – bratobójcza wojna delfinów.

Nigdy nie było lepszego momentu. Wściekłość Kaczyńskiego na końcówkę kampanii – w tym na media – łatwo skierować przeciw Ziobrze. Porażka jest sierotą, a Morawiecki chce za wszelką cenę, żeby to Ziobro okazał się jej przybranym ojcem.

Rozprawa z Ziobrą nie jest jednak takim spacerkiem jak odstrzelenie kilku gospodarczych ministrów, którzy wcześniej stali Morawieckiemu na drodze. Jest operacją nawet bardziej skomplikowaną i zagrożoną większymi turbulencjami w obozie władzy niż egzekucja Antoniego Macierewicza czy Beaty Szydło. Ziobro ma o wiele bardziej rozbudowane i nie zawsze rozpoznane przez Morawieckiego wpływy w kluczowych instytucjach państwa. Ma swych ludzi w specsłużbach, spółkach Skarbu Państwa czy w środowiskach popierających władzę, takich jak Radio Maryja. A prokuraturą steruje ręcznie, od niego więc zależy, co jest występkiem, a co nie. To dobra waluta przetargowa w relacjach z innymi graczami w obozie władzy.

Gdyby doszło do otwartego starcia, to jego skutki mogłyby być dla PiS opłakane. Dlatego – takie dobiegają głosy z PiS – rozprawa, choć ostra, ma być cicha. Może np. chodzić o wyrugowanie ludzi Ziobry ze spółek, co znacznie podcięłoby mu skrzydła. Plotkuje się też o odesłaniu go do europarlamentu, by nie bruździł w wyborach za rok.

Do przesilenia dojść mimo wszystko musi, bo Morawiecki jest zdeterminowany. Z kolei Ziobro po ostatnich wystąpieniach Kaczyńskiego – także podczas wieczoru wyborczego, gdy lider partii wychwalał Morawieckiego – musi rozumieć, że nie liczy się w walce o tron.

Wygląda zatem na to, że w wyborach samorządowych akurat samorząd liczył się najmniej. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

REKLAMA

JOSH GROBAN

18 GRUDNIA 2018
TAURON Arena
Kraków

NOWY ALBUM BRIDGES W SPRZEDAŻY OD 21.09

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

JOSHGROBAN.COM

Prestige MJM 10 lat melo radio GAZETA BANKOWA T3 WP cgm.pl jazz.pl Multikino empik STRÖER VIXON pap PRESS SERVICE

JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

Marsz dzieci z okazji 100-lecia niepodległości, Kraków, październik 2018 r.

Widzę Polskę bez smogu

MICHAŁ ZADARA, REŻYSER TEATRALNY:

Piszę wspólnie z ekspertami obywatelską ustawę antysmogową. Marzy mi się kraj, w którym nasze dzieci nie muszą biegać w maskach z samochodu do szkoły.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Przyleciał Pan dwa dni temu z Wiednia do Krakowa. Otworzyły się drzwi samolotu i...

MICHAŁ ZADARA: Nie poczułem różnicy: smog jest niewidoczny i najczęściej niewyczuwalny, przez co można go uznać za problem wydumany. Niestety – zabija. W Anglii w ostatnim miesiącu sąd uznał smog za przyczynę śmierci 13-letniej dziewczynki. Mieszkała przy skrzyżowaniu.

A wracając do Krakowa, bardzo mi się podobał pociąg do centrum za kilka złotych.

W przeddzień w mieście pomiary wykazały przekroczone normy.

O trzeciej rano wracałem pieszo z teatru Łaźnia Nowa do hotelu: to około trzech kilometrów spaceru przez Nową Hutę. Oddychało się normalnie, ale ponieważ słyszałem o przekroczonych normach, wszedłem na dwie aplikacje podające na bieżąco informacje o czystości powietrza. Obie bazują na tych samych pomiarach. Aplikacja amerykańska mówiła, że powietrze w tej części Krakowa jest dość zanieczyszczone. Polska – że stan powietrza jest bardzo dobry.

To porównanie pokazuje polski problem: coś, co jest zagrożeniem, my uznajemy za normę. Mimo że od kilku lat istnieje świadomość smogu i jego szkodliwości, nadal zanieczyszczenie uznajemy za coś nieuchronnego.

Mniej więcej w czasie, gdy przylatywał Pan do Krakowa, tutejsza kurator oświaty zorganizowała w 100-lecie niepodległości marsz dzieci pod hasłem: „Widowisko dumy i radości". „Strasznie mi przykro, że mamy takie powietrze – mówiła. – Nie mam na to wpływu. I tak codziennie chodzimy po ulicach Krakowa, mam więc nadzieję, że akurat ten dzień nie spowoduje strasznych szkód w naszym zdrowiu".

Od realnego działania wolimy pokazy i rocznice. Od myślenia naukowego – myślenie metafizyczne. Tymczasem wiara nie musi się kłócić z chęcią naprawy realnego świata. Przeciwnie: powinna pomagać nam zmieniać świat, a nie usprawiedliwiać go w tym kształcie, w jakim jest. Mamy dwa wyjścia. Pierwsze: pogodzić się z tym, że smog zabija i truje nasze dzieci, sprawia, że gorzej się rozwijają, częściej chorują i wolniej rosną, przykrywając tę prawdę złudnym przekonaniem, że są ważniejsze sprawy. Wyjście drugie: próbować to zmienić.

Gdy opowiedział pan historię dzieci maszerujących w Krakowie przez smog na rozkaz dorosłych, pomyślałem o innych marszach. W Stanach Zjednoczonych to dzieci, ofiary strzelanin w szkołach, wychodzą na ulice. To nie są żadne „marsze nadziei", tylko krzyk pod adresem polityków: „Wstydźcie się za to, że współpracujecie z firmami produkującymi broń!". Byłoby wspaniale, gdyby polska młodzież na wieść o tym, że ich miasto po raz kolejny ma najgorsze powietrze na świecie, weszła do ratusza i powiedziała: „Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie przestaniecie nas truć!".

Na razie Pan postanowił zrobić coś w imieniu tych dzieci.

Wspólnie z prawnikami i ekspertami piszemy obywatelską ustawę antysmogową.

Jest rządowy program „Czyste Powietrze", są samorządowe uchwały antysmogowe.

Te działania są ważne, ale niewystarczające. Program „Czyste Powietrze" dotyczy palenia w piecach. Ale gdy w Warszawie we wrześniu było zatrute powietrze, temperatura sięgała 27 stopni, więc nikt w piecu nie palił. To kluczowy element, ale nie jedyny.

Nie mogę na razie wiele powiedzieć o ostatecznych rozwiązaniach naszego projektu, bo prace dopiero ruszyły. Ale na pewno będzie to dokument zbierający – częściowo na razie rozproszone, a częściowo w ogóle nieistniejące – przepisy z różnych dziedzin życia, które mają wpływ na jakość powietrza. Chodzi o emisję zanieczyszczeń, ruch drogowy, jakość samochodów, mycie nawierzchni, jakość węgla opałowego i tak dalej. Czynników powodujących smog jest wiele, więc ustawa musi być kompleksowa.

Kim są zaproszeni do pracy eksperci?

To już około 30 osób: prawnicy, legislatorzy, naukowcy z takich uczelni jak AGH czy Politechnika Warszawska, którzy udostępnią nam wyniki swoich badań. Ale też np. politolodzy, którzy pomogą w kwestiach technicznych, takich jak zbieranie podpisów. Teraz potrzebujemy trochę pieniędzy, by profesjonalnie przekuć wyniki badań – które już są – na język prawny. A następnie dobrej organizacji pracy, by mimo skrajnie ograniczonych środków wpłynąć na jakość życia Polaków. Jeżeli ktoś może w tym pomóc – zapraszamy.

Kalendarz prac jest następujący: w grudniu podczas Forum Przyszłości Kultury w Teatrze Powszechnym w Warszawie zaprezentujemy założenia do ustawy, czyli diagnozę oraz jak w miarę możliwości szybko i skutecznie zlikwidować w Polsce smog. Potem zaczną się szczegółowe prace nad tekstem. W marcu zamierzamy rozpocząć zbieranie podpisów. Wiosną zaniesiemy projekt do Sejmu.

Wie Pan, jakie są losy ustaw obywatelskich w Polsce?

Wiem, bo sam nad jedną z nich – medialną – pracowałem. Przepadła, mimo że stały za nią najtęższe umysły ze wszystkich stron politycznego spektrum i mimo że zgłaszały ją też kluby parlamentarne.

W Polsce w życie wchodzą nieliczne ustawy, które mają na celu dobrobyt istot żywych. Jednej z nich, dotyczącej zakazu hodowli zwierząt futerkowych, nie udało się przeforsować mimo poparcia samego prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Tak silny był nacisk futerkowego lobby. Czym jest życie i cierpienie milionów istot wobec zysku milionów złotych?

Pyta mnie pan więc o sens działania, które – przynajmniej pozornie – nie ma większej szansy powodzenia. Ten brak wiary w sens widać nawet podczas spotkań naszej grupy inicjatywnej. Dominuje zdanie: „nie da się". Nie da się, „bo węgiel". Nie da się, „bo gra interesów". Nie da się, „bo to problem bogatych warszawiaków". Nie da się, „bo polityka jest cyniczna". Nie da się, „bo Polska", a w Polsce „jest syf".

Ja tymczasem twierdzę, że się da. Jestem też pewien, że formułka „nie da się" nie może być wiecznym usprawiedliwieniem sytuacji, w której godzimy się na codzienne zatruwanie. W której rezygnujemy z podstawowych praw, takich jak spacer czy jazda na sankach.

Ktoś z boku mógłby powiedzieć: co ma reżyser teatralny do smogu?

Studiowałem początkowo politologię, a zapytany przez profesora Allena Kuharskiego, wybitnego nauczyciela wielu amerykańskich twórców teatru, dlaczego nie poszedłem do szkoły teatralnej, odpowiedziałem, że nie chcę w ciemnym małym pomieszczeniu mówić do garstki znawców sztuki. On na to, że wpływ, jaki mam w teatrze na świat przez te dwieście czy trzysta osób, jest niejednokrotnie większy i trwalszy niż wpływ, jaki wywiera na wyborców polityk. To właśnie ten argument przekonał mnie najbardziej do obrania takiej drogi.

Teraz, po wyreżyserowaniu 50 spektakli w kraju i za granicą, coraz wyraźniej dostrzegam ograniczenia, jakie niesie ze sobą mówienie do ludzi za pomocą metafory.

Przestał Pan wierzyć w sztukę?

Nie wierzę w tzw. ważny spektakl. Choć i taka sztuka – zmieniająca społeczeństwo – się zdarza, by wymienić choćby spektakl „Klątwa", czy film „Kler", trafiający w jakiś ważny nerw, wywołujący bolesne i konieczne dyskusje. Ale efekty są długofalowe i czasami ledwo dostrzegalne.

Od ewolucji w myśleniu o teatrze do pisania ustawy droga daleka.

Ja też bym wolał, by takimi sprawami zajął się minister środowiska albo jakaś inna ważna instytucja. Ale oni się tym nie zajęli! Sprawdzaliśmy pod różnymi adresami, czy takie prace trwają, albo czy ktokolwiek dąży w inny sposób do kompleksowego zlikwidowania smogu, ale wszędzie uzyskiwałem odpowiedź przeczącą! Nie da się.

Może się Pan narazić na krytykę: rządzący łamią Konstytucję, przejmują sądy, a pan reżyser wraz z ekspertami zajmuje się nadmiarem dymu w powietrzu.

Artykuł 5 Konstytucji stanowi, że Rzeczpospolita Polska zapewnia „ochronę środowiska, kierując się zasadą zrównoważonego rozwoju". Niszczenie zasobów naturalnych i ludzkich nie jest stosowaniem zasady zrównoważonego rozwoju, ale łamaniem Konstytucji. Poza tym ten „dym" z pana pytania odwołuje się do czegoś bardzo pierwotnego. Szkoła mojego syna w Warszawie znajduje się w odległości, którą da się pokonać rowerami. Trudno sobie wyobrazić piękniejszy początek każdego dnia: wsiadamy razem i pokonujemy ten odcinek w pół godziny, przejeżdżając przez dwa miejskie parkiTo jest rytuał, który nadaje życiu sens.

I jeśli nagle zostaje nam to odebrane – bo podczas tej podróży zaczynamy kaszleć, bo dociera do nas, że to powietrze nas po prostu zabija – to w jakimś znaczeniu tracę sens życia. Zwłaszcza gdy pomyślę dodatkowo o moim najmłodszym dziecku: że – zgodnie z badaniami, jakie przeprowadza się na temat szkodliwości smogu – dzieci gorzej się rozwijają, i są narażone na ryzyko mniejszego ilorazu inteligencji pod wpływem działania zanieczyszczonego powietrza.

Kiedy chcemy iść na marsz w obronie sądów albo – dajmy na to – w obronie nienarodzonych dzieci, ale podczas demonstracji zaczynamy się dusić, to również tak chwalebne zaangażowanie obywateli traci sens. Bezpośrednia demokracja staje się nieatrakcyjna i trująca. Zatrute powietrze sprzyja tym, którzy są u władzy. „Winston Smith, z głową wtuloną w ramiona dla osłony przed tnącym wiatrem, wślizgnął się przez szklane drzwi do Bloku Zwycięstwa, ale nie dość szybko, by powstrzymać tuman ziarnistego pyłu, który wtargnął za nim do środka" – czytamy już w drugim zdaniu „Roku 1984" Orwella. Ten tuman ziarnistego pyłu czujemy dzisiaj niemal wszyscy. Niezależnie od tego, czy kochamy Polskę, i jak ją kochamy, w którymś momencie przychodzi nam do ↦

↦ głowy, żeby stąd po prostu uciekać, bo nie chcemy żyć w roku 1984. Orwell odkrył, że dewastacja przyrody i dewastacja instytucji demokratycznych to ten sam proces.

Chce Pan, by o projekcie ustawy usłyszeli ludzie Kościoła. Dlaczego?

Dyskusja o smogu dotyka najważniejszych sfer naszego życia: sensu, wartości, wolności. Jestem ateistą, ale szalenie – by tak rzec – religijnym ateistą. To znaczy kimś, dla kogo te pojęcia są fundamentalne. A wzięły się one przecież w tradycji Zachodu z religii. To Biblia w Księdze Wyjścia mówi o niewolnikach żydowskich, którzy chcieli się wyzwolić i posiadać własny kraj. Martin Luther King, który poruszył serca milionów ludzi, wyniósł postulaty ruchu o prawa obywatelskie do poziomu religijnego, zakotwiczył je w języku nadziei, języku biblijnych proroków.

Marzy mi się kraj, w którym nasze dzieci nie muszą biegać w maskach z samochodu do szkoły, ale oddychają bez lęku i bez respiratora. To marzenie o wyzwoleniu. Zaangażowanie ludzi wierzących, na czele z księżmi, jest w przypadku smogu realne. Wielu z nich już się sprawami ekologii i powietrza zajmuje.

A ludzie kultury? W Polsce ich zaangażowanie w sprawy publiczne przybiera zwykle formy polityczno-partyjne. To dobrze?

Gdy pada u nas słowo „polityka", od razu uruchamiają nam się złe skojarzenia. Mówimy „polityka", myślimy „walka o władzę". Nie mam problemu z tym, że np. uwielbiany przeze mnie piosenkarz Piotr Szczepanik udzielił poparcia PiS-owi, a ktoś inny innej partii. Przeciwnie: uważam, że demokracja to również spór, a czasami kłótnia. Nie zgadzam się z tymi, którzy uważają, że największym problemem są „polskie podziały". Niech one będą i niech wybrzmiewają, dzięki temu będzie nam łatwiej nazwać to, co nas różni i w co wierzymy. A następnie łatwiej będzie budować ponad tymi różnicami mosty.

Zresztą zaangażowanie artystów w politykę jest zjawiskiem powszechnym również w innych krajach. Dostrzegam tylko jedną poważną różnicę między Polską a choćby Stanami Zjednoczonymi.

Jaką?

Rzadko mówimy u nas językiem wartości, tak jakbyśmy uważali, że to tylko domena księży, i tak jakbyśmy się tego języka wstydzili. Np. showman Stephen Colbert, podobnie jak jego polscy odpowiednicy – choćby Kuba Wojewódzki – robi sobie jaja, ale – inaczej niż oni – nie boi się przy tym mówić, że ktoś postąpił niegodziwie, skłamał albo używa podłego języka agresji. Że homofobia jest nie do przyjęcia, że rasizm jest czymś ohydnym.

Czy u nas zagrożona jest demokracja?

Demokracja jest zawsze zagrożona. Ateńska demokracja była ciągle likwidowana przez różne tyranie i znowu przywracana. Demokracja oznacza: ciągła walka o demokrację. Gdy patrzę na USA, gdzie prezydent nie jest w stanie powiedzieć, że marsz nazistów jest zły, a jego kumple z Arabii Saudyjskiej mają krew opozycyjnego dziennikarza na rękach – to widzę, że nie jest u nas gorzej.

U nas też rząd i prezydent mają kłopot z potępieniem nazistów na marszu niepodległości. W Polsce rządzą siły tęskniące za władzą silnej ręki, więc wszystko zależy od tego, czy my, obywatele, demos, potrafimy sami o demokrację walczyć. Na razie nasza władza legitymuje się wygranymi wyborami, a nie przemocą. Cały czas jesteśmy w paradygmacie państwa prawa i mam wrażenie, że większość ministrów chce w tym paradygmacie pozostać.

W tym paradygmacie jest miejsce dla obywateli, którzy chcą i potrafią zmieniać rzeczywistość, np. przywrócić czyste powietrze. Nie możemy być bierni. To by oznaczało śmierć demokracji – i to w smrodzie spalin.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TOMASZ URBANEK / EAST NEWS

MICHAŁ ZADARA *(ur. 1976) jest reżyserem teatralnym. Studiował m.in. teatr i politykę w Swarthmore College i reżyserię teatralną w Krakowie. Współzałożyciel ruchu Obywatele Kultury. Wystawił m.in. „Dziady bez skrótów" (Teatr Polski we Wrocławiu), czyli pierwszą inscenizację całości wszystkich części dramatu Mickiewicza.*

Ambasada pod lipą

JACEK GĄDEK

Nad budową nowej polskiej placówki w Berlinie wisi fatum. Ministerstwo najpierw wyrzuciło do kosza plany poprzedników. A potem je przywróciło.

Prestiżowy adres w sercu Berlina, aleja Unter den Linden 70 (Pod Lipami), to dziś wyrwa w zabudowie i posępna dziura w ziemi. Płot w środku miasta zdobią plakaty z żubrami, przyrodą, widokami z polskich miast i coraz to nowymi gigantycznymi planszami. Takiego konceptu nie powstydziłby się działający w Niemczech satyryczno-dadaistyczny Klub Polskich Nieudaczników. Kłopot w tym, że to nie performans, ale pomnik nieudolności.

W czasach PRL-u ambasada w Berlinie wschodnim mieściła się w budynku typu „Lipsk". Stalowo-betonowy kloc na NRD-owskiej licencji, wzniesiony jeszcze w latach 60., przy użyciu szkodliwego dla ludzi azbestu. Wyróżniał się zielonkawą elewacją z hartowanego szkła, za którym budynek dosłownie się kruszył, aż groził zawaleniem. Polscy dyplomaci urzędowali w nim do połowy lat 90. Ruderę na dobre zamknięto w 1999 r.

Dyplomaci przenieśli się tymczasowo do dzielnicy Grunewald na obrzeża miasta, do budynku byłej Polskiej Misji Wojskowej. W zbyt ciasnym pałacyku ambasadorowie RP urzędują do dziś. Prowizorka trwa w najlepsze.

Pierwszy konkurs rozpisano w roku 1997, po czterech latach miała już być przecinana wstęga. Jednak w 2001 r. dalej MSZ miało w garści tylko pozwolenie na budowę. Z braku pieniędzy zrezygnowano z budowy, a nawet remontu, bo koszty łatania ruiny były niewiele niższe niż budowa nowego

PAWEŁ SUPERNAK / PAP

Makiety projektów zgłoszonych w 2012 r. w konkursie na budynek ambasady w Berlinie

gmachu. Przez lata pojawiały się tylko kolejne daty oddania budynku do użytku. Obecny termin to 2022 r.

Wizualizacje Sikorskiego

Na serio za projekt budowy nowej siedziby ambasady zabrał się Radosław Sikorski. Jako szef MSZ mówił w marcu 2011 r. w Sejmie: „Nad tą placówką wisiało jakieś fatum, ale trwa konkurs i mamy nadzieję rozstrzygnąć go do lata. W przyszłym roku będzie tworzona dokumentacja techniczna, a w kolejnym rozpocznie się budowa".

Ale i jemu nie udało siędokończyć budowy nowej ambasady. W nowej książce „Polska może być lepsza" poślizg tłumaczy tak: „W pierwszej kadencji rządu [2007-11] projekt opóźnił się z niezależnych od MSZ powodów. W KPRM wymyślono, że dysponując tak eksponowaną działką w stolicy najważniejszego państwa UE, powinniśmy się pokusić o zbudowanie nie tyle ambasady, ile wręcz całego centrum kulturalno-promocyjnego. Łatwiej powiedzieć, trudniej zrealizować. Gdy przyszło do zapisania, co konkretnie miałoby być pokazywane czy wystawiane, z jakich zbiorów, w jakim rytmie, z jakim budżetem i w jakim celu, ekipa ministra Władysława Bartoszewskiego – wówczas pełnomocnika premiera ds. dialogu międzynarodowego – rozsądnie doszła do wniosku, że szczytny pomysł jest niewykonalny".

Na dodatek w kluczowym momencie główny konsultant architektoniczny projektu – architekt Stefan Kuryłowicz – zginął w wypadku lotniczym.

W 2012 r. jeszcze betonu lać nie zaczęto, ale przynajmniej doprowadzono do końca konkurs architektoniczny. Wygrała go renomowana pracownia JEMS Architekci. Monumentalny projekt zakładał budowę garażu podziemnego, parteru i czterech pięter. Sikorski odszedł ze stanowiska w 2014 r., a wizualizacje zaczęły się kurzyć.

Projekt odkopało Prawo i Sprawiedliwość po wygranych wyborach. Nowy minister Witold Waszczykowski 11 maja 2016 r. przedstawiał z trybuny sejmowej wyniki „audytu" w resorcie. Mówił pewny swego, że czas imposybilizmu się skończył. Utyskiwał, że „na cały projekt Berlin wydano dotychczas 19 mln zł, ale co najmniej połowa tego to koszty niedecyzyjności".

Waszczykowski miał „dobrą wiadomość", że „jesienią tego roku [czyli 2016 – red.] rozpocznie się budowa nowej ambasady". Zwiększył nawet jej budżet, by szybko otwierać front robót. Zapewniał o tym wiceszef MSZ Jan Dziedziczak: „Zakończenie inwestycji zamiast w listopadzie 2016 r. nastąpi w pierwszym kwartale 2019 r., natomiast całkowity budżet projektu wzrośnie o ok. 30,7 mln zł".

Do kosza i do prokuratury

MSZ zebrał oferty na generalne wykonawstwo. Poprzednie kierownictwo zakładało, że koszty sięgną ok. 160 mln zł. Resort otrzymał jednak oferty, z których najniższa opiewała na kwotę 247 mln zł, ponad 50 mln więcej, niż zakładał zwiększony budżet. Zamiast szukać dodatkowych pieniędzy Waszczykowski – który początkowo chciał kontynuować plan Sikorskiego – wyrzucił projekt do kosza. MSZ stwierdziło, że doszło do niedopełnienia obowiązków i rażącej niegospodarności za rządów PO-PSL. Resort podliczył straty na 30 mln zł. Taką sumę MSZ wpisało w listopadzie 2016 r. do doniesienia do prokuratury obok nazwisk podejrzewanych o niegospodarność kilkunastu urzędników.

Śledztwo mimo upływu prawie dwóch lat toczy się z równym powodzeniem jak budowa ambasady. Jest w fazie *in rem* (w sprawie), a nie przeciwko komuś. A prowadzone jest na wysokim szczeblu – Prokuratury Regionalnej w Warszawie. Jej rzeczniczka Agnieszka Zabłocka-Konopka informuje, że śledczy mają dokumentację i przesłuchali świadków. W sprawie powołano także biegłego z zakresu architektury i procesów inwestycyjnych w budownictwie. Śledztwo zostało ostatnio przedłużone do połowy grudnia 2018 r.

Sikorski zaprzecza odpowiadając na pytanie, czy został wezwany na przesłuchanie.

– Może prokuratura chce panu stawiać zarzuty i to dlatego? – pytam. – Byłby pan zaskoczony takim scenariuszem?

– Jeśli miałbym usłyszeć zarzuty za rozpisanie konkursu, którego wyniki są teraz realizowane, to byłaby to nowość, ale i tego nie wykluczam – odpowiada „Tygodnikowi" Sikorski.

Ma rację: projekt faktycznie został wyjęty z kosza i po korektach zleconych architektom ma się teraz zmaterializować. Resort dostał już (we wrześniu) pozwolenie na budowę od władz Berlina. Rząd PiS wrócił zatem do uznawanego wcześniej przez siebie za bombastyczny projektu, a skurczyła się jedynie – minimalnie – powierzchnia garażowa.

A może za darmo?

Nim jednak ministerstwo zatoczyło pełne koło i powróciło do projektu Sikorskiego, chciało wpierw odkurzyć koncepcję sprzed 22 lat. ↦

↦ Otóż w 1996 r. szef dyplomacji w rządzie SLD Dariusz Rosati zapewniał: „Zdecydowaliśmy się na rozwiązanie niekonwencjonalne, które polega na tym, że jedną część działki dzierżawimy konsorcjum niemieckiemu na określoną liczbę lat. W zamian za tę dzierżawę konsorcjum buduje zarówno naszą ambasadę, jak i – na dzierżawionej części – budynek o przeznaczeniu komercyjnym. Po 45 latach – tak są ustalone warunki umowy – umowa dzierżawy wygasa, Polska obejmuje pełną własność na tym terenie oraz nad tym drugim budynkiem". Wtedy po raz pierwszy nic z tego nie wyszło.

Taki koncept analizował też MSZ Sikorskiego, ale skreślono go jako niemożliwy do realizacji. Później – po raz trzeci – ekipa Waszczykowskiego po odrzuceniu projektu Sikorskiego zaczęła rozważać możliwość partnerstwa publiczno-prywatnego (PPP), o którym mówił Rosati.

Budynek ambasady miał być o połowę mniejszy (4-5 tys. m²) w stosunku do pierwotnych planów. Nowa strategia MSZ zakładała, że w 6-7 miesięcy znajdzie inwestora komercyjnego, który wzniesie gmach – a *de facto* dwa, bo konwencja wiedeńska zabrania prowadzenia działalności biznesowej w budynkach dyplomatycznych. Następnie część przekaże MSZ-owi, a część zatrzyma na kilkadziesiąt lat. Maksymalna powierzchnia zabudowy działki wynosi 17 tys. m², prywatny inwestor mógł zatem zyskać ogromną powierzchnię (nawet 12 tys. m²) na elegancki hotel czy inny obiekt licujący z powagą ambasady, w zamian za wybudowanie siedziby dla polskich dyplomatów.

Pomysł był krytykowany nawet przez polityków PiS. Wiceprzewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych Jarosław Obremski mówił wprost, że kolejne lata opóźnień nie są warte spodziewanych oszczędności: „Największym problemem jest to, że mamy w środku Berlina pewien wstyd – rozwalony budynek w reprezentacyjnym miejscu. Mamy naprawdę świetną lokalizację i od 20 lat ją marnujemy".

Resort prowadził więc – to cytat z wiceministra – „szeroko zakrojony dialog rynkowy" z jedenastoma firmami z Polski, USA, Niemiec i Turcji, ale i ten czas poszedł na marne.

Waszczykowskiemu w 2017 r. udało się tyle, co w '96 Rosatiemu. Nic. Z jedną różnicą: przynajmniej zburzył „Lipsk".

Dyplomaci przenieśli się tymczasowo na obrzeża miasta, do budynku byłej Polskiej Misji Wojskowej. W zbyt ciasnym pałacyku urzędują do dziś. **Prowizorka trwa w najlepsze.**

250 milionów się znajdzie

We wrześniu 2017 r. z inicjatywy wówczas jeszcze wicepremiera Morawieckiego zapadła decyzja: zaniechać budowy w formule PPP i wziąć sto procent kosztów na siebie. Poza tym budynek ma na powrót być nie tylko ambasadą, ale też służyć promocji biznesu i kultury. Gmach ma być zatem znów wielki – jak w pierwotnym projekcie JEMS, który zwyciężył w konkursie w 2012 r. Te decyzje były podejmowane za plecami Waszczykowskiego, choć formalnie wyleciał on z rządu dopiero w pierwszych dniach 2018 r.

Sikorski mówi „Tygodnikowi": – Mam gorzką satysfakcję. Bo najpierw mnie opluli, a potem cichcem realizują to, co jako minister z wieloma ludźmi ogromnym nakładem sił im przygotowaliśmy. Mogli przynajmniej siedzieć cicho i się porządnie przyjrzeć projektowi, który odziedziczyli. Nie cenili pracy poprzedników i chcieli wszystko zacząć od nowa.

MSZ to zatoczenie koła uzasadnia teraz „poszerzonym programem funkcjonalno-użytkowym" gmachu, w skład którego wejdą: ambasada, konsulat, Instytut Polski, kilka biur reprezentacyjnych dla innych ministerstw i przedstawicielstw spółek Skarbu Państwa.

Mówi osoba bliska centrali PiS przy Nowogrodzkiej: – Plany partnerstwa publiczno-prywatnego pokrzyżował ambasador w Berlinie Andrzej Przyłębski. Przekonywał Morawieckiego, że nie ma potrzeby, by ktoś obcy nam budował ambasadę, a skoro pokonaliśmy mafie vatowskie, to 250 mln zł to nic. Argumentował, że można by w takiej ambasadzie zmieścić różne instytucje.

Kolejna zmiana kursu to znów poślizg, który sprawi, że budowa przypadnie już na kadencję kolejnego ambasadora. – Ambasador pracuje sobie od poniedziałku do piątku od 8 do 16 i tak naprawdę nie chciało mu się nadzorować tej budowy – komentuje mój rozmówca.

W PiS Przyłębski nie cieszy się opinią dobrego dyplomaty. Ale swoisty immunitet zapewnia mu żona – prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska. – Popełniliśmy błąd z tą nominacją. Nie ma dojść do niemieckich władz. Jest izolowany. No ale trudno, bo tu nie chodzi o niego. Poświęciliśmy sprawność ambasady na rzecz lojalności pani Przyłębskiej. Jest istotniejsza dla władz partii niż ambasador – taką wersję przedstawia jeden z polityków obozu rządzącego.

Dowodem tego miało być np. wystawienie przez IPN Przyłębskiemu świadectwa moralności, choć był on zarejestrowany przez SB jako TW „Wolfgang". Z kolei ich syn zajmuje stanowisko dyrektorskie w państwowym banku Pekao SA.

Będzie drożej

W marcu rząd zainicjował obecny projekt budowy z terminem rozliczenia całej inwestycji do 30 czerwca 2022 r. Przetarg na wybór kancelarii prawnej do obsługi projektu jest w toku, zakończenie zaplanowano na grudzień. Przetarg na wybór inżyniera kontraktu ma być rozstrzygnięty do połowy 2019 r. A na generalnego wykonawcę w trzecim kwartale 2019 r. Szacowany koszt? MSZ go nie podaje, bo ma być określony do końca listopada.

Teraz jednak budowa najprawdopodobniej będzie droższa niż przed paroma laty. Koszty materiałów i robocizny wzrosły w czasach inwestycyjnej *prosperity*. Wybudowanie biurowca – ocenia Bartłomiej Sosna, ekspert rynku budowlanego w firmie Spectis – kosztuje obecnie o ponad 10 proc. więcej niż trzy lata temu. Tempo wzrostu cen wciąż przybiera na sile.

Sama budowa to jeszcze nie koniec utrapień. Biura ambasady nie mogą się łączyć z resztą gmachu. Mówi osoba bliska MSZ: – Przestrzenie muszą być odizolowane. *De facto* musiałyby to być dwa budynki w jednej bryle z odrębnymi wejściami. Inaczej będziemy mieć sytuację taką, jak z ambasadą Korei Północnej w Warszawie, gdzie nielegalnie podnajmowane są pomieszczenia jakimś spółkom. Na podobną sytuację władze Berlina się jednak nie zgodzą.

Wszystko to oczywiście da się zrobić, choć poprzednie 20 lat nie wróży dobrze.

© JACEK GĄDEK

ANNA

Dziewit-Meller: *Wszyscy nieświęci*

W dzieciństwie ze wszystkich świętych najbardziej lubiłam św. Agatę. Co roku 5 lutego, w dniu jej święta, moja niezwykle religijna babcia Aniela przynosiła z kościoła poświęcone chleb i sól, które – zgodnie z obietnicą składaną mi wówczas – miały w razie czego uratować nasz dom od pożaru. Co prawda na co dzień i tak żyłam w przekonaniu, że pożar nam niestraszny, bo na strychu trzymamy przecież zawieszoną przez babcię u powały dachu palmę z niedzieli palmowej, która – jak mawiała babcia wbijając gwoździki w drewnianą belkę – skutecznie odgania pioruny i zwarcia elektryczne, ale mimo wszystko czułam, że lepiej mieć w domu ten chleb, niż nie mieć. Trzy dni wcześniej zresztą babcia przynosiła nam poświęcone gromnice, mówiąc, że jakby zapalenie gardła ktoś przywlókł do domu, to jest na nie rada – św. Błażej je raz dwa wyleczy za pomocą tych oto skrzyżowanych gromnic właśnie.

Z rzeczy świętych dzięki zapobiegliwości babci była też zawsze na stanie święcona woda. Trzymała ją w specjalnej karafce z grubo ciosanego kryształu, wypełnionej kawałkami węgla drzewnego, pływającymi na dnie kryształu jak zatopione wraki galeonów. Wiele razy przekonywała mnie, że to właśnie jej gorliwe modlitwy czynią tę wodę tak krystalicznie czystą. Na dowód, że choć stoi tak długo, to nic jej nie dolega, dawała mi czasem owej wody spróbować. Nalewana wprost ze stojącego w ciemnie i zimnie kryształu była orzeźwiająca i dobra w smaku i żałowałam, że tak rzadko mogę się jej napić. Gazowana woda, którą pijaliśmy na co dzień z brązowych butelek zwrotnych, miewała bowiem nieraz chemiczny posmak oranżady, mocno wżarty w niedokładnie umyte w fabryce szkło. I choć wiadomo w sumie było, że to nie nasze modły sterylizują wodę, tylko ów węgiel, który ją wyjaławia, to wówczas – wiecznie głodna dowodów działania Siły Wyższej – ten gołym okiem widoczny efekt chętnie przypisywałam sile modlitwy mojej babci. Podobnie zresztą jak wielką skuteczność św. Antoniego w sprawach typu zagubiony zeszyt do matematyki, lalka, której nie sposób znaleźć, czy klucze do domu, które gdzieś zniknęły. Nieraz zdawało mi się, że babcia Aniela zawarła z Antonim Padewskim tajny pakt, bo doprawdy – nie było takiej rzeczy, której po kilkakrotnym wezwaniu go nie dałoby się znaleźć.

Nie wiem, na co skuteczny był wiszący w jej sypialni obraz Jezusa w ogrodzie Getsemani, ale lubiłam go dlatego, że gdy patrzyło się nań pod odpowiednim kątem, Jezus zamykał oczy.

Ową szczenięcą i entuzjastyczną ufność w babcine zapewnienia o mocy chleba, wody święconej i apostrof do franciszkańskiego kaznodziei z Padwy kontrował jednak wyrazisty materializm dialektyczny mojej drugiej babci, jej mędrca szkiełko i oko, powściągliwe podejście do wszelkich obrzędów religijnych oraz – nie kryjmy tego – wrodzona wręcz niechęć do wszystkich ludzi w sutannach.

U jednej babci bowiem na ścianach wisiały wyłącznie liczne Maryje z Dzieciątkiem, „Ostatnia Wieczerza" (reprodukcja na wielkim porcelanowym talerzu przywieziona kiedyś przez kogoś z Rzymu), małe i duże krzyże oraz kolorowe zdjęcia Karola Wojtyły. U tej drugiej – „Rzymska sielanka (Przed kąpielą)" Siemiradzkiego, sporych rozmiarów „Szał uniesień" Podkowińskiego oraz obrazy w stylu „Wiosna" Axentowicza, czyli wyłącznie sterczące bezczelnie nagie biusty, bynajmniej nie karmiące żadnego Dzieciątka (ani nawet dzieciątka).

Pomiędzy siedmioma dniami, w których dobry Ponbóczek stworzył nam świat, a zwracaniem się do mnie czułym słowem „zygotka", pomiędzy bezwzględną koniecznością całowania Jezusa do grobu złożonego w zimne stopy a równie bezwzględnym zakazem zbliżania ust do tej „wylęgarni zakażeń", pomiędzy bielanką, co sypie kwiaty w procesji Bożego Ciała, a wyjazdem w góry, bo w końcu wolny weekend, pomiędzy łzami szczęścia z okazji spotkania z Janem Pawłem II na lotnisku Muchowiec a wzruszeniem ramion z tej samej okazji – toczyło się moje dzieciństwo z babciami.

W tym roku zaś w dniu Wszystkich Świętych po raz pierwszy zostałam sama – bo nie ma ze mną już żadnej z nich. Zostawiły mnie w końcu obie i poszły, każda w swoją stronę. Jedna pewnie prosto do dobrego Ponbóczka, w końcu nawet śmierć ją zastała w kościele, na mszy w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, przypuszczam więc, że miała tę drogę w górę bardzo łatwą. Druga – pewnie z ulgą oddała swoje ciało przyrodzie, tlen, azot, wodór, moc wszystkich swoich pierwiastków przekazała ziemi, wodzie, powietrzu, całą swoją miłość do nas wkładając w jądra atomów.

O moich dwóch zupełnie nie świętych Babciach będę więc myśleć w dniu Wszystkich Świętych, jak zawsze rozdarta pomiędzy te dwie lojalności. Zapalę im obu i świeczkę, i ogarek. ©

TP

Kluby „TP" zapraszają

LIPSK, środa, 07.11, godz. 16.00
Spotkanie „Teologia i sztuka w dziełach Cranachów". Miejsce: Museum der bildenden Künste (Katharinenstraße, przy wejściu do Muzeum).

WARSZAWA, sobota, 03.11, godz. 16.00
Kawiarenka „Czy zabierzemy świat ze sobą do grobu". Gościem będzie Michał Olszewski. Prowadzenie: Maja Kuczmińska. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

ZIELONA GÓRA, wtorek, 06.11, godz. 18.00
Dyskusja „O czym opowiada Smarzowski w filmie »Kler«". Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

OWOCE ŚMIERCI

ELŻBIETA MOCZARSKA:

Urządziłam przyjęcie, na którym częstowałam kompotem z grobu Moczarskich. Początkowo była lekka konsternacja, ale goście rozluźnili się, kiedy zobaczyli, jaka to dla mnie radość, że mogę ich nakarmić tymi śliwkami.

Na Agrykoli, Warszawa, październik 2018 r.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowie Pani o śliwkach?

ELŻBIETA MOCZARSKA: Jakiś czas temu ktoś je posadził koło grobu moich rodziców na Powązkach Wojskowych. Wyrosło drzewo owocowe, sądziłam, że jest dzikie. A w tym roku przychodzę na cmentarz i widzę, jak drzewo obrodziło, śliwek jest ogrom. Wtedy jeszcze były zielone. Kiedy pod koniec lipca ponownie tam przyszłam, śliwki były już fioletowe. Jedną z ziemi podniosłam i spróbowałam, żółty miąższ rozpływał się w ustach. Razem z Adamem Rębaczem, historykiem, współpracownikiem Fundacji Moczarskich, zebraliśmy ich około 30 kg. Taksówką przewieźliśmy do mojego mieszkania.

Nie miała Pani oporów przed tym, by te śliwki zbierać?

Tak, miałam. A potem pomyślałam, że to jest fantastyczne, bo w tych śliwach jest dusza. Część z nich porozdawałam, głównie w rodzinie i młodym, związanym z Fundacją. Ktoś zrobił z nich dżem, ktoś upiekł placek... Dla mnie to drzewo owocowe jest dowodem na to, że obrodziła szersza sprawa – działa Fundacja im. Kazimierza i Zofii Moczarskich i od dziesięciu lat przyznawana jest nagroda imienia mojego ojca dla najlepszej książki historycznej. Pamiętam jej pierwsze wręczenie i moje napięcie, Adam Michnik rozładował je mówiąc: „Pierwsze śliwki robaczywki".

Ale też ktoś mi napisał, że jak usłyszał o tych śliwkach, to zrobiło mu się smutno.

Dlaczego?

Bo śliwa żyje, a Kazimierz i Zofia Moczarscy nie żyją od 40 lat. A ja uważam, że moi rodzice obrodzili właśnie w tych śliwkach.

A co Pani zrobiła z tych śliwek?

Kompot. Miałam ogromną przyjemność, kiedy go gotowałam. I urządziłam przyjęcie, na którym częstowałam kompotem Moczarskich. Początkowo była lekka konsternacja, goście rozluźnili się, kiedy zobaczyli, jaka to dla mnie radość, że tak ich mogę nakarmić.

ARCHIWUM ELŻBIETY MOCZARSKIEJ

Grób rodziców Elżbiety Moczarskiej

Rodzice zmarli w krótkim odstępie czasu, ojciec w 1975 r., mama dwa lata później. Miała Pani naście lat i sama została w domu przy alei Wyzwolenia. Do dzisiaj.

To mieszkanie rodzice dostali po wielu staraniach ojca. Gdy wyszli z więzienia – ojciec po 11 latach, mama po 6 – byli bez dachu nad głową. Tata pisał w tej sprawie tysiące listów. W końcu przyznano mu to mieszkanie w ramach rekompensaty więziennej. Wprowadzili się do niego w 1957 r.

A ja od 1977 r. mieszkałam w nim sama. W tamtych czasach to nie była częsta sytuacja, w związku z tym mój dom był non stop pełen młodszych i starszych znajomych. Pustkę po rodzicach zapełniałam ludźmi... Może być jeszcze tak, że blisko centrum była wolna chata, więc każdy tam wpadał. W takich warunkach trudno było mi się skupić na czymkolwiek. Byłam rozpieszczoną, wyrwaną z kontekstu jedynaczką.

Trzymaną pod kloszem?

Czułam się z nimi bardzo bezpiecznie, oboje byli mi niesłychanie oddani. Do 14. roku życia uchodziłam za grzeczną, potem wpadłam w okres nastoletniego buntu. Trochę ich kontestowałam, wydawali mi się starzy i nienowocześni.

I od zawsze przyzwyczajona byłam do tego, że tata pisał książkę.

„Rozmowy z katem" powstawały, odkąd ojciec wyszedł na wolność w 1956 r. aż do jego śmierci, czyli prawie 20 lat. ↦

ARCHIWUM ELŻBIETY MOCZARSKIEJ / FOTONOVA X2

Kazimierz Moczarski, Halin, 1957 r.

↦ **Kazimierz Moczarski, szef Biura Informacji i Propagandy ZWZ-AK, był więziony przez komunistów od 1945 r. Kilka miesięcy spędził w jednej celi z Jürgenem Stroopem, generałem SS, który kierował zniszczeniem warszawskiego getta. Stroop został w 1951 r. skazany w Polsce na karę śmierci. Potem ten sam sąd skazał na śmierć Moczarskiego. Z celi śmierci wyszedł dopiero w 1955 r.**

Ojciec dożył wydania „Rozmów" w odcinkach w miesięczniku „Odra" od 1972 r., to było jego wielkie zwycięstwo. Nanosił ostatnie poprawki na kolejne fragmenty, w ostatniej chwili biegł na dworzec, kopertę nadawał pociągiem, by na czas dotarła do redaktora Zbigniewa Kubikowskiego, naczelnego „Odry". Pamiętam też ingerencje cenzury w przedmowę Andrzeja Szczypiorskiego.

Cenzura skreśliła te fragmenty, w których Szczypiorski przytacza słowa wyroku rehabilitacyjnego dla Kazimierza Moczarskiego.

Ojciec nie chciał przyjąć amnestii. Jego adwokaci, Władysław Winawer i Aniela Steinsbergowa, walczyli o całkowitą rehabilitację. Proces odbył się w grudniu 1956 r. W tym czasie do Polski przyjechał Henri Cartier-Bresson, szukał ciekawych tematów do fotografii. Wtedy powstały jego zdjęcia z mszy, którą celebrował Wyszyński, i z pobytu w domu premiera Cyrankiewicza i Niny Andrycz, jest z tego świetne zdjęcie z ich pieskiem. Wiedziałam, że są zdjęcia z procesu rehabilitacyjnego ojca, ale nie miałam pojęcia, kto jest ich autorem. Po śmierci Cartiera-Bressona w „Przekroju" ukazał się o nim reportaż, i zobaczyłam tam zdjęcie z ojcem na sali sądowej.

Zapadł wtedy precedensowy wyrok, bo nie dość, że sąd go całkowicie uniewinnił i zrehabilitował, to w uzasadnieniu wyroku stwierdził, że polskie podziemie okupacyjne, którego przez wiele lat pobytu w więzieniu z uporem i hartem bronił Kazimierz Moczarski, zostało w ramach tej sprawy zrehabilitowane. Piękne.

Wyrok wydał zmarły parę lat temu sędzia Zdzisław Ziemba. Byłam wzruszona, gdy w jego nekrologu przeczytałam wspaniałe słowa o moim ojcu i najważniejszym dla nich obu wyroku. I właśnie cytat z tego wyroku użył Andrzej Szczypiorski w 1974 r. w „Odrze" w przedmowie do „Rozmów z katem". Cenzura skreśliła uzasadnienie sądu peerelowskiego!

Jak ojciec to znosił?

Żył tą sprawą, oczywiście. Ale doskonale wiedział, w jakim systemie żyje, więc generalnie był szczęśliwy, że „Rozmowy z katem" w ogóle ujrzą światło dzienne. Po śmierci ojca jego przyjaciele czynili wielkie starania, by „Rozmowy" ukazały się jako książka. Mama wraz z Zofią Bartoszewską, która była redaktorką Państwowego Instytutu Wydawniczego, pracowały nad jej ostateczną redakcją. Ale ja byłam z boku tego wszystkiego. Żyłam swoją młodością.

Zdecydowanie za wcześnie straciła Pani rodziców.

Gdyby dłużej żyli, pewnie byłabym innym człowiekiem. Przeczytałam ostatnio w rozmowie z Wiesławem Myśliwskim, że nie rodzimy się sami, bo w nas żyją rodzice. Całkowicie się z nim zgadzam. A potem ci rodzice żyją w naszych dzieciach. A moi trochę żyją w tych śliwkach.

A żyją w przedmiotach, które po nich zostały?

Powiem o kablu. Pozostałością w moim mieszkaniu była tulejka, która prowadziła do lampy w przedpokoju. Przy remoncie okazało się, że w niej był sparciały kabel, który stanowił część podsłuchu. W jednym z mieszkań sąsiadów znajdował się magnetofon, który nagrywał rozmowy ojca z odwiedzającymi go ludźmi. Prawdopodobnie rodzice wprowadzili się do mieszkania, w którym podsłuch był już zainstalowany. Z IPN-u mam kilka teczek manuskryptów ze spisanymi słowo w słowo dialogami. To jest niesłychany dokument, te rozmowy naćkane są reakcjami na bieżące zdarzenia, w tym Marzec '68. Pojawiają się też codzienne tematy. Czytając to, słyszę melodię głosu ojca. W pewnym momencie ojciec skarży się: „Jak mówimy o powstaniu, to Elżunia zatyka uszy".

Miała ich Pani serdecznie dość.

Pewnie czasem tak... (*śmiech*). Żyję w domu, w którego szufladach pochowanych jest tyle rzeczy należących do moich rodziców. Na co dzień nie przeglądam, ale one mnie otaczają jak duchy. Archiwum ojca jest teraz w Bibliotece Narodowej. Część materiałów dotyczących mamy oddałam do zbiorów narodowych, część zostawiłam. Mama była w AK, w powstaniu była łączniczką, redagowała dodatek „Wiadomości Powstańcze" do „Biuletynu Informacyjnego", była ranna, odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. W komunistycznym więzieniu była katowana...

To jest dla mnie potwornie trudne. Ciągle mówię, że muszę się nią zająć, a nie potrafię.

Bo matka?

Gdy w 1955 r. wyszła na wolność, z jednej strony, choć wyniszczona, starała się normalnie żyć, z drugiej, czuła się ogromnie samotna. Nikt z jej bliskich, mimo największych chęci, nie był w stanie wyobrazić sobie, co ona tam przeszła. Tylko jej mąż wiedział. A ja na razie nie jestem w stanie tego przyswoić, gdybym to robiła, to bym nie przestawała płakać.

Jednocześnie mama chciała mi tę opowieść o więzieniu przekazać. Gdy szłyśmy do parku na spacer, obok Ministerstwa Sprawiedliwości, a dawniej Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, pokazywała mi: „A w tym okienku siedziałam". Ale ja uznawałam to, nie czułam grozy. Grozę poczułam, gdy po raz pierwszy obejrzałam „Przesłuchanie" Ryszarda Bugajskiego. Miałam niewiele ponad dwadzieścia lat.

Jakie rzeczy zostały jeszcze po mamie?

Zdobiona w kwiatki emaliowana popielniczka, taka trochę japońska. Mama była bardzo kobieca. Ojciec, w najtrudniejszych czasach, kiedy nic nie było, kupował jej kobiece prezenty. Pamiętam, że raz pod choinkę dostała peniuar z koronkami. Porażona byłam widokiem mamy przechadzającej się po naszym mieszkanku w tych peniuarach. Uroczy obraz.

Gdy ojciec mamę spotkał – a bardzo krótko się znali, zanim zdecydowali, że będą razem – zaprosił ją na obiad. Zachwycił się jej szczupłymi dłońmi i tym, jak ona pięknie je. A gdy ja obgryzałam paznokcie, to nie mama, tylko tata kupował gorzkie lakiery, by oduczyć mnie tego okropnego zwyczaju. Chciał, bym miała ładne ręce.

W ogóle zwracał uwagę na to, co mam na sobie.

A mama?

Ona uważała, że powinnam wyglądać jak grzeczna dziewczynka. A tata, że muszę być modna, i kupił mi rozszerzane dżinsy. Miał świetny zmysł koloru, całe życie interesował się malarstwem. W więzieniu napisał traktat o sztukach pięknych. Musiał powstać po 1953 r., bo dopiero wtedy zezwolono mu na czytanie i robienie notatek. Gdy mama była w szpitalu, a to zdarzało się często, bo więzienie zrujnowało jej kompletnie zdrowie, to coś ze mną trzeba było zrobić, więc ojciec prowadzał mnie do muzeów.

Lubiła Pani to?

Bardzo. Wszystko lubiłam z nim robić, był pogodny, nieinwazyjny, dawał mi przestrzeń. Jest zdjęcie ze ślubnego przyjęcia moich rodziców, pobrali się 31 lipca 1939 r. Uroczysty obiad odbył się w hotelu Bristol. Ojciec był wtedy w żałobie, w styczniu pochował swojego ojca. Na tym zdjęciu widać tyłem odwróconego najmłodszego, ukochanego brata ojca, Janka Moczarskiego, kolegę Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Janek w 1943 r. został rozstrzelany w ruinach getta. Był uzdolniony plastycznie, zachowały się zdjęcia jego obrazów.

Elżbieta Moczarska z mamą, Zakopane, lata 60.

Ja też zajmowałam się kiedyś scenografią.

A ojca rzeczy?

Pokój, w którym pracował, zawalony był pod sufit papierami, teczkami i stosami gazet. Duży stół, biblioteka, kanapa, komoda, tapczan i wąskie przejście pomiędzy. Po śmierci rodziców zamieszkała ze mną Danuśka, koleżanka kolegi, która przyjechała na studia do Warszawy. Ona zajęła pokój taty, który musiałam uporządkować, papiery i teczki pochowałam, część rzeczy wyrzuciłam. Ojca krawiec zaproponował, że może ↦

↦ wziąłby jego ubrania. Zgodziłam się, uznając, że może z tego zrobić użytek. Nie chciałam żyć na kupie tych rzeczy i chyba dlatego też je rozdawałam, czasami pochopnie, jak zabytkowe lustro. Chyba w ten sposób usiłowałam przypudrować nieobecność rodziców. Ale ojca temperówkę zostawiłam.

Jej replika to element statuetki wręczanej laureatowi Nagrody Historycznej im. Kazimierza Moczarskiego.

Tata mawiał: maszynka do temperowania ołówków. Specjalnie ją zamówił u przyjaciela wybierającego się do Stanów. Zachwycała go możliwość uzyskania różnej grubości ołówka, którym nanosił poprawki w kolejnych rozdziałach „Rozmów z katem".

Jeszcze coś?

Popielnica, mosiężna, z orłami. Ojciec palił mnóstwo sportów. Jest też mosiężny lewek, przycisk do jego papierów. I maszyna do pisania. W domu był stary remington, na którym zaczynał pisać „Rozmowy z katem". W pewnym momencie zmienił go na nowocześniejszy model, na którym książkę kończył. Mnie też uczył pisać na maszynie.

Był cierpliwy?

Był dobrym ojcem z dużą dozą ciepła dla dzieci i młodzieży. Dusza towarzystwa. Miał w sobie dziennikarską otwartość. Oboje rodzice dali mi odwagę, właściwie to niczego nie boję się w życiu.

Dwa lata temu w „Więzi" ukazało się 39 listów Pani rodziców, pisanych w czasie ich pobytu w więzieniu. Nie widzieli się 11 lat. A zanim mogli do siebie pisać, nie mieli pojęcia, czy w ogóle żyją. Pani ojciec dostał dwa wyroki śmierci. A w czasie przesłuchań oficer śledczy pokazał mu fałszywy akt zgonu żony...

Wyciągnęłam te pisane maczkiem listy z dna jednej z szuflad, po wyjściu na wolność dostali je z depozytów więziennych. Łącznie z kopertami, z napisem „ocenzurowano", były zapakowane w osobne teczki: „listy Zosi" i „listy K.", tak było napisane.

Długo nie mogłam tych listów w całości czytać, aż do momentu, kiedy musiałam je przepisać i rozczytać rodziców charakter pisma. Dobrze, że nie byłam wtedy sama w domu... Dużo emocji mnie to kosztowało.

A zdjęcia rodziców? Zachowały się?

Zachował się aparat ojca. Są zdjęcia, które robił po wyjściu z więzienia. Tata leczył się wtedy w sanatoriach, ale był też ciekawy Polski, chciał zobaczyć, jak ona wygląda. Chodził po górach w okolicach Iwonicza Zdroju. Tam spotkał studenta i zapytał go, jak gdzieś dojść. Student: „No, skręci pan za GS-em". Ojciec: „A co to jest GS?". I potem ten student, okazało się, że z historii

Przyjęcie weselne rodziców Elżbiety, hotel Bristol, Warszawa, 31 lipca 1939 r. Od prawej do lewej: Jan Moczarski, brat Kazimierza; Witold Rothenburg-Rościszewski, mąż Anny – siostry Kazimierza; Stanisława Żelisławska, ciotka Zofii; Kazimierz Moczarski i Zofia Moczarska z domu Płoska; Andrzej Moczarski, brat Kazimierza; Stanisława Moczarska, żona Andrzeja; Andrzej Płoski, brat Zofii; Irena Rakowska, kuzynka Zofii; Ignacy Dygas, wuj Zofii; E. Kokczyńska, ciotka Zofii; Aleksander Płoski, ojciec Zofii; Anna Rothenburg-Rościszewska, siostra Kazimierza; Jan Żelisławski, wuj Zofii; Stefania Dygasowa, żona Ignacego Dygasa.

ARCHIWUM ELŻBIETY MOCZARSKIEJ / FOTONOVA X2

na UJ, z tatą korespondował. Są też zdjęcia z sanatorium w Unieściu. Lubię zdjęcia, jak się kąpie w wannie, chodzi po łące, brodzi w wodzie, płynie kajakiem. Ma młodzieńczą twarz, dużo się uśmiecha. Na tych zdjęciach jest światło słoneczne. Są zdjęcia mamy z mieszkania przy alei Wyzwolenia i moje jako małej dziewczynki. Też jakaś powalająca dokumentacja z mojej operacji serca, kiedy miałam pięć lat. Bali się, że nie przeżyję, ale udało się.

Najbardziej lubię zdjęcia ich obojga razem, ze ślubu, czy zaraz po więzieniu, gdzieś w lesie, i jak siedzą na stole pingpongowym.

Zofia Moczarska, Halin, 1957 r.

Nasza pamięć karmi się takimi obrazami.

Opowiem jeszcze o pamięci traumatycznej. Ukochana siostra mego ojca, Anna Moczarska, lekarz stomatolog, była żoną mecenasa Witolda Rothenburga-Rościszewskiego, przed wojną działacza ONR „Falanga", za okupacji szefa „Pobudki", jednocześnie związanego z kierownictwem Walki Cywilnej i Delegaturą Rządu RP. Współpracowali z moim ojcem, m.in. tropiąc zdrajców i kolaborantów. Rościszewski, przedwojenny antysemita, w czasie okupacji pomagał ukrywającym się Żydom, ma teraz swoje drzewko w Izraelu. Został aresztowany przez gestapo w 1943 r. i zamordowany.

Córką Anny Moczarskiej i Witolda Rothenburga-Rościszewskiego była urodzona w 1939 r. Anna Małgorzata (mówiło się na nią Małgosia), która właściwe nie znała swojego ojca.

Bo?

Bo on był od początku głęboko w konspiracji. Jak przychodził do domu, matka do córeczki mówiła o nim „pan". Małgosia nie wiedziała, że to jest jej ojciec, bo matka się bała, że małe dziecko może gdzieś powiedzieć. A potem już nie żył.

Ważnym mężczyzną w tym domu był mój ojciec, który często wpadał do siostry, też zresztą w konspiracji. Po wojnie Anna była ostoją w rodzinie, we trójkę, z córką i matką, którą trzeba się było opiekować, mieszkały przy Marszałkowskiej. Przez cały czas więzienia mego ojca ciotka Hanka bardzo pomagała, wysyłając paczki, czyniąc starania o uwolnienie.

Mogę się tylko domyślać, dlaczego tak się stało, że stosunki pomiędzy moją matką a ciotką Anną były trudne.

Pani ojciec w niepublikowanym dzienniku opisuje swoje wyjście z więzienia, pod którym czeka na niego między innymi żona i siostra. I gdy jadą pociągiem do Warszawy, on wyczuwa napiętą sytuację pomiędzy jego ukochaną żoną a jego kochaną siostrą. Ojciec się zastanawia, czy uda mu się to naprawić.

I jest jeszcze Małgosia, siostrzenica ojca. Małgosia kończy medycynę, robi specjalizację, jest świetnym lekarzem. Mój ojciec jest dla niej bardzo ważny i jest ukochanym wujem. Ostatni raz siostrę i siostrzenicę taty widziałam w roku 1977, na pogrzebie mojej mamy.

Czyli 41 lat temu.

I teraz jest taka sytuacja: w prezencie urodzinowym dostaję bilet na czterodniowy wypad do Włoch. Ale dowiaduję się, że umarła Małgosia – 13 maja, w dzień i prawie godzinę moich urodzin. Była samotna, nieznany mi jej mąż dawno nie żyje, dzieci nie miała. Uruchomiłam część rodziny Moczarskich od strony brata ojca, razem usiłujemy coś zadziałać, by Małgosię pochować. Pogrzeb odbywa się w Laskach pod Warszawą, tyle że wcześniej to ja muszę rozpoznać zwłoki, ciało nie zostanie wydane zakładowi pogrzebowemu bez oświadczenia rodziny, że to jest Anna Małgorzata Rościszewska-Boremska.

Małgosia była profesorem endokrynologiem, pracowała w tym samym szpitalu, w którym umarła. Jej ciało przywieziono na wózku. Już z daleka widziałam, jak Małgosia jest bardzo podobna do swojej matki w starszym wieku.

Uff.

Teraz muszę wejść do mieszkania Małgosi, nie byłam w nim nigdy. Podobno jest tam mnóstwo dokumentów, ona zbierała wszystko, co dotyczyło rodziny Moczarskich i jej ojca, też bardzo ważnej postaci dla naszej historii.

Ale fakt, że jednak ona, a nie widziałam jej tyle lat, umarła w moje urodziny, wydaje mi się dość niesamowity. Małgosia nigdy nie szukała ze mną kontaktu. I ja z nią też. Jak byłam mała, trochę się jej bałam, wydawało mi się, że myśli, że mama i ja jesteśmy przeszkodą w życiu mojego ojca.

W urzędzie stanu cywilnego na Bielanach spotkałam koleżankę, z którą chodziłam do szkoły średniej i z którą nie widziałam się od matury. Koleżanka: „Co ty tu robisz?". Ja: „Umarła moja siostra cioteczna, której praktycznie nie znam, i szukam jej aktu zgonu". A ta moja koleżanka, też lekarka, mówi: „Doktor Rościszewska? Ona uczyła i mnie, i pracowała z moją matką. To była bardzo ciepła i dobra osoba". Więc nagle spotykam ludzi, którzy Małgosię znali. To wszystko są te śliwki.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

ELŻBIETA MOCZARSKA *jest córką Zofii i Kazimierza Moczarskich, prezeską fundacji ich imienia.*

POŻEGNANIE

Zapraszamy do udziału we mszy św.

za zmarłych Pracowników, Współpracowników i Przyjaciół „Tygodnika Powszechnego"

w poniedziałek 5 listopada 2018 r. o godz. 17.00
w bazylice św. Floriana w Krakowie
(róg pl. Matejki i ul. Warszawskiej)

Zespół „Tygodnika Powszechnego"
i Fundacji

DIECEZJA OBIECANA

Są widoki na to, że w Łodzi uda się zbudować nowy model Kościoła – taki, który będzie mógł być wzorem dla innych diecezji.

STANISŁAW ZASADA

Czy ludzie zaczną teraz chodzić do kościoła? Będzie mniej rozwodów? Poprawią się relacje z wiernymi? W kazaniach będzie mniej polityki? A może wróci ekumenizm? Tak, rok temu, kiedy nastał nowy arcybiskup, pytano w archidiecezji łódzkiej. Abp. Grzegorzowi Rysiowi mało kto jednak zazdrościł. „Najmniej wierząca" diecezja w Polsce – mówi się o Łodzi. – „Pokażcie mi w Polsce diecezję, która jest łatwa" – odpowiadał arcybiskup.

A może to szansa dla Kościoła w Polsce? Laboratorium dla przyszłości polskiego katolicyzmu?

Kazanie jak mantra

„Takich słów dawno nikt tu nie słyszał. Jaki Kościół może być zatem w pełnej moralnej prawdzie nazwany Oblubienicą Chrystusa?" – pyta 4 listopada 2017 r. podczas ingresu do łódzkiej katedry abp Ryś. I odpowiada: „Przecież nie ten, który się wywyższa; który skupia się na sobie, odnosi się tylko do samego siebie i dba wyłącznie o swoje interesy. Nie ten, który szuka potwierdzenia swojej pozycji materialnej, politycznej czy prawnej. Z całą pewnością ten, który służy, zapomina o sobie, wychodzi ku innym, sam nawracając się ku ciągłej ewangelizacji".

Ks. Arkadiusz Lechowski, wikariusz łódzkiej parafii św. Anny, jeździ z młodzieżą do Taizé. – Arcybiskup powtarza te słowa przy każdej okazji jak mantrę. Jakby chciał przejąć wszystkich swoją wizją Kościoła – mówi.

Daria Zając nie była rok temu na ingresie. W ogóle „nie narzuca się Panu Bogu". Lubi jednak słuchać abp. Rysia. Przeważnie w internecie. Czasem jedzie specjalnie do jakiejś parafii na mszę, gdzie jest akurat arcybiskup. – Nie mówi z wyższością. Mówi, jakby zwracał się tylko do mnie – opowiada.

Obojętna religijnie Łódź potrzebowała takiego biskupa.

MARIAN ZUBRZYCKI / FORUM

Abp Grzegorz Ryś idzie z młodzieżą ulicami Łodzi w Marszu dla Jezusa, 25 marca 2018 r.

Kościelne laboratorium

Gorzej jest tylko w archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej. 23 procent – tylu było praktykujących katolików w archidiecezji łódzkiej w 2016 r. według badań Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego. W samej Łodzi na niedzielną mszę chodzi jeszcze mniej wiernych. Czasem – co dziesiąty parafianin.

– Problemy, jakie ma Kościół łódzki, mogą mieć wkrótce wszystkie diecezje w kraju – mówi ks. Lechowski. Uważa, że przyjście do Łodzi abp. Rysia to szansa nie tylko dla jego archidiecezji. – On pokazuje nam inną wizję Kościoła: otwartego, prowadzącego dialog z innymi, służącego ludziom. Takiego, który przestaje być tylko instytucją, staje się wspólnotą.

Jeden kapłan przypada tu na 20 tysięcy wiernych. A w niektórych diecezjach wskaźnik ten wynosi jeden na kilka tysięcy. – Ale to też może być atutem – uważa ks. Lechowski. – Bo to szansa na przemodelowanie parafii: żeby proboszcz nie był za wszystko odpowiedzialny, ale angażował do współpracy świeckich.

Benedykt XVI apelował do polskich duchownych, aby byli „ekspertami w dziedzinie życia duchowego", a nie „ekonomii, budownictwa czy polityki". – A u nas proboszcz jest wciąż odpowiedzialny za budowę parkingu, załatwienie autokaru na pielgrzymkę – mówi ks. Lechowski. Obawia się jednak, że odklerykalizowanie Kościoła nie będzie łatwe. I to nie tylko z powodu mentalności księży. Świeckim też odpowiada taki model parafii, w którym za wszystko odpowiedzialny jest proboszcz.

Ks. Paweł Gabara wykłada homiletykę w łódzkim seminarium. – Daliśmy sobie wmówić, że wszyscy nas atakują, boimy się ludzi, pozamykaliśmy się w plebaniach – mówi. – Obecny arcybiskup już otworzył wielu księżom oczy i pobudził do refleksji nad pytaniami: po co i dla kogo jesteśmy?

– Musimy przemyśleć na nowo funkcjonowanie parafii i pojmowanie hierarchiczności w Kościele. Teraz wikariusz i świeccy są wykonawcami poleceń proboszcza. Ale to musi się zmienić – stawia mocno sprawę ks. Lechowski. – Zaczyna brakować nam księży, nasza diecezja może być poletkiem doświadczalnym dla całego kraju.

Już z paliuszem

Diecezja łódzka powstała w 1920 r. Rodziła się w niedostatku. – Brakowało parafii i świątyń – mówi ks. prof. Waldemar Gliński, wykładowca historii Kościoła w łódzkim seminarium i na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. – Wynikało to z dynamicznego przyrostu ludności.

Jeszcze dwieście lat temu Łódź była rolniczą wsią. Miastem staje się od pierwszej połowy XIX w., kiedy zaczyna się rozwijać przemysł tkacki i włókienniczy. Budują go Polacy, Niemcy, Rosjanie i Żydzi. Opisze to Władysław Reymont w „Ziemi obiecanej".

Gdy powstaje niepodległa Polska, miasto ma pół miliona mieszkańców. To ważny argument, żeby Benedykt XV ustanowił tutaj diecezję. Papieża pomogli przekonać pochodzący z Łodzi premier Leopold Skulski i nuncjusz Achille Ratti, przyszły Pius XI.

W samej Łodzi katolików jest wtedy ponad połowa. Obok świątyń katolickich stoją synagogi, cerkwie i zbory. Wszyscy szanują się wzajemnie. Gdy sto lat temu łódzcy katolicy budują katedrę, gmina żydowska funduje witraże czterech proroków ze Starego Testamentu, a protestanci ↦

↦ – witraże z wizerunkami czterech ewangelistów. Niemieccy przemysłowcy pomagają też zbudować kościół na Widzewie.

– Żydowscy czy protestanccy właściciele fabryk chcieli mieć dobrych pracowników, więc dbali o ich potrzeby duchowe – tłumaczy ks. Gliński. – Faktem jest jednak, że w Łodzi panowała międzyreligijna życzliwość, a praktyczny ekumenizm istniał już u nas na długo przed Soborem.

„Bez tamtej Łodzi pewnie nie byłoby dzisiejszego Karskiego" – będzie powtarzał pod koniec życia Jan Karski. Urodził się tutaj tuż przed wybuchem I wojny światowej. Gorliwy katolik, przyjaźnił się z żydowskimi rówieśnikami.

Wojna przynosi koniec „tamtej Łodzi". Po wojnie miasto się rozrasta, ale komuniści zabraniają budować świątynie na nowych osiedlach. Sytuacja zelżała dopiero po wyborze Karola Wojtyły na papieża. Ks. Gliński: – Budowano wtedy molochy dla stutysięcznych dzielnic, jak kościół Matki Bożej Różańcowej na Widzewie czy Najświętszego Serca Pana Jezusa na Retkini. W tak wielkich parafiach trudno zbudować wspólnotę.

Gdy w 1992 r. Jan Paweł II tworzył nowy podział administracyjny polskiego Kościoła, zwiększając liczbę diecezji z 27 do 40, Łódź podniesiono do rangi archidiecezji. Archidiecezja jest zwykle stolicą metropolii, której podlegają inne diecezje – sufraganie. Łódź metropolią stała się dopiero w 2004 r., gdy w ramach korekty do podziału sprzed 12 lat dostała jako sufraganię diecezję łowicką. Odtąd łódzcy arcybiskupi mają prawo nosić paliusz – wełniany pas z białej wełny z wyszytymi krzyżami, który nakłada się na ornat. Paliusz symbolizuje zagubioną owcę, którą niesie na ramionach Dobry Pasterz.

Zapraszam do domu

Kilka tygodni temu katedra znowu pełna księży – trwają rekolekcje dla duchownych z całej archidiecezji. Nauki głosi kard. Luis Tagle z Filipin (wielu widzi w nim przyszłego papieża).

To już drugie takie rekolekcje w Łodzi. Pierwsze odbyły się rok temu, tydzień przed ingresem. Głosili je biskupi: Konrad Krajewski, Edward Dajczak i salwatorianin Krzysztof Wons – specjalista od formacji duchowej. – To był strzał w dziesiątkę – uważa ks. Gabara. – Kolejny raz mogliśmy się znów wszyscy razem spotkać. I posłuchać ludzi odważnych w poglądach, którzy mówią o rzeczach trudnych.

Sto lat temu
witraże do katedry fundują Żydzi i protestanci.
Pierwsi z wizerunkami biblijnych proroków, drudzy z wizerunkami ewangelistów.

Prałat Juliusz Lasoń jest kapelanem szpitala wojewódzkiego i domu opieki społecznej, w kapłaństwie od ponad 20 lat. Zdaje sobie sprawę, że jedną z głównych przyczyn kryzysu Kościoła jest kryzys kapłaństwa. – Jeśli chcemy sprawić, żeby ludzie zaczęli patrzeć inaczej na Kościół, to musimy zacząć zmiany od nas samych – mówi. I chwali łatwy dostęp do arcybiskupa. – Nie wiem, skąd ma na to czas, ale gdy jakiś ksiądz ma ważny problem, to zaraz go przyjmuje.

W czasie rekolekcji metropolita zaprosił księży do swojej rezydencji na kolację. Pałac arcybiskupi kazał nazywać domem. Niedawno wybrał się z diakonami w góry. Spotkał się też z księżmi, którzy wzięli urlopy i zastanawiają się, czy nie odejść z kapłaństwa. Odejścia księży są w ostatnich latach w Łodzi częste. W jednym roku sutannę zrzuciło aż dziesięciu kapłanów.

Ksiądz Lasoń ma jednak wątpliwości: – Na ile my, kapłani, będziemy otwarci na wizję Kościoła, którą nam proponuje?

Jak Titanic o górę lodową

To najlepsza decyzja personalna – tak wielu łódzkich księży ocenia mianowanie przez abp. Rysia nowego rektora Wyższego Seminarium Duchownego w Łodzi. Ksiądz Sławomir Sosnowski ma 61 lat i doktorat z liturgiki. Jest ojcem Ogniska Miłości w Olszy – to jedna z polskich filii założonej jeszcze przed wojną przez francuską mistyczkę Martę Robin wspólnoty kobiet i mężczyzn, którzy żyją pod jednym dachem z księdzem.

Ks. Lasoń: – To pokazuje, że ksiądz arcybiskup chce zmieniać Kościół od podstaw, czyli od kapłanów, i dlatego stawia na formację seminaryjną oraz wskazuje, że kapłan ma mieć zrozumienie dla spraw świeckich. A ks. Sosnowski ma w tej kwestii duże wyczucie.

– Nowy rektor przychodzi ze wspólnoty do wspólnoty – dopowiada ks. Gabara. – Dla kleryków ważne jest to, żeby ktoś uczył ich budować wspólnotę, bo bez niej księża w parafiach rozbijają się jak Titanic o górę lodową. Brak wspólnoty jest jednym z powodów odejść z kapłaństwa.

Przepraszam za Kościół

Promowaniem nowej ewangelizacji abp Ryś zajmuje się od kilku lat w całej Polsce. Niedawno rozmawiał z przedstawicielami ruchów religijnych, żeby omówić przygotowania rekolekcyjno-ewangelizacyjne dla młodzieży i rodzin. – Pytał nas, jaki temat tych spotkań byłby najlepszy, aby pomóc ludziom na nowo odkryć Boga – opowiada Dorota Michnowska z Kościoła Domowego.

Dorota, która z mężem Piotrem prowadzi spotkania z rodzicami dzieci przygotowujących się do pierwszej komunii, sama się przekonuje, jak mocno łodzianie oddalili się od Kościoła. – Wiara często wynika tutaj jedynie ze społecznej tradycji, ale nie jest osobista – opowiada.

Jak ewangelizować po nowemu, arcybiskup pokazuje sam. Np. podczas rekolekcji szkolnych w Wielkim Poście. Do wielkiej hali Atlas Arena jednego dnia przyszło prawie 10 tysięcy uczniów podstawówek z całej archidiecezji, drugiego dnia – gimnazjalistów i licealistów. Oprócz modlitwy były tańce i ostry rock. „Przepraszam" – zwrócił się do młodych abp Ryś. Przepraszał za to, że Kościół nie pokazał im, że „Pan Bóg jest Osobą, z którą można się spotkać".

Ziemia obiecana

„Niech żyje »Gazeta Wyborcza«" – słyszy od metropolity Joanna Żarnoch-Chudzińska. Redaktor naczelna „Gazety" w Łodzi przyszła na dyskusję Karola Modzelewskiego i Adama Strzembosza w ramach spotkań o współczesnym patriotyzmie. Widząc zaskoczenie dziennikarki, abp Ryś dodaje z uśmiechem: „No, dziwnie to może brzmieć w pałacu biskupim".

Żarnoch nie może się go nachwalić. Gdy tylko przyszedł do Łodzi, chętnie się spotkał z redakcją. – Poczęstował nas czekoladkami i kawą. My daliśmy mu „Ziemię obiecaną" – opowiada Żarnoch. Potem zgodził się na duży wywiad.

Nie jest bezkrytyczny. Gdy kilka lat temu w „Dużym Formacie" ukazał się z nim wywiad, miał pretensje, że został „zmanipulowany". Rozmowę wydrukowano tydzień po reportażu „Intymne ży-

cie kleryka" – o zamykaniu się formacji seminaryjnej na sprawy życia seksualnego. „Miał to być poważny wywiad na temat formacji do kapłaństwa, ale w obecnym kontekście wygląda, jakby to był mój komentarz do tekstu" – mówił biskup Katolickiej Agencji Informacyjnej.

– Abp Ryś zdaje sobie sprawę, jak wielka może być rola środków społecznego przekazu w ewangelizacji – uważa Łukasz Głowacki, szef diecezjalnego Radia Plus i właściciel religijnego kanału Maskacjusz TV. – Wie, że dzięki mediom słowa biskupa mogą dotrzeć nie tylko do tych, którzy słuchają go w kościele na mszy, ale mieć znacznie większy zasięg.

Siostry z Wawelu

Kilkanaście lat temu do Łodzi przyszli dominikanie. Specyfiką Zakonu Kaznodziejskiego jest obecność w dużych miastach i głoszenie tam Ewangelii. A Łódź to największe z polskich miast, gdzie dotychczas braci w białych habitach i czarnych kapach nie było.

– To ze względów historycznych – wyjaśnia o. Tomasz Nowak, przeor łódzkich dominikanów. – Łódź stała się dużym miastem dopiero w czasach zaborów, potem były wojny.

Dominikanie do Łodzi przyszli dopiero po sugestii... Watykanu. Gdy archidiecezja łódzka miała się stać metropolią, Stolica Apostolska wysłała do Łodzi komisję, żeby sprawdzić stan diecezji. Okazało się m.in., że jest tu mało zakonów. Braci kaznodziejów chcieli też w Łodzi dominikańscy tercjarze – świeccy, którzy starają się żyć dominikańską duchowością. Braci poznali w czasie studiów w innych miastach, gdzie działają prężnie dominikańskie duszpasterstwa akademickie.

W Łodzi działa prawie 30 uczelni, ale brakuje silnych ośrodków duszpasterstwa akademickiego. To kolejne z wyzwań, z którym chce się mierzyć abp Ryś.

Dominikanie dostali kamienicę przy Zielonej 13, w pobliżu Piotrkowskiej. Na parterze kaplica na około sto osób. Gdy w Wigilię Paschalną święcą ogień, muszą czekać na światłach, by przejść z paschałem przez ulicę i dostać się do kaplicy.

– Arcybiskup chce, żebyśmy zajęli się bardziej duszpasterstwem studentów – mówi ojciec Nowak. – Ale zdaje sobie sprawę, że do tego potrzebny jest nam kościół, a nie kamienica z małą kaplicą.

– Nam ksiądz arcybiskup powierzył przygotowanie osób dorosłych do sakramentów wtajemniczenia chrześcijańskiego: chrztu, bierzmowania i pierwszej komunii – mówi s. Ewa Godzińska ze zgromadzenia jadwiżanek wawelskich. Abp Ryś sprowadził je z Krakowa zaraz po swoim ingresie. Od razu też powołał Archidiecezjalny Ośrodek Katechumenalny przy katedrze.

> W łódzkiej Atlas Arenie **arcybiskup przepraszał 10 tysięcy uczniów** za to, że Kościół nie pokazał im, iż „Pan Bóg jest Osobą, z którą można się spotkać".

– W tym roku przygotowujemy do sakramentów ponad 60 osób – mówi s. Godzińska. – Są wśród nich młodzi i starzy, osoby z trudnym doświadczeniem i ułożeni życiowo.

Tłumaczy, że katechumeni wybierają chrześcijaństwo w sposób świadomy i potem promieniują wiarą w swoim środowisku. Dla zeświecczonej Łodzi ma to kapitalne znaczenie.

Od sierpnia w Łodzi są też redemptoryści. Prowadzą parafię św. Marka na Starych Bałutach. Mają zajmować się misjami ludowymi i rekolekcjami. Abp Ryś chciałby też sprowadzić do Łodzi benedyktynów, żeby w diecezji mieć mnichów.

Droga jest dla wszystkich

13 kwietnia, piątek. W Łodzi pierwsza wiosenna burza, a ulicami miasta podąża Ekumeniczna Droga Światła. To wymyślone 30 lat temu przez salezjanów nabożeństwo złożone z 14 stacji, które przypominają wydarzenia od zmartwychwstania do zesłania Ducha Świętego.

Razem z katolikami modlą się ewangelicy, kalwini, luteranie, mariawici, baptyści. Procesja idzie od kościoła kalwińskiego do luterańskiego. Po drodze mija katolicką katedrę.

„Jeśli ktoś dziś w Łodzi chciał widzieć Jezusa, który zmartwychwstał, to mógł zobaczyć Jezusa pomiędzy nami" – mówi abp Ryś.

Nabożeństwo ma historyczny kontekst. To powrót do religijnej tolerancji, jaką znała dawna Łódź. Kilkanaście lat wcześniej przypomniał ją ówczesny arcybiskup łódzki Władysław Ziółek: zgodził się, by w Wielki Piątek przez miasto szła Ekumeniczna Droga Krzyżowa. Od tamtego czasu co roku stacje Męki Jezusa razem z katolikami rozważali protestanci.

Ale pięć lat temu następca arcybiskupa Ziółka abp Marek Jędraszewski niespodziewanie rezygnuje z ekumenicznego nabożeństwa. W Wielkim Poście 2013 r. przez miasto idzie Łódzka Droga Krzyżowa bez przydomka „ekumeniczna". Żeby – jak tłumaczy hierarcha – przywrócić nabożeństwu katolicki charakter. Protestanci je bojkotują.

Po przyjściu abp. Rysia wszyscy czekają, co zrobi nowy metropolita. Ma trudne zadanie: jeśli przywróci Ekumeniczną Drogę Krzyżową, odetnie się w ten sposób od decyzji poprzednika. Proponuje trzecie rozwiązanie: Ekumeniczną Drogę Światła. – Wymyśliliśmy je wspólnie – precyzuje pastor Semko Koroza – bo ksiądz arcybiskup zaprosił do rozmowy inne Kościoły.

Prezes łódzkiego oddziału Polskiej Rady Ekumenicznej i proboszcz tutejszej parafii ewangelicko-reformowanej nie pamięta, żeby na ekumenicznych uroczystościach w katolickiej katedrze było tak wielu ludzi, jak w ostatnim roku.

Po co jechał na Lednicę

Po co głosi kazanie na Lednicy? To już nie było kogo innego? Znowu siedzi w Rzymie? Łódzcy duchowni mają żal, że arcybiskupa nie ma w diecezji. Ks. Lechowski rozumie te pretensje, ale nie do końca je podziela. – To jeden z niewielu biskupów w naszym kraju, który jest jeszcze słuchany – mówi.

Koszty aktywności są jednak duże. Po przyjściu do Łodzi arcybiskup zapowiadał, że odwiedzi w Adwencie wszystkich księży diecezji. Obietnicy nie spełnił, bo – jak mówią zorientowani – „został zasypany opłatkami". To aluzja do spotkań opłatkowych, które organizują różne środowiska.

Ks. Gabara jest jednak dobrej myśli: – Wierzę, że ksiądz arcybiskup potrafi porwać do pracy zarówno księży, jak i świeckich – mówi. – Księży, bo nie działa na zasadzie nakazów i zakazów, ale mówi do nich językiem Ewangelii: „Chodźcie ze mną, razem ewangelizujmy". A świeckich, bo ich nie poucza, nie umoralnia, tylko mówi, co w danej sytuacji zrobiłby Jezus. I pokazuje im ludzkie oblicze Kościoła.

© STANISŁAW ZASADA

Już nigdy się nie poddam

JOELLE CASTEIX, AKTYWISTKA DZIAŁAJĄCA NA RZECZ OCHRONY OFIAR PEDOFILII:

Nawet jeśli sprawa molestowania seksualnego przedawniła się i nie można już dochodzić praw w sądzie, zawsze warto złożyć zeznania na policji. Chodzi o to, by po nadużyciu pozostał jakikolwiek ślad.

MARTA ZDZIEBORSKA: Raport o pedofilii wśród księży w Pensylwanii wstrząsnął amerykańską opinią publiczną. Czy w innych stanach jest szansa na rozliczenie Kościoła katolickiego?

JOELLE CASTEIX: Do tej pory decyzję o przeprowadzeniu śledztwa podjęli prokuratorzy generalni w kilkunastu stanach. Od członków stowarzyszenia SNAP (Survivors Network of those Abused by Priests) wiem, że trwają też rozmowy z prokuratorem generalnym Kalifornii. Do jego biura napływają setki listów z apelem o powołanie Wielkiej Ławy Przysięgłych. Na razie nie wiemy jednak, czy prokurator podejmie taką decyzję.

Wiadomo natomiast, że pod koniec września gubernator Kalifornii Jerry Brown zawetował ustawę wprowadzającą m.in. wydłużenie okresu przedawnienia przestępstw seksualnych wobec dzieci.

Byłaś zaangażowana w kampanię na rzecz tego projektu. Jakie znalazły się w nim propozycje?

Według obowiązującego prawa osoba poszkodowana może złożyć pozew przeciwko sprawcy molestowania lub zatrudniającej go instytucji, która zatuszowała ten przypadek, przed ukończeniem 26. roku życia. Projekt ustawy zgłoszony przez Lorenę Gonzalez Fletcher [polityk Partii Demokratycznej zasiadającą w izbie niższej parlamentu Kalifornii – red.] miał umożliwić poszkodowanym dochodzenie swoich praw do 40. roku życia. Chcieliśmy też wydłużyć z trzech do pięciu lat okres, w którym ofiara może złożyć pozew do sądu po stwierdzeniu, że jej problemy psychologiczne lub choroba są wynikiem molestowania seksualnego. Ofiary pedofilii potrzebują wielu lat, by rozprawić się z traumą i odważyć na dochodzenie swoich praw. Ta ustawa to nie pierwsza próba wprowadzenia zmian dotyczących okresu przedawnienia przestępstw seksualnych wobec dzieci. Podobny projekt, który trafił na biurko gubernatora w 2013 r., też został odrzucony.

Jak wygląda legislacja w tej kwestii w innych częściach USA?

W Iowa i Missouri trwają prace nad zmianami dotyczącymi wydłużenia okresu przedawnienia przestępstw seksualnych. Szczególnie wart uwagi jest przykład Hawajów, gdzie w lipcu na dwa lata zniesiono przedawnienie tego rodzaju przestępstw.

Oznacza to, że ofiary bez względu na wiek mogą złożyć pozew przeciwko osobie, która molestowała je seksualnie, lub instytucji zaangażowanej w tuszowanie sprawy. Takie rozwiązanie wprowadzono też w latach 2013-16 w Minnesocie. W Kalifornii udało się to tylko w 2003 r. Pozew przeciwko kalifornijskim diecezjom złożyło ponad tysiąc osób. Kościół wypłacił im ponad 1,4 mld dolarów odszkodowania. Wprowadzono też zmiany, takie jak dodatkowa kontrola nowo zatrudnianych księży czy powołanie komisji rewizyjnych, w których zasiadają świeccy. W szkołach katolickich zaczęto też organizować szkolenia na temat prewencji molestowania seksualnego. Kościół podkreślał wówczas, że stawia na większą transparentność.

Nie mówisz o tych reformach z przekonaniem.

Bo w dużej mierze są to zmiany na pokaz. Nie można wierzyć w skuteczność kontroli nowo zatrudnianych księży, jeśli wiele przypadków molestowania jest tuszowanych. W 2012 r. doszło do głośnego skandalu z udziałem księdza Josego Alexisa Davili z parafii Św. Judy w San Diego. Kilka miesięcy po tym, jak duchowny został skazany na trzy lata w zawieszeniu za molestowanie 19-latki, powrócił do pełnienia obowiązków w dotychczasowej parafii. Zwolniono go dopiero wtedy, gdy sprawa trafiła do mediów. Diecezja San Diego tłumaczyła wówczas, że „nie miała prawa sądzić, iż skazany ksiądz stanowi dalej zagrożenie dla kobiet i dzieci należących do parafii". W 2016 r. okazało się, że Davila został potem zatrudniony przez archidiecezję Oklahoma City.

Diecezja San Diego być może jednak odrobiła lekcję. W reakcji na raport dotyczący nadużyć seksualnych w Pensylwanii jako jedna z pierwszych w Kalifornii upubliczniła listę nazwisk ośmiu księży pedofilów.

To pozytywny ruch, ale trzeba podkreślić, że większość tych księży już nie żyje. Szczególnie ciekawy jest przypadek J. Patricka Foleya, który, choć mieszkał od 1991 r. w północnej Kalifornii, przez cały czas podlegał diecezji San Diego. Z opublikowanych we wrześniu informacji wynika, że wobec duchownego toczył się proces kanoniczny w związku z oskarżeniem o molestowanie dwóch ministrantów. Choć proces zakończył się w 2011 r., dopiero cztery lata później duchowny zo-

DAVID MCNEW / REUTERS / FORUM

Joelle Casteix ze swoim zdjęciem sprzed lat, z okresu, kiedy była ofiarą księdza. Konferencja prasowa organizacji SNAP pod katedrą w Los Angeles, luty 2013 r.

stał ostatecznie odwołany z pełnionych funkcji. Gdy jeszcze kilka lat wcześniej na wniosek jednej z ofiar pedofilii próbowałam uzyskać w diecezji informację na temat Foleya, nie otrzymałam odpowiedzi.

Polityka Kościoła katolickiego nie jest transparentna, podobnie jak prace działających w jego ramach komisji rewizyjnych. Mogłam im się bliżej przyjrzeć, gdy w 2002 r. władze diecezji Orange zaprosiły mnie jako osobę świecką do rozpatrywania przypadków nadużyć seksualnych wśród księży.

Miałaś 15 lat, gdy zaczął Cię molestować Thomas Hodgman, dyrektor chóru w liceum katolickim. Po tak bolesnych doświadczeniach chciałaś mieć znów do czynienia z Kościołem?

Na fali skandalu pedofilskiego ujawnionego przez dziennik „The Boston Globe" wciąż mówiło się o potrzebie reform. To może wydawać się naiwne, ale chciałam być ich częścią. Szybko okazało się jednak, że działania komisji rewizyjnej są nieefektywne. Spotykaliśmy się raz w miesiącu i przez pół roku nie przeanalizowaliśmy ani jednego przypadku nadużyć. Wraz z innymi świeckimi członkami komisji słuchaliśmy wymówek księży tłumaczących, że sprawa nie trafi pod rozważania, bo oskarżony duchowny jest już za stary, na pewno niczego nie zrobił, a jego ofiara kłamie. Często zrzucano też winę na media lub prawników, którzy reprezentowali ofiary w sądach. Pół roku później zrezygnowałam z zasiadania w komisji.

Wtedy po raz pierwszy zgłosiłaś się do prawnika i opowiedziałaś o tym, że byłaś molestowana seksualnie. Czemu nie zrobiłaś tego wcześniej?

Gdy w 2003 r. w Kalifornii zawieszono tymczasowo przedawnienie przestępstw seksualnych, myślałam, że nie mam podstaw do złożenia pozwu przeciwko Kościołowi. Nie molestował mnie ksiądz, tylko osoba świecka. Prawnik powiedział mi jednak, że mogę pozwać pracodawców sprawcy molestowania: zarówno liceum Mater Dei w Santa Ana, jak i nadzorującą je diecezję Orange. Z ujawnionych w wyniku procesu akt wynika, że Thomas Hodgman przyznał się przed władzami szkoły do winy. Ówczesny dyrektor liceum, ojciec John B. Weling, zamiast zgłosić sprawę do służb zajmujących się ochroną dzieci, wymusił na Hodgmanie obietnicę, że już nigdy nie dopuści się nadużyć wobec uczennic.

Opowiedz, jak zaczęła się Twoja historia.

Pochodzę z katolickiej rodziny. Mój ojciec i matka byli wolontariuszami w kościele św. Józefa w Santa Ana i nieraz zbierali fundusze na rzecz liceum Mater Dei. Wyglądaliśmy na perfekcyjną rodzinę. Nikt nie wiedział, że moja matka jest alkoholiczką. Często miała huśtawki nastrojów – w jednej chwili mówiła, że jestem jej ukochaną córką, a w drugiej wyzywała mnie od najgorszych. Cierpiałam przez nią na depresję i kilka razy podcięłam sobie żyły. Po tym, jak próbowałam powiesić się w garażu, trafiłam na kilka dni na oddział psychiatryczny. Gdy przyjmowano mnie do liceum, uprzedzono nauczycieli, by uważnie mnie obserwowali. Wśród nich był też Thomas Hodgman. Miałam zadatki na sopranistkę i dołączyłam do prowadzonego przez niego chóru.

Kiedy poczułaś, że jego zachowanie wymyka się spod kontroli?

Na początku było bardzo niewinnie. Często mnie chwalił, poświęcał mi więcej czasu niż innym, dawał drobne prezenty. Zwierzałam mu się ze swoich problemów z matką. Powtarzał, że jego ojciec też jest alkoholikiem i że wie, jak się czuję. Byłam zagubiona i potrzebowałam uwagi ze strony innych. Potrafił to wykorzystać. Za każdym razem, gdy jeździliśmy z chórem na występy, nie odstępował mnie na krok. Po miesiącach niewinnych dotknięć kilka razy próbował mnie pocałować. Bałam się powiedzieć o wszystkim rodzicom, bo już i tak od dawna nie mogłam liczyć na ich pomoc. Poszłam wtedy do wicedyrektorki szkoły, która powiedziała, że powinnam zachować wszystko w tajemnicy. Inaczej nigdy nie skończę liceum i nie dostanę się na studia. Na koniec dodała, że to, co robi Hodgman, to po prostu miłość. ↦

Chyba nigdy nie czułaś się tak samotna.

To był najgorszy okres w moim życiu. Nie wiedziałam, co robić. On jednak nie odpuszczał. Raz powiedział uczniom, że potrzebuje pomocy przy przeprowadzce. Gdy pojawiłam się u niego w domu, okazało się, że jesteśmy tam sami. Za każdym razem szukał okazji, by spotkać się ze mną po zajęciach. Nie potrafiłam mu odmówić. Wciąż powtarzał, że jestem wyjątkowa. Byłam naiwna i myślałam, że mnie kocha. Wykorzystywał mnie seksualnie przez dwa lata. Pod koniec liceum zaszłam z nim w ciążę. Niedługo potem dowiedziałam się też, że mam chorobę weneryczną. W tajemnicy przed rodzicami poszłam na leczenie i dokonałam aborcji.

Jak zareagowali Twoi rodzice, gdy dowiedzieli się o wszystkim?

Rozpętało się piekło. I nie chodziło o to, że zaszłam w ciążę, ani o to, że ją usunęłam. Byli wściekli, że przyniosłam naszej rodzinie wstyd. Powiedzieli, że się puszczam i sama jestem sobie winna. Zakazali mi zgłaszania tej sprawy w szkole.

Czy potrafiłaś to wybaczyć swojej rodzinie?

Z ojcem po latach udało mi się odbudować relacje. Teraz bardzo mnie wspiera. Z matką nie chciałam mieć kontaktu. Chyba nigdy nie wybaczyła mi tego, że zaszłam w ciążę. Nie zdążyłyśmy się pojednać. Umarła, gdy miałam 27 lat.

Jak te doświadczenia wpłynęły na Twoje dorosłe życie?

Zajęło mi dziesięć lat, żeby dojść do siebie. Podczas studiów miałam myśli samobójcze. Czułam, że to ja jestem wszystkiemu winna. Nienawidziłam siebie. Aby uciec od rodzinnego domu, przeprowadziłam się z ówczesnym chłopakiem do Kolorado i wzięłam z nim ślub. To był toksyczny związek. Nawet gdy mieliśmy dobre momenty, to i tak podświadomie chciałam wszystko zniszczyć.

Coraz częściej myślałam o śmierci. Po dwóch latach małżeństwa byłam emocjonalnym wrakiem. Zdecydowałam wtedy, że albo pójdę na terapię, albo nie dożyję trzydziestki. Po rozwodzie wróciłam do Kalifornii i zamieszkałam w Palm Springs. Dopiero gdy stanęłam w pełni na nogi, zdecydowałam się na przeprowadzkę w rodzinne strony. Bałam się, że powrót będzie zbyt bolesny.

Czy Thomas Hodgman odpowiedział kiedykolwiek za swoje czyny?

Dopiero w styczniu tego roku. Na fali ruchu #MeToo musiał zrezygnować z posady dyrektora chóru w Adrian College w stanie Michigan. Nigdy jednak nie poniósł odpowiedzialności karnej. Gdy w 2003 r. składałam pozew do sądu, nie mogłam już wytoczyć mu procesu karnego. Miałam 33 lata, a według ówczesnego prawa powinnam była to zrobić przed ukończeniem 24. roku życia. Jedyne, co mi pozostało, to doprowadzenie do zwolnienia Thomasa Hodgmana z Adrian College. Pracował tam od 1999 r. Już 13 lat temu wysłałam władzom szkoły list wraz z kopią odtajnionego w procesie oświadczenia Hodgmana, w którym przyznał się do nadużyć seksualnych.

W odpowiedzi usłyszałam tylko, że prześladuję ich pracownika. Na władze szkoły podziałał dopiero list wysłany jesienią zeszłego roku. Jednak i tak władze poszły Hodgmanowi na rękę i pozwoliły mu samemu złożyć wypowiedzenie. Tak samo postąpił w 1989 r. dyrektor liceum Mater Dei. Hodgman pewnie nie odszedłby wtedy ze szkoły, gdyby nie opublikowany przeze mnie tekst w uczelnianej gazecie na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara. Napisałam, że byłam wykorzystywana seksualnie i dokonałam aborcji. Choć w tekście nie ujawniłam nazwiska Hodgmana, władze liceum wystraszyły się skandalu i skłoniły go do odejścia ze szkoły.

Od momentu złożenia pozwu przeciwko liceum Mater Dei i diecezji Orange stałaś się osobą publiczną. Wielokrotnie opowiadałaś w mediach swoją historię. Dla Twoich bliskich to musi być trudna sytuacja.

Mam szczęście, bo po pierwszym nieudanym małżeństwie spotkałam kochającego mężczyznę. Jesteśmy już 14 lat po ślubie. Zaczęliśmy się umawiać niedługo przed tym, jak zdecydowałam się pozwać diecezję Orange. Mike zawsze wspierał mnie w mojej walce, czasem angażuje się w moje projekty. Mamy 12-letniego syna. Śmiejemy się, że dla naszych sąsiadów w Newport Beach [miasto w południowej Kalifornii – red.] jesteśmy zwyczajną amerykańską rodziną. Nikt z nich nie wie, że działam na rzecz ofiar pedofilii.

Zaczęło się kilkanaście lat temu od dołączenia do stowarzyszenia SNAP. W jaki sposób pomagasz innym?

Stowarzyszenie skupia się na prowadzeniu grup wsparcia. Ja jednak zawsze chciałam pomagać ludziom w dochodzeniu własnych praw. Dla niektórych ofiar byłam pierwszą osobą, której opowiedziały swoją historię. To bardzo ważne, bo większość ofiar pedofilii boi się, że nikt im nie uwierzy. Każdemu powtarzam, że nawet jeśli sprawa molestowania seksualnego przedawniła się i nie można już dochodzić praw w sądzie, zawsze warto złożyć zeznania na policji. Chodzi o to, by po nadużyciu pozostał jakikolwiek ślad. Osobom, które mogą jeszcze złożyć pozew w sądzie, pomagam w znalezieniu prawnika, raportuję w diecezji przypadek molestowania seksualnego. Szukam innych osób, które padły ofiarą tego samego księdza. Im więcej ludzi zacznie mówić o swojej traumie, tym większa jest szansa na walkę z nadużyciami w Kościele.

Niedawno stworzyłaś własną organizację STOP Team. Na czym się teraz skupisz?

Mój priorytet to zmiany w prawie. Dlatego lobbuję za wydłużeniem okresu przedawnienia przestępstw seksualnych wobec dzieci. Tym razem się nie udało i gubernator Jerry Brown nie zatwierdził regulującej te kwestie ustawy. Jednak już teraz szykuję się na walkę po listopadowych wyborach na gubernatora stanu. Moje starania mogą potrwać kolejne lata, ale nigdy się nie poddam.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

MARTA ZDZIEBORSKA

JOELLE CASTEIX (ur. 1970) jest aktywistką działającą na rzecz ochrony ofiar pedofilii, dyrektorką organizacji STOP Team (Survivors Taking on Predators), działała też w kalifornijskim oddziale Ruchu Ofiar Księży (SNAP). Napisała kilka bestsellerowych książek o problemie przemocy seksualnej wobec dzieci (m.in. „The Well-Armored Child: A Parent's Guide to Preventing Sexual Abuse"). Casteix była molestowana przez dyrektora chóru w liceum katolickim w Santa Ana w Kalifornii. W 2003 r. wraz z 89 ofiarami molestowania seksualnego ze strony księży złożyła pozew przeciwko Kościołowi. Dwa lata później diecezja Orange wypłaciła poszkodowanym 100 mln dolarów zadośćuczynienia.

A. DE GREGORIO / DEA / GETTY IMAGES

Święci Paweł Apostoł, Maria Magdalena i Antoni Pustelnik, kościół Matki Bożej Pocieszenia, Altomonte, Włochy, XIV w.

Na równi z apostołami

HENRYK PIETRAS SJ

Być może różnica w podejściu do kobiet i ich świętości: w starożytności stawiającym je na piedestale, a w średniowieczu zamykającym je w klasztorze, daje odpowiedź na pytanie, dlaczego Junię zamieniono w Juniasa?

Nie jest żadnym odkryciem powiedzenie, że przez wieki pisano o Kościele przede wszystkim z męskiej perspektywy, gdyż kościelnymi naukami zajmowali się mężczyźni, oni też pełnili funkcje przewodnie w Kościele.

Przybywa jednak w ostatnich latach opracowań na temat kobiet w Kościele, od jego początków aż po dziś. Zdarza się, że są one ideologiczne, że czasem przesadzają w odkręcaniu historii. Na takie skwitowanie nie zasługuje najnowsza bodaj książka na ten temat napisana przez Zuzannę Radzik. Ujmuje ładnym językiem, a z każdą stroną przekonuje poważną argumentacją. Może trochę z tytułem autorka przesadziła, bo przecież same kobiety Kościoła nie zbudowały, ale że budowały, to fakt.

Książka poświęcona jest kobietom z pierwszych dwóch wieków, a raczej zachowanym świadectwom o niektórych kobietach. Zaczyna od listów świętego Pawła, w których aż się roi od kobiet: Potroba, Julia, Tryfena, Tryfoza, Persyda, Junia, Febe, Ewodia, Syntache, Pryska... Ciekawe, że żadne z tych imion się nie przyjęło, poza Julią, ale to ze względu na rzymskość tego imienia, a nie na postać z Biblii. Imiona męskich uczniów Jezusa poszły w świat i funkcjonują do dziś w wielu językach. Biblijnych kobiet wychwalanych przez Pawła nikt jakoś nie chciał w ten sposób uhonorować.

Kim była Febe

Sporo uwagi poświęca autorka chwalonej przez Pawła Febe z kościoła w Kenchrach, którą ten nazywa diakonem i opiekunką wielu (Rz 16). Słusznie pisze Radzik, że nie wiadomo obecnie, co znaczyło słowo „diakon" w ustach pierwszych chrześcijan. Na pewno zachowuje podstawowe znaczenie służącego czy pomocnika, ale trudno powiedzieć coś więcej. Zauważmy też, że o słynnych „Siedmiu" ustanowionych przez apostołów według Dz 6, 1-7 wcale się nie mówi, że byli diakonami, choć później tak właśnie się utarło. W każdym razie Paweł nazywa Febe diakonem, a nie diakonisą, i coś pewnie miał na myśli – podob- ↦

↦ nie jak wtedy, gdy nazywa ją opiekunką czy protektorką wielu, w tym jego samego. Nie ośmielałbym się wnioskować z tego, że Febe była zwierzchnikiem Kościoła, bo wyszłoby na to, że była i zwierzchnikiem Pawła, a to pewnie przesada. W każdym razie była w Kościele kimś ważnym.

Podobnie Junia w parze z Andronikiem, którzy „wyróżniali się między apostołami" (Rz 16, 7). Jeśli ktoś z ciekawości zajrzy do Listu do Rzymian, to znajdzie tam Juniasa, a nie Junię. Ma używanie autorka, gdy na kilku stronach wykpiwa tę zmianę płci, która w wydaniach Pisma królowała od początku drugiego tysiąclecia aż do roku Pańskiego 1998, kiedy bibliści ustąpili pod naporem oczywistości. Interesujące, że Ojcom Kościoła nie przeszkadzało, by kobieta mogła „wyróżniać się wśród apostołów", a w drugim tysiącleciu już się to teologom w głowie nie mieściło.

Jest też, oczywiście, o kobietach znanych z Ewangelii, zwłaszcza tych spod krzyża i od pustego grobu. Na pierwsze miejsce wybija się Maria Magdalena – ta, z której Jezus wyrzucił siedem złych duchów, a której życiorys zszargał sam papież Grzegorz Wielki, kiedy w jednym kazaniu połączył ją z tzw. jawnogrzesznicą. Ale to było dopiero w latach 90. VI w. Nie wiadomo, dlaczego Grzegorz tak uczynił, ale wielu pobożnych ludzi do dziś w to wierzy i na niejednym kazaniu można tak usłyszeć. Do tego czasu Magdalena była jednak bohaterką, której znaczenia nie dało się pominąć. Nie tylko wszystkie cztery kanoniczne Ewangelie o niej mówią, ale i doczekała się „własnej", powstałej prawdopodobnie na przełomie II i III w., oraz licznych wzmianek w innych apokryfach. W naszych czasach nastąpiła pełna rehabilitacja: papież Franciszek w 2016 r. podniósł wspomnienie liturgiczne Marii Magdaleny (22 lipca) do rangi święta i kazał w całym Kościele czcić ją na równi z apostołami.

Od erotyzmu do habitu

Sporo uwagi poświęca autorka Tekli, znanej z apokryficznych „Dziejów Pawła i Tekli", powstałych ok. 160 r., dla chwały Pawła, ale prawdopodobnie także dla podkreślenia znaczenia kobiet w pierwszym Kościele – wbrew nakazom milczenia głoszonym w późnych nowotestamentowych listach pasterskich. Kim była kobieta stanowiąca pierwowzór postaci literackiej, nie wiemy, ale zaistniała w tych Dziejach, a także w późniejszych pismach. Jej imię znaczy „chwała Boga", coś jak nasza Bogusława; nie udało mi się znaleźć żadnej wcześniejszej Tekli. Jej postać literacka jest jednak ujmująca: „Dzieje" są po polsku dostępne w Apokryfach wydanych przez WAM pod redakcją ks. Marka Starowieyskiego.

Postać Tekli służy autorce do pokazania, że problemy i trudności, jakie ona napotykała, są podobne do tych, jakie ma wiele kobiet dzisiaj. Psychologiczna prawda tej historii jest ponadczasowa. Legendy nie są po to, by opowiadać jakąś historyczną prawdę o bohaterze, ale by odpowiedzieć na pytania, z jakimi zmaga się autor legendy. A te są ciągle takie same.

W rozdziale o Tekli, a także w następnym, czytamy o pierwszych męczennicach w ogóle, a o Perpetui i Felicycie w szczególności. Te dwie młode matki, dwudziestodwu- i osiemnastolatka z Kartaginy, były ofiarą fali prześladowań za Septymiusza Sewera, który w 202 r. postanowił wykończyć chrześcijaństwo, zakazując przyjmowania chrztu. One były katechumenkami i chciały chrztu, więc z gronem innych zostały skazane na śmierć. Okres więzienia i proces opisuje sama Perpetua w pamiętniku. Inne słynne męczennice to np. Agnieszka i Blandyna, można by dodać Agatę, Cecylię, Pudencjanę i wiele innych. Opisy ich męczeństwa, mniej lub bardziej autentyczne, łączy jedno: podkreślanie ich kobiecości i męstwa, którego mogliby pozazdrościć mężczyźni.

To bardzo ciekawy aspekt tych opowieści. Autorka zwraca uwagę, że są one nasycone erotyzmem, a – jak pisze bez większej przesady – niektóre mieszczą się między literacką miękką pornografią a sadyzmem. Chodziło o pokazanie wielkości ducha tych kobiet, jakby w kontraście do samczych zachowań prześladowców. W każdym razie jest to wielka pochwała kobiecości i nie ma powodu zżymać się, że Perpetua wyobraża sobie we śnie przed męką, że aby wygrać, musi stać się mężczyzną. Nie o przekreślanie kobiecości tu chodzi, ale po prostu o kulturowe wyobrażenie: na arenie walczyć mogli tylko mężczyźni, kobietom wstępu zabraniała tradycja sięgająca początków igrzysk olimpijskich. Perpetua może walczyć na równi z mężczyznami, nie jest nic słabsza ani gorsza.

Zwróćmy uwagę, jak różni się ten obraz kobiet od tego, co prezentują średniowieczne biografie hagiograficzne. Tam, żeby kobieta mogła być świętą, to dobrze, żeby odchowała dzieci i dokonała życia w klasztorze, najlepiej przez siebie ufundowanym. Kobieta musiała być schowana za zakonnym habitem; nie szkodziła też królewska korona. W starożytnych opisach męczennice często są przedstawiane nago, piękne i powabne, dręczone na różne sposoby, ale nie ukrywające swej kobiecości. Może ta różnica w podejściu do kobiet i ich świętości: w starożytności stawiającym je na piedestale, a w średniowieczu zamykającym je w klasztorze, daje odpowiedź na pytanie, jakie pojawiło się już wcześniej w odniesieniu do Junii, z której w drugim tysiącleciu zrobiono Juniasa.

Teolożki i ascetki

Zuzanna Radzik pisze też o pierwszych teolożkach i biblistkach. W otoczeniu św. Hieronima widzimy ich wiele, gdyż po nim akurat zostało ponad 150 listów, w tym bardzo wiele do kobiet, w których odpowiada na ich pytania dotyczące Biblii. Zachowały się 44 takie listy, zawierające nawet dywagacje o alfabecie hebrajskim czy o znaczeniu stroju arcykapłana. To nie były niewiasty, które miały „nie wiedzieć", ale badaczki poważnie zaangażowane w studia.

Hieronim traktował je nader poważnie. Odpowiedź na dwanaście pytań niejakiej Hedybii z Galii zajmuje w druku 30 stron. O swej uczennicy i korespondentce z Rzymu, Marceli, Hieronim napisał: „cokolwiek przez długie studia zdobyłem i przez ciągłe rozmyślanie jakby w naturę obróciłem, tego wszystkiego ona skosztowała, tego się nauczyła i to posiadła, tak że jeśli po moim odjeździe powstał spór co do jakiegoś świadectwa Pisma Świętego, do niej spieszono jako do sędziego". Nie tylko więc uczyła się z czystej ciekawości i dla własnej satysfakcji, ale i uczyła innych. Nieco dalej pisze Hieronim, że przychodzili do niej również kapłani, by pytać o rzeczy szczególnie zawiłe, a ona, ze skromności i żeby ich nie peszyć, odpowiadała jakby nie od siebie, ale powołując się na Hieronima lub inny uznany autorytet.

To tylko tytułem przykładu. Te kobiety nie tylko budowały Kościół, wspomagając go finansowo czy układając kwiatki, ale współtworzyły teologię w dialogu z najtęższymi umysłami epoki. Piąty rozdział książki Radzik dobrze to zjawisko ilustruje. Jest też tam mowa o Egerii, pielgrzymującej do Ziemi Świętej „z końca świata", być może z Hiszpanii albo z Galii, i opisującej wszystko, co tam widziała i przeżywała przez trzy lata w ósmej dekadzie IV wieku. Jej zapiski są bezcenne, jako najpełniejsze źródło poznania liturgii sprawowanej w Je-

rozolimie, starożytnych pielgrzymkowych obyczajów oraz tego wszystkiego, co oni chcieli oglądać, choćby to było tylko puste miejsce, na którym ongiś stać miał słup soli, w który przemieniła się żona Lota.

Inny rozdział ma dość prowokujący tytuł: „Matki wariatki, mniszki crossdresserki". Mowa w nim o kobietach ascetkach, tak rygorystycznych, że ich postawa może dziś uchodzić za wariactwo, i o takich, co przebierały się za mężczyzn, by móc żyć nierozpoznane w koloniach mnichów. Autorka jednak z nich nie kpi. Pisze mądrze: „zadaję sobie pytanie: może coś mi umyka? Czy to one były szalone, czy to ja chwytam się rozpaczliwie świata, działania, ludzi, a pustynna asceza jest wyzwaniem tak trudnym, że właśnie dlatego łatwiej mi przychodzi z niego trochę się podśmiewać? Odruchowo myślę, że lepiej przeżyć życie z bliźnimi, lecz czy modlitewna i duchowa troska tamtych mnichów i mniszek o innych ludzi i świat była nie mniej ważna i prawdziwa?".

Zdanie to dotyka ważnego problemu metodologicznego. Czytając stare teksty, trzeba nam ciągle pamiętać, że nie mamy prawa oceniać naszych przodków, ale powinniśmy się starać ich zrozumieć. To bardzo trudne. W ramach jednego pokolenia ciężko dobrze się poznać, a co dopiero, gdy miną stulecia. Możemy patrzeć, uczyć się, ale bez kwalifikatorów „dobre" i „złe". Zostawmy starożytnym prawo do inności. Zuzanna Radzik opowiada o innych kobietach, niż znamy. Pomaga nam je choć trochę zrozumieć. A gdy się tego trudu dokona, okazuje się, że nie są one tak bardzo odległe.

© KS. HENRYK PIETRAS SJ

Autor jest jezuitą, profesorem patrologii, autorem licznych książek z tego zakresu, wydawcą dokumentów soborów powszechnych.

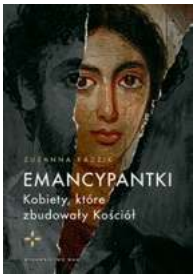

Zuzanna Radzik
„EMANCYPANTKI. KOBIETY, KTÓRE ZBUDOWAŁY KOŚCIÓŁ"
WAM, Kraków 2018

ALESSANDRA TARANTINO / AP / EAST NEWS

Reżyser Martin Scorsese i Franciszek, Watykan, 23 października 2018 r.

Marzenia starców

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

Czy „ojcowie Synodu" – w większości ludzie starsi – mają cokolwiek do powiedzenia młodzieży?

Gdy w moim kraju ludzie wypływali w morze, w środku łodzi siadali starcy, a dokoła młodzi. Starcy umieli czytać z gwiazd i dzięki nim łódź nie błądziła. Młodzi mieli siłę, co pozwalało dopłynąć do celu – mówił na jednej z ostatnich sesji plenarnych Synodu Joseph Sapati Moeono-Kolio, 31-letni pracownik Caritasu z Samoa, budząc aplauz biskupów.

Stoimy przed wejściem do Instytutu Augustinianum, gdzie za godzinę ma się odbyć międzypokoleniowe spotkanie z papieżem Franciszkiem. Joseph zapomniał identyfikatora i żandarmi nie chcą go wpuścić. Na nic zapewnienia dziennikarzy, że to uczestnik Synodu, na nic zdjęcia, które Joseph pokazuje w komórce – z wystąpienia na sesji, z rozmowy z papieżem. Ratuje go dopiero interwencja o. Antonia Spadaro, organizatora wydarzenia.

Wieczorne spotkanie, w gronie nieco ponad 200 osób, nie przyciągnęło wielkiej uwagi mediów. Być może zaszkodził mu mało konkretny tytuł – „Mądrość czasu". Było jednak celnym komentarzem do tego, co działo się przez trzy tygodnie niespełna 300 metrów dalej – w synodalnej auli. I odpowiedzią na pytanie, czy „ojcowie Synodu" – w większości ludzie starsi – mają cokolwiek do powiedzenia młodzieży.

Zaczęło się w Krakowie. Podczas kończącego ŚDM spotkania z wolontariuszami papież prosił młodzież, by „rozmawiała ze swym dziadkami, a jeśli ci już nie żyją, to z innymi starszymi ludźmi". To wtedy o. Spadaro wpadł na pomysł, by zapis tych rozmów – młodych ludzi z całego świata z osobami starszymi – zebrać w książce. Otrzymał ponad 250 historii. Latem ubiegłego roku przez trzy wieczory czytał je papieżowi. Wybrali 90.

„W 1944 r. gestapo zapakowało mieszkańców naszej wsi do pociągu – opowiada Erwin Froman z Rumunii. – Jechaliśmy trzy dni. Szedłem z ojcem, trzymając go za rękę. (...) Żołnierz uderzył mnie w plecy kolbą karabinu i rozdzielił nas. Wciąż czuję, jak ręka ojca wypuszcza moją. (...) Gdy wieczorem oglądam dziennik i mówią o syryjskich uchodźcach, widzę siebie".

Są historie o głodzie, wojnie, ucieczce. Ale i słoweńskiej dziewczynce na wózku, która całe życie marzyła, by tańczyć w balecie. O ojcu, który szedł ulicą swego miasta Kalifornii Południowej i wołał: „Nazywam się Casuis Paxton. Mieszkamy tu", bo nie widział innego sposobu, by uchronić swą córkę przed kamieniami małych rasistów. O dziewczynce niesłusznie oskarżonej o kradzież jabłka i spoliczkowanej przez matkę. O chłopcu, który usłyszał, że nie ma za grosz talentu. Nazywał się Martin Scorsese i jest również jednym z bohaterów książki.

Franciszek mówił, jak ważne są marzenia. Że trzeba je mieć nie tylko w młodym wieku, ale i gdy życie jest za nami. „Jeśli starcy nie mają marzeń, młodzi nie mają przyszłości" – parafrazował słowa proroka Joela. Tak widzi rolę swojego pokolenia: dzielić się wizjami, nie pretensjami. Jego słowa również Synodowi nadają szerszego, bardziej uniwersalnego znaczenia. ©℗

Wolontariusze z ruchu „Odbijmy 49. okręg wyborczy". Carlsbad, 13 października 2018 r.

TRUMP TRACI KALIFORNIĘ

Wkrótce okaże się, czy Partia Demokratyczna zdobędzie przewagę w Kongresie. Zaciekła walka trwa także na Zachodnim Wybrzeżu, w tradycyjnych dotąd bastionach Republikanów.

TEKST I ZDJĘCIA: MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII

Gdy wysiadam na przystanku autobusowym w Carlsbad, jednym z najbogatszych miast południowej Kalifornii, na ulicy nie widać prawie nikogo. Po drodze spotykam tylko rodzinę spacerującą z pudlami, które wśród bogaczy na kalifornijskim wybrzeżu cieszą się dużą popularnością.

Sceneria zmienia się całkowicie, gdy skręcam w aleję Encinas. Kilkaset metrów za skrzyżowaniem z ulicą Cannon znajduje się biuro antytrumpowskiej organizacji Flip the 49th (w wolnym przekładzie: „Odbijmy 49. okręg wyborczy").

Na parkingu stoi ok. 70 osób, które reprezentują cały przekrój społeczny: są tu emeryci, studenci, imigranci, Afroamerykanie i kobiety w średnim wieku. Wszyscy przyszli w jednym celu: chcą zaangażować się w kampanię na rzecz Mike'a Levina, prawnika i kandydata Partii Demokratycznej (jej tradycyjny kolor partyjny to niebieski), który w nadchodzący wtorek 6 listopada startuje tu w wyborach do Kongresu.

Jak na Carlsbad to niecodzienna sytuacja. Miasto znajduje się na terenie 49. okręgu wyborczego, który obejmuje południową część hrabstwa Orange oraz północ hrabstwa San Diego. To obszar uznawany za „czerwony bastion" – od 2001 r. reprezentuje go Republikanin Darrell Issa, najbogatszy członek Kongresu (czerwień to z kolei partyjny kolor Republikanów). Jednak w styczniu Issa ogłosił, że nie będzie ubiegał się o reelekcję. O miejsce w Izbie Reprezentantów z ramienia Partii Republikańskiej walczy więc Diane Harkey, znana z poparcia dla budowy muru na granicy z Meksykiem oraz z niechęci do zagadnień związanych z ochroną środowiska.

Frekwencja przede wszystkim!

Listopadowe wybory do Kongresu, przypadające w połowie czteroletniej kadencji prezydenckiej (stąd zwane *midterms* – „śródkadencyjnymi"), są papierkiem lakmusowym dla urzędującego prezydenta i dla jego partii. Zwykle rządzące ugrupowanie traci wtedy miejsca w Kongresie.

I tu pojawia się nadzieja dla Demokratów. Aby odzyskać przewagę w Izbie Reprezentantów w Waszyngtonie (izbie niższej parlamentu), muszą wygrać w 23 okręgach, które do tej pory były reprezentowane w Kongresie przez Republikanów. Na celowniku są przede wszystkim obszary, gdzie w wyborach prezydenckich w 2016 r. Hillary Clinton zdobyła przewagę nad Donaldem Trumpem. Wśród „faworytów" wymienia się 2. i 11. okręg w stanie New Jersey, 27. okręg na Florydzie, 2. w Arizonie, 10. okręg w Wirginii – oraz właśnie 49. okręg w Kalifornii.

W tym ostatnim dwa lata temu Clinton zdobyła nad Trumpem przewagę siedmiu punktów procentowych. O mały włos nie doszłoby też wówczas do porażki Republikanów w wyborach do Kongresu: Darrell Issa wygrał większością zaledwie 1621 głosów.

– Dwa lata temu zabrakło nam tak niewiele! Tym razem musimy wygrać! – krzyczy do wolontariuszy Johnny Papagiannis z organizacji Flip the 49th, której celem jest doprowadzenie do zwycięstwa Demokratów w kalifornijskim 49. okręgu wyborczym.

Papagiannis od wielu miesięcy kieruje pracą wolontariuszy, zaangażowanych do agitowania wyborców telefonicznie, za pomocą esemesów lub metodą tradycyjną „od drzwi do drzwi". Szczególnie emocjonujące są weekendy, gdy wolontariusze w dwuosobowych zespołach odwiedzają wyborców z największych miejscowości na północy hrabstwa San Diego – takich jak Oceanside, Solana Beach, Del Mar czy właśnie Carlsbad.

– Naszym celem jest dotarcie do 40 tys. ludzi, którzy rzadko głosują w *midterms* – mówi „Tygodnikowi" Johnny Papagiannis. – Wybory do Kongresu cieszą się znacznie większą popularnością, gdy zbiegają się z wyścigiem o fotel prezydenta. Dziś skupiamy się przede wszystkim na Latynosach, którzy w niektórych miastach w hrabstwie stanowią nawet 45 proc. mieszkańców. Zależy nam też na studentach, którzy często nie wiedzą nawet, że mogą zarejestrować się do głosowania poza rodzinnym domem. Trudniejszym zadaniem jest uzyskanie poparcia u wojskowych, którzy służą w pobliskiej bazie morskiej Camp Pendleton.

Menedżerka i weteran pukają do drzwi

Gus Hawthorn (75-letni weteran zimnej wojny) oraz Caroline Veale (50-letnia menedżerka w firmie inżynieryjnej) stanowią zgrany zespół. On kontroluje listę z nazwiskami wyborców, których mają odwiedzić. Ona pierwsza zagaduje do ludzi i robi dobre wrażenie. Gus ma swoje pięć minut, gdy trzeba wytłumaczyć wyborcy, kim jest kandydat Partii Demokratycznej Mike Levin.

W dniu, w którym im towarzyszę, drzwi otwiera nam dziesięć osób. To ponad jedna trzecia wyborców przewidzianych na liście. Siedem z nich zadeklarowało, że zagłosuje na Mike'a Levina. Dwie odpowiedziały, że nie mają zdania, a jedna zatrzasnęła nam drzwi przed nosem. Gus i Caroline mówią, że to ich standardowy dzień. A mieli ich dotąd wiele, bo już od trzech ↦

SCOTT ROLESON

Emerytka i aktywistka Ellen Montanari

W hrabstwie Orange **republikańscy kongresmeni mogli dotąd liczyć na pewną reelekcję.** Dziś w tych okręgach trwa ostra walka, a sondaże sugerują sukces Demokratów.

Sara Kennedy z ruchu Niepodzielni

↦ miesięcy agitują w każdą sobotę i niedzielę.

– Mam szczęście, bo mój mąż całkowicie przejął na ten czas opiekę nad domem i naszą 12-letnią córką – mówi Caroline. – Nigdy nie myślałam, że zaangażuję się w kampanię wyborczą. Na początku miałam opory, by agitować ludzi. Z natury jestem introwertyczką. Gdy po raz pierwszy wróciłam do domu po całym dniu rozmów z wyborcami, musiałam się wyciszyć. Teraz działam na „autopilocie": nawet jeśli ktoś nie chce rozmawiać, próbuję mu chociaż wcisnąć ulotkę z informacją o naszym kandydacie.

Jednego dnia Caroline i Gus potrafią odwiedzić nadmorskie wille milionerów i zapyziałe przedmieścia, gdzie mieszkają Latynosi zarabiający stawkę minimalną.

Kiedyś głosowałem na Republikanów

Na ulicy South El Camino Real w Oceanside, gdzie docieramy z Caroline i Gusem, trudno uwierzyć w „amerykański sen". Aby porozmawiać z wyborcami, otwieramy drewniane rozpadające się drzwi i wchodzimy na podwórko, na którym walają się śmieci i połamane krzesła.

Caroline puka do drzwi. Po chwili otwiera nam mężczyzna, na oko 30-latek. Słysząc o Mike'u Levinie, uśmiecha się szeroko i deklaruje, że planuje oddać na niego głos. Na twarzy Gusa i Caroline widać ulgę. Mężczyzna widnieje na liście jako niezależny wyborca i mógłby nie życzyć sobie agitacji na rzecz kandydata Partii Demokratycznej.

Gus mówi, że najtrudniej jest wtedy, gdy trafia im się wyborca wspierający skrajnie prawicową Amerykańską Partię Niezależnych (American Independent Party). Zanim zapukają do drzwi takiej osoby, sprawdzają, czy przy wejściu nie ma informacji o tym, że właściciel ma w domu broń. Ale w praktyce okazuje się, że najczęściej mają do czynienia nie ze skrajnymi prawicowcami, lecz z wyborcami niezależnymi.

– Przy rejestracji do głosowania niektórzy błędnie zaznaczają swoje preferencje. Myślą, że Amerykańska Partia Niezależnych dotyczy osób, które nie wspierają konkretnego ugrupowania – tłumaczy Gus.

Mężczyzna podkreśla, że zaangażował się w kampanię wyborczą na rzecz Demokratów, bo nie zgadza się z polityką Trumpa.

– Kiedyś głosowałem na kandydatów z Partii Republikańskiej – mówi ten aktywista, który w latach 60. służył w bazie wojskowej w Dakocie Południowej. – Nigdy jednak nie widziałem, żeby to ugrupowanie tak bardzo się zradykalizowało jak teraz. Coraz częściej widać, jak polityka miesza się z religią. Administracja Trumpa przekreśla tak ważną dla Amerykanów ideę równości. A ja jestem za ochroną praw kobiet, za ograniczeniem dostępu do broni, ochroną zdrowotną dla wszystkich i bardziej rozsądną polityką migracyjną. Mój syn ożenił się z Wietnamką, której rodzice uciekli do USA z ogarniętego wojną Sajgonu. Sprawa imigrantów jest dla mnie osobista – dodaje.

Milionerka angażuje się w kampanię

Następnego dnia rozmawiam z Ellen Montanari – 65-latką z Solana Beach, która energią mogłaby obdzielić kilka osób.

To, że jest dobrym materiałem na aktywistkę, Ellen dowiedziała się dopiero na emeryturze. Wszystko zaczęło się w grudniu 2016 r., gdy stała się liderką demonstracji przeciwko kongresmenowi Darrellowi Issie.

Na fali frustracji związanej z jego protrumpowską polityką – Issa wspierał czołowe projekty prezydenta, takie jak zniesienie systemu ubezpieczeń zdrowotnych Obamacare oraz budowę muru na granicy z Meksykiem – mieszkańcy przez 67 tygodni, co każdy wtorek, protestowali pod biurem kongresmena w Viście.

Gdy okazało się, że Issa ostatecznie nie będzie ubiegał się o reelekcję w wyborach do Kongresu, Ellen zaangażowała się w kampanię na rzecz Mike'a Levina. W jego biurze wyborczym w Solana Beach koordynuje pracę wolontariuszy. Gdy zapewniam ją, że mój materiał nie ukaże się w mediach w USA, zdradza szczegóły dotyczące jego kampanii.

– W czerwcowych prawyborach naszym priorytetem byli ludzie, którzy zawsze głosują – tłumaczy 65-latka. – Chodziło o to, by wsparli oni Levina, a nie jednego z trzech innych polityków startujących w prawyborach Demokratów. Z kolei teraz, gdy jedyną oponentką Levina jest Republikanka Diane Harkey, docieramy do osób, które rzadko idą na wybory. Stawiamy na młodych i matki wychowujące dzieci w wieku szkolnym. To do nich najlepiej trafi polityka Mike'a Levina, który – w przeciwieństwie do Diane Harkey – jest za zaostrzeniem dostępu do broni.

Ellen dodaje, że grupą docelową kampanii kandydata Partii Demokratycznej jest również umiarkowany elektorat Republikanów: – Próbujemy dotrzeć do tych osób, które w 2016 r. głosowały na Hillary Clinton – mówi. – O tym, czy potencjalnie poparliby oni teraz Demokratę, świadczy też to, jakie gazety prenumerują lub na jakie organizacje charytatywne wpłacili pieniądze.

Emerytka dodaje, że nie spodziewała się, iż kiedykolwiek będzie pracowała dla kandydata Partii Demokratycznej. Przecież

przez całe życie zawodowe szkoliła kadrę zarządzającą czołowych amerykańskich firm. Jak mówi, nigdy nie mogła afiszować się ze swoim wsparciem dla Demokratów, bo wielu jej zleceniodawców to twardy elektorat Republikanów. Punktem zwrotnym w jej karierze było zwycięstwo Trumpa w wyborach prezydenckich. To właśnie wtedy zdecydowała, że przejdzie na emeryturę.

– Rozmawiałam o tym z mężem i stwierdziliśmy, że nie potrzebujemy więcej pieniędzy – tłumaczy dziś Ellen. – Przez lata udało nam się skumulować spory majątek i ważniejsza od dalszej kariery była dla mnie przyszłość USA. Polityka Trumpa to zamach na amerykańską demokrację. Moje pokolenie już raz wychodziło na ulice: to było w latach 70., gdy protestowaliśmy przeciw wojnie w Wietnamie. Wielu znajomych w moim wieku porównuje obecną sytuację do tamtych czasów. Dlatego tak mocno się angażujemy.

Kalifornijscy Republikanie w odwrocie

Jak wynika z sondażu przeprowadzonego przez Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley, w 49. okręgu wyborczym Partia Republikańska raczej nie ma szans na wygraną. Mike Levin cieszy się tu 55-procentowym poparciem, podczas gdy na Diane Harkey zagłosowałoby 41 proc. respondentów. Demokraci są już na tyle pewni wygranej, że sztab Levina zrezygnował z dokupowania czasu antenowego w lokalnej telewizji.

Jak wynika z waszyngtońskiego newslettera poświęconego prognozom wyborczym Cook Political Report, bardziej zaciekła walka szykuje się w sześciu innych kalifornijskich okręgach wyborczych.

Media przyglądają się w szczególności starciu w 45. okręgu: o miejsce w Izbie Reprezentantów walczą tu Katie Porter (Demokratka i profesorka prawa) oraz zasiadająca od 2015 r. w Izbie Reprezentantów Republikanka Mimi Walters. Sondaż Uniwersytetu Kalifornijskiego wskazuje, że Katie Porter może liczyć na 52-procentowe poparcie, a Mimi Walters na 45 proc.

To zaskakująca prognoza – biorąc pod uwagę, że wyborcza walka rozgrywa się tam w rejonie hrabstwa Orange, gdzie dotąd republikańscy kongresmeni mogli zawsze liczyć na pewną reelekcję.

Niepodzielni kontra Trump

Sara Kennedy, 32-letnia nauczycielka angielskiego i hiszpańskiego, listę kandydatów startujących w wyborach do Kongresu w hrabstwie San Diego zna na pamięć. To za sprawą przewodnika wyborczego, który przygotowywała razem z innymi członkami organizacji Niepodzielnych (*Indivisible*). To ogólnoamerykański ruch stworzony na fali sprzeciwu wobec prezydentury Donalda Trumpa, która coraz bardziej dzieli społeczeństwo amerykańskie.

Tutaj, w lokalnym oddziale Niepodzielnych w San Diego, Sara działa już od półtora roku. Jak mówi, została aktywistką po tym, kiedy Trump wprowadził zakaz wjazdu do USA dla obywateli kilku krajów muzułmańskich.

– Mam dość ideologii strachu, która przenika do polityki – tłumaczy Sara. – Nigdy nie zapomnę miny moich uczniów po tym, jak w listopadzie 2016 r. ogłoszono wyniki wyborów prezydenckich. Wielu z nich to dzieci nielegalnych imigrantów z Meksyku, którzy wraz z zaostrzającą się polityką migracyjną jeszcze bardziej niż kiedyś boją się deportacji – tłumaczy nauczycielka, która w ruchu Niepodzielnych odpowiada za organizację wydarzeń.

Jej ostatnim zadaniem było przygotowanie spotkania, podczas którego tutejszy oddział ruchu przedstawiał rekomendowanych przez siebie kandydatów do Kongresu. Wśród nich nie zabrakło Mike'a Levina oraz startującego w 50. okręgu wyborczym Ammara Campy-Najjara, 29-letniego Demokraty o korzeniach palestyńsko-meksykańskich.

– Ich podstawową zaletą jest to, że nie są Republikanami – przyznaje Sara. – Głównym celem ruchu Niepodzielnych jest doprowadzenie do przełamania monopolu Partii Republikańskiej, która dziś ma przewagę w obu izbach Kongresu.

– Nie oznacza to jednak, że zawsze będę głosowała na Demokratów – zaznacza nauczycielka. – Pochodzę z katolickiej rodziny, ze stanu Michigan. Jeszcze gdy byłam nastolatką, chodziłam na protesty przeciwko prawu do aborcji. Z biegiem lat zmieniłam poglądy, ale nie oznacza to, że ślepo wspieram Demokratów. Jeśli okaże się, że kandydaci tej partii nie wywiązują się ze swoich obietnic, w następnych wyborach być może zagłosuję inaczej.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Wybory do Kongresu, przypadające w połowie kadencji prezydenckiej, są zwykle **papierkiem lakmusowym popularności prezydenta** i jego partii.

Gus i Caroline agitują od drzwi do drzwi w Oceanside, październik 2018 r.

Niechętny hegemon

ROBIN ALEXANDER, AUTOR KSIĄŻKI „ANGELA MERKEL I KRYZYS MIGRACYJNY”:

Niemcy i Polacy wspólnie chcą, by USA nie opuszczały Europy, nasze gospodarki są ze sobą sprzęgnięte, a wobec agresywnej Rosji więcej nas łączy, niż dzieli. Jesteśmy po tej samej stronie.

DARIUSZ ROSIAK: Rozmawiamy między wyborami do dwóch parlamentów krajowych, w Bawarii i Hesji. Jeśli w tych drugich Alternatywa dla Niemiec (AfD) dostanie się do landtagu, co jest prawdopodobne, wtedy ta partia będzie miała swych przedstawicieli już we wszystkich 16 niemieckich landtagach, oraz – od jesieni 2017 r. – także w Bundestagu. Czy to problem dla Niemiec?

ROBIN ALEXANDER: Można powiedzieć, że to nie jest żaden problem, a wręcz przeciwnie – Niemcy stają się normalnym europejskim krajem. Populizm rozwija się niemal wszędzie w Europie, skrajne partie uczestniczą we władzy. Teraz dociera to do nas i nic w tym dziwnego.

Dlaczego dociera akurat teraz?

Niemcy dotąd były wolne od populizmu z dwóch przyczyn. Pierwsza jest prosta: chodzi o naszą historię. Mamy, najdelikatniej mówiąc, złe doświadczenie z rządami skrajnej prawicy, więc ludzie nie są skłonni na nią głosować. Drugi powód – zwykle niedoceniany – to fakt, że skrajnie prawicowy populizm pojawia się w krajach, w których rozwija się debata na temat kultury, systemu wartości, miejsca religii, tożsamości narodowej.

W latach 90. XX w. Niemcy dyskutowali na temat gospodarki: spieraliśmy się o to, jak tworzyć wzrost gospodarczy, miejsca pracy, stabilny rynek. Naszym problemem było zjednoczenie i odbudowa wschodnich Niemiec i właśnie skupienie uwagi na tych sprawach chroniło przed ekstremizmami. Ale ta ochrona się skończyła. Teraz Niemcy dyskutują zażarcie na temat tego, kim są, co to znaczy być Niemcem – i to jest dobre pole dla rozwoju partii populistycznej.

Ktoś mógłby powiedzieć, że skoro ludzie podzielają poglądy AfD, to ta partia powinna mieć udział we władzy. Też tak uważam, ale jednocześnie widzę, że AfD jest partią niezwykle agresywną, a inne partie odpowiadają jej nie mniejszą agresją. W rezultacie nie ma dziś w Niemczech debaty publicznej, w której uczestnicy wymieniają argumenty w celu znalezienia wspólnego rozwiązania. Mamy ataki, przemoc słowną, wrzaski, demagogię. Obecność AfD w Bundestagu jak dotąd nie polepszyła jakości jego pracy.

Opisuje Pan szersze zjawisko, zwane polityką tożsamościową. Rzecz polega z grubsza na tym, że polityka przestała być polem debaty na temat problemów do rozwiązania, a zamiast tego ludzie zbierają się w grupy zwalczające się wszelkimi metodami. Teoretycznie nikomu to się nie podoba, ale w praktyce w wielu krajach Zachodu, choćby w Polsce, innej polityki nie da się skutecznie uprawiać. Skutecznie, czyli z nadzieją na wygranie wyborów. W jaki sposób polityka tożsamościowa realizowana jest w Niemczech?

Partia, o której rozmawiamy, nosi nazwę Alternatywa dla Niemiec. To bardzo dziwna nazwa dla prawicowej partii. W przeszłości słowo „alternatywa” kojarzono raczej z lewicowymi przedsięwzięciami politycznymi. Dlaczego zatem prawica przejęła to słowo? Otóż dlatego, że Angela Merkel zawsze mówiła, że dla jej linii nie ma alternatywy. „Nie ma alternatywy” – to kluczowe zdanie w polityce Merkel. Ona nie tłumaczyła, dlaczego coś jest dobre, a coś innego złe, tylko mówiła: to jedyne rozwiązanie i musimy je wprowadzić w życie. W ten sposób Merkel radykalnie ograniczała pole debaty publicznej.

Trzeba przyznać, że przez wiele lat taka taktyka znakomicie się sprawdzała. Pamiętajmy, że przed ostatnimi wyborami Merkel miała w Bundestagu 85-procentową większość [sumując obie frakcje Wielkiej Koalicji, chadecką CDU/CSU oraz socjaldemokratyczną SPD – red.], a jedyną opozycję stanowili Zieloni i Partia Lewicy [o korzeniach jeszcze postkomunistycznych – red.]. Mieliśmy więc rząd konserwatywno-lewicowy, który realnie wykluczał z rządzenia połowę opinii publicznej. Posiedzenia parlamentu były tak przewidywalne, że dziennikarze przestali je relacjonować. Kiedy tak bardzo zacieśnia się pole debaty, to naturalnie następuje reakcja i polityka staje się bardzo ostra. AfD powiedziała: nie, nie godzimy się na politykę bezalternatywną.

AfD na początku była przede wszystkim partią antymerkelowską?

Ruch, z którego wyłoniła się AfD, zaczął się od kryzysu w strefie euro. Nie chodziło o migrantów, bo przed 2015 r. nikt się nimi nie zajmował, tylko o programy pomocowe dla Grecji i innych zagrożonych krajów z południa Unii. AfD uważała, że Niemcy nie powinny za nie płacić. Ale z takim programem AfD nie udało się wejść do głównego nurtu polityki niemieckiej. Kryzys euro został rozwiązany w mniej lub bardziej sensowny sposób, ta kwestia po kilku latach przestała być paliwem napędzającym niemiecką politykę wewnętrzną. Latem 2015 r. AfD miała poparcie rzędu 3 proc., podczas gdy trzeba zyskać 5 proc., by wejść do Bundestagu i landtagów. Tylko że potem przyszedł wrzesień 2015 r., otwarcie granic, kryzys migracyjny i towarzysząca mu całkowita zmiana atmosfery w kraju. I to był decydujący moment dla wejścia AfD do naszego systemu parlamentarnego.

W książce „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu” dokumentuje Pan chaos, który ogarnął niemiecką politykę w ciągu zaledwie kilku dni. Czy wrzesień 2015 r. był rzeczywiście kluczowy dla tej transformacji?

Z pewnością. Moja książka opowiada o 180 dniach – począwszy od września 2015 r., gdy Niemcy otworzyły granicę i utraciły kontrolę nad tym, co się na niej dzieje, aż do marca 2016 r., kiedy odzyskały kontrolę dzięki zamknięciu „szlaku bałkańskiego” i umowie Unii Europejskiej z prezydentem Erdoganem, po której skończył się napływ migrantów z Turcji do Europy. Chaos się skończył i sprawy wróciły do normy.

Pojawienie się chaosu to klucz do zrozumienia obecnych reakcji Niemców na kryzys uchodźczy. Niemcy nie są kseno-

ANDRZEJ BOGACZ / FORUM

Robin Alexander: „Angela Merkel nie jest ani świętą, ani wiedźmą. Jest politykiem". Na zdjęciu: uchodźcy w Budapeszcie, wrzesień 2015 r.

fobami, natomiast uważają, że rząd powinien wiedzieć, co robi. Jeśli rząd podejmuje świadomą decyzję, że przyjmujemy uchodźców, to nie ma problemu, przyjmujmy ich. Jeśli nie, to też zrozumiemy. A jeśli nie wie, co ma robić, to wali się cały system. Rząd musi panować nad sytuacją. Wydaje mi się, że to jest naturalne oczekiwanie obywateli wobec każdej władzy, a w Niemczech to oczekiwanie jest jeszcze bardziej wyczuwalne. Potrzeba poczucia kontroli to bardzo niemiecka cecha.

W Polsce popularne są dwie interpretacje ówczesnej postawy Merkel. Jedna głosi, że wymyśliła makiaweliczny plan wpuszczenia do Europy miliona terrorystów i biedaków, aby ją kontrolować z Berlina. Według drugiej Merkel miała być niemal świętą, która z dobroci serca postanowiła pomóc uchodźcom. Pan uważa obie te wersje za błędne.

Tak. Ona nie jest ani świętą, ani wiedźmą. Jest politykiem. Angela Merkel tłumaczyła, że działa w odruchu humanitarnym. I nie ma powodu, by w to wątpić. Początkowo wydano zgodę na wpuszczenie ograniczonej grupy migrantów do Niemiec. To było ok. 2 tys. ludzi, którzy szli przez Węgry ku granicy austriackiej i ogromnie cierpieli. Merkel i ówczesny austriacki kanclerz Werner Faymann zdecydowali wspólnie im pomóc: połowa miała zostać w Austrii, a połowa iść do Niemiec. I to z pewnością była decyzja humanitarna. Oczywiście potem pojawiło się więcej migrantów, a rząd niemiecki nie chciał zamykać granicy. Ale to permanentne otwarcie nigdy nie było planowane.

Jest jeszcze inny kluczowy moment, o którym wspomina Pan w książce: 13 września, gdy wszystkie instytucje niemieckie były gotowe na zamknięcie granic. Austriacy i Węgrzy przestali przyjmować uchodźców i zdawali sobie sprawę, że napór migrantów wymyka się spod kontroli. Dlaczego Niemcy nie wstrzymały wtedy ich przyjmowania?

Gdy napływało coraz więcej ludzi, nikt nie wykazywał politycznej woli, by powiedzieć: teraz kończymy. Rząd niemiecki podjął jednak przygotowania do zamknięcia granicy: policja zajęła stanowiska, dostała konkretne rozkazy. Tuż przed rozpoczęciem operacji odbywa się dyskusja w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. W trakcie tej rozmowy minister Thomas de Maizière wychodzi z pokoju i dzwoni do Angeli Merkel. Liczy na to, że to ona zatwierdzi decyzję – w końcu jest szefową rządu. Ale minister wraca bez dyspozycji pani kanclerz, za to z kolejnymi pytaniami, na które nie ma odpowiedzi. I w ostatniej chwili rozkaz dla policji zostaje zmieniony. Niemcy co prawda wprowadzają kontrole, ale ktokolwiek przekracza granicę deklarując, że jest uchodźcą i ubiega się o azyl, ma być wpuszczony do Niemiec.

Postawę Merkel z września 2015 r. łatwo krytykować, zwłaszcza gdy rozmawiamy znając skalę problemów, które z tego wynikły. Ale zróbmy pewne ćwiczenie. Wyobraźmy sobie, że policja i straż graniczna postąpiłyby według wcześniej przygotowanych procedur. Strażnicy z psami chroniliby granice, nie wpuszczając migrantów, a telewizje z całego świata filmowałyby starcia między Niemcami

↦

↦ **i uchodźcami. To nie jest abstrakcja. Gdy w marcu 2016 r. zamknięto granicę między Grecją i Macedonią, widzieliśmy, jak brutalnie macedońska policja wypiera nacierających uchodźców.**

To pytanie, które pan teraz zadaje, stawiała sobie Angela Merkel we wrześniu 2015 r. I doszła moim zdaniem do następującego wniosku: nie chcę użyć siły wobec tych ludzi, ale nie mam nic przeciwko temu, żeby użyli jej inni. Niech Macedończycy ich powstrzymają albo Turcy. Albo niech zrobi to ktoś w Libii. Dokonaliśmy „outsourcingu" przemocy państwowej.

Moim zdaniem w Europie ciągle ścierają się dwa skrajne podejścia wobec problemu migracji. Jedni mówią: przyjmijmy ich wszystkich – nieważne, czy są uchodźcami, czy migrantami ekonomicznymi, co to za różnica? Potrzebują pomocy, podzielmy się z nimi naszym bogactwem. Z kolei według innych nie należy przyjmować nawet jednego migranta, bo może być terrorystą albo jego dzieci mogą się nimi stać.

Oba te podejścia są błędne, musimy szukać kompromisu. Wśród migrantów są ludzie, którzy naprawdę uciekają przed prześladowaniem, którym naprawdę grozi śmierć w ich ojczyźnie. Musimy stworzyć mechanizm pomocy, w ramach którego czynimy rozróżnienie między uchodźcami politycznymi czy wojennymi i migrantami ekonomicznymi. Niech to będzie system weryfikacji na granicy czy nawet w krajach, z których przybywają. Zresztą obecnie Merkel jest zwolenniczką właśnie takiego rozwiązania.

ROBIN ALEXANDER:

Niemcy powinni zrezygnować z projektu Nord Stream. Dla nas Europa Środkowa jest ważniejsza od Rosji.

Uważa Pan, że kanclerz uznała, iż politycy tacy jak Orbán czy Kaczyński mieli rację?

Nie, ona nie zgadza się z nimi do dziś – i moim zdaniem ma rację. Orbán postanowił nie przyjmować żadnego uchodźcy, nawet jeśli miałby to być człowiek z otwartą raną czy z kulą w głowie. Taką postawę trudno usprawiedliwić w chrześcijańskim kraju, prawda?

Politycy odpowiadają na zapotrzebowanie społeczne. Na jakie zapotrzebowanie odpowiedziała Merkel, otwierając granicę w 2015 r.?

Kiedy we wrześniu 2015 r. uchodźcy zaczęli przyjeżdżać do Monachium, Niemcy masowo wylegli na tamtejszy dworzec kolejowy. Uchodźców witano oklaskami, ludzie przynosili jedzenie, kwiaty, a dzieciom misie. Niemcom nie tylko podobała się decyzja Merkel, oni wpadli w ekstazę. Odkrywaliśmy siebie jako naród gotowy pomagać, otwarty na innych, wykazujący humanizm, chrześcijańskie miłosierdzie. I tu jest klucz do zrozumienia tego, co robiła Merkel. Nasza *Willkommenskultur* – kultura gościnności – nie została narzucona ludziom przez władze, tylko po prostu jest naturalnym wyrazem aktywności Niemców. Jesienią 2015 r. to rząd szedł za ludźmi, a nie na odwrót. Wie pan, upraszczam teraz, ale jeśli na Bliskim Wschodzie pojawia się jakiś problem, to np. we Francji pierwsza reakcja opinii publicznej brzmi: wyślijcie tam samoloty i zbombardujcie tamtejsze wojska rządowe, które gnębią ludzi. A w Niemczech opinia publiczna mówi: przyjmijmy wszystkich uchodźców, na pewno znajdzie się dla nich miejsce. Nie wiem, z czego się to bierze. Może z tego, że wiele niemieckich rodzin ma w swojej historii doświadczenie uchodźstwa? Po II wojnie światowej prawie jedna czwarta Niemców była uchodźcami.

A może poczucie winy odgrywa rolę?

W Polsce często jestem o to pytany. Ale niemiecka historia nie zaczyna się i nie kończy na II wojnie światowej. Bestsellerem jest teraz u nas książka o wojnie trzydziestoletniej w XVII stuleciu. Autor mówi w niej: popatrzcie, jak mordowali się nawzajem katolicy i protestanci w Niemczech 400 lat temu, wtedy zrozumiecie coś na temat obecnego konfliktu między sunnitami i szyitami.

Ułatwiamy sobie życie w Polsce, tłumacząc niemieckie decyzje polityczne czy zachowania społeczne poczuciem winy za II wojnę światową?

TP

ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY

1918: DRUGIE POWSTANIE LISTOPADOWE

Sto lat temu miało miejsce najbardziej udane ze wszystkich polskich powstań: dzięki niemu odrodziło się państwo – Druga Rzeczpospolita. A jednak wydarzeń tych nie nazwano powstaniem. Właściwie dlaczego? Za tydzień opowiemy w „Tygodniku", co działo się w październiku i listopadzie 1918 r.:

- Tadeusz A. Olszański pokaże, jak sto lat temu organicznikowsko-legalistyczne wysiłki polskich polityków (z trzech zaborów i emigracji) zbiegły się z „argumentem siły": wystąpieniami zbrojnymi, tworzącymi fakty dokonane.
- Aby przetrwać, kraj potrzebował armii. Ale, wbrew późniejszej legendzie, na początku ochotników nie było wielu: społeczeństwo było zmęczone Wielką Wojną. Kim byli pierwsi żołnierze Wojska Polskiego? Sportretuje ich historyk Krzysztof Pięciak.
- Gdy wieczorem 31 października 1918 r. Stanisława Paleolog wracała z teatru, na lwowskich ulicach czuło się napięcie. Następnego dnia lwowscy Ukraińscy proklamowali swe państwo, a lwowscy Polacy zaczęli powstanie przeciwko temu państwu. Stanisława została łączniczką... O tym, jaką rolę odegrały wtedy kobiety, opowie Patrycja Bukalska.
- Kondycja ekonomiczna Polski u progu jej istnienia była zła. Skutkom wojen (światowej oraz z bolszewikami) towarzyszyła kiepska koniunktura światowa. O gospodarczym „bilansie otwarcia" odrodzonego państwa opowie ekonomista prof. Wojciech Morawski.

DODATEK WRAZ Z „TYGODNIKIEM"
W KIOSKACH OD ŚRODY 7 LISTOPADA

Moim zdaniem tak.

Wróćmy do polityki. Czy to, co teraz dzieje się w Niemczech, oznacza polityczny koniec Angeli Merkel?

Tak. Jeśli porównalibyśmy jej karierę do pór roku, to teraz mamy zimę. Pytanie, czy jest to początek zimy, czy jej koniec. Wybory do landtagu w Hesji dadzą odpowiedź na to pytanie. Jeśli CDU straci tam stanowisko premiera rządu krajowego, to Merkel bardzo trudno będzie utrzymać władzę w Berlinie.

Jak będzie wyglądała Europa bez przywództwa Merkel, za to z niemiecką sceną polityczną poważnie zmienioną przez wejście na nią AfD?

Niemcy muszą znaleźć dla siebie nową rolę. Dotąd w Europie istniał podział na „klub śródziemnomorski" z Francją jako jego liderem – oraz „klub północno-wschodni" z Niemcami jako przywódcą. Niemcy liczyły na to, że pewnego dnia Wielka Brytania i Polska wejdą do strefy euro i wtedy „klub północny" będzie jeszcze silniejszy. Dziś wiemy, że tak się nie stanie, i Niemcy są w pewnym sensie osamotnione. Berlin nie jest w stanie sam rozwiązywać wszystkich problemów europejskich, dlatego wielu Niemców ma nadzieję, że prezydentowi Macronowi uda się zreformować Francję i odgrywać w Europie silniejszą rolę.

Wyobraża Pan sobie Europę, w której Niemcy nie odgrywają roli hegemona? Pewnie zaraz Pan mi powie, że Niemcy nigdy nie chciały być hegemonem. Ale jednak we wszystkich istotnych procesach współczesnej Europy to Niemcy podejmowały kluczowe decyzje. Tak było ze sposobem na rozwiązanie kryzysu w strefie euro czy kryzysu migracyjnego.

A wie pan, kto odegrał ważną rolę w przypisaniu Niemcom tej roli „niechętnego hegemona"? Polski polityk Radek Sikorski. W 2011 r. wygłosił w Berlinie słynne przemówienie, w którym mówił, że „mniej obawia się niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności". Wzywał nas do wykazania większej aktywności. Niechętny hegemon w myśleniu niemieckim to jest taki lider, który przewodzi innym, dając im czas na dołączenie do siebie. Np. podczas kryzysu euro Niemcy sfinansowały budżet Grecji, dając jej czas na to, by zreformowała swoją gospodarkę i doszlusowała do reszty Europy. Podczas kryzysu migracyjnego Niemcy myśleli podobnie: przyjmiemy ten milion ludzi, zaopiekujemy się nimi, a reszta państw Unii przemyśli sprawę i po jakimś czasie przyjmie część z nich do siebie. Odmowa przyjmowania uchodźców ze strony Polski i innych krajów stanowiła dla Niemców ogromne rozczarowanie.

A nie wydaje się Panu, że to jest myślenie niezwykle nierealistyczne, żeby nie powiedzieć wręcz: protekcjonalne? Bo brzmi to tak, że dostajemy od Was czas, by zastanowić się nad naszymi błędami, dorosnąć i wreszcie zachowywać się jak Niemcy.

Nierealistyczne i jak widać kompletnie nieskuteczne.

Co będzie ze stosunkami polsko-niemieckimi?

Dekada przed 2015 r. to był najlepszy okres w stosunkach Polski i Niemiec w historii. To zasługa zwłaszcza Angeli Merkel. Proszę sobie przypomnieć. W 75. rocznicę wybuchu II wojny światowej prezydent Komorowski przemawia w niemieckim parlamencie i sugeruje Niemcom, jakie lekcje mają wyciągnąć z historii. Nie prezydent Izraela albo Rosji, tylko Polski. Wzywa Niemcy do silnego przeciwstawienia się rosyjskiej agresji. I co robią Niemcy? Dokładnie to właśnie. Mamy kryzys ukraiński, Majdan w Kijowie, a Merkel i polski rząd działają ramię w ramię. Mam w pamięci podróż, którą w lutym 2014 r. odbyli do Kijowa wspólnie ministrowie spraw zagranicznych Steinmeier i Sikorski, był z nimi jeszcze Laurent Fabius z Francji. I Sikorski opracowuje wtedy porozumienie, które Janukowycz [prorosyjski prezydent, wkrótce potem obalony przez majdanową rewolucję – red.] podpisuje.

To Sikorski był jego autorem, a Steinmeier siedział obok niego jak jakiś pomocnik, który robi notatki. Nigdy tego wcześniej nie widziałem: Polska występowała w roli lidera Europy, europejskie stanowisko wobec Rosji zostało wymyślone przez Polskę, Niemcy jedynie je poparły. To była niezwykła rzecz. Po każdej rozmowie z Putinem, Merkel dzwoniła do prezydenta Komorowskiego i zdawała mu sprawozdanie.

Co się zmieniło?

To wszystko zostało stracone w 2015 r. wskutek dwóch wydarzeń. Po pierwsze, we wrześniu Merkel otworzyła granicę dla migrantów – jednostronnie, nie pytając nikogo o zdanie, ani Francuzów, ani Polaków, nikogo. A w październiku w Polsce nastąpiła zmiana władzy. Nowy rząd PiS zaczął grać kartą antyniemiecką. I to rzeczywiście jest tragedia.

Czy ten stan może ulec zmianie bez zmiany władzy w Polsce?

Moim zdaniem wspólne interesy ważą więcej niż ideologia. Wspólnie chcemy, by Amerykanie nie opuszczali Europy, nasze gospodarki są ze sobą sprzęgnięte, a w obliczu agresywnej Rosji więcej nas łączy, niż dzieli. Jesteśmy po tej samej stronie.

W takim razie, dlaczego Niemcy wspierają budowę gazociągu Nord Stream 2, wiedząc przecież, że to niebezpieczny instrument polityki Rosji?

To jest inwestycja zainicjowana w czasach Gerharda Schrödera [kanclerza z SPD w latach 1998–2005 – red.]. Merkel ją kontynuuje, co moim zdaniem jest błędem. Moja gazeta „Die Welt" wielokrotnie o tym pisała. Merkel nie rezygnuje z tego projektu, ponieważ byłoby to zbyt kosztowne dla przemysłu niemieckiego. Musi się też liczyć ze stanowiskiem koalicjanta, czyli SPD, który wspiera budowę gazociągu. Niemcy wycofali się z energetyki jądrowej i koncentrują się teraz na rozwoju energii odnawialnej. Jednak energii odnawialnej nie da się składować, a gaz jest doskonałym zabezpieczeniem. Docelowo Niemcy myślą o sprowadzaniu gazu i z Rosji, i ze Stanów, z dwóch źródeł, po to, by nie uzależniać się od jednego dostawcy. Ale powtarzam to, o czym wielokrotnie pisałem: Niemcy powinny zrezygnować z projektu Nord Stream. Europa Środkowa jest dla nas ważniejsza od Rosji.

© Rozmawiał DARIUSZ ROSIAK

GUDRUN SENGER / CC BY-SA 3.0

ROBIN ALEXANDER *(ur. 1975) jest publicystą (od 2008 r. pracuje w dzienniku „Die Welt") i autorem książek. Jego opublikowana w 2017 r. książka „Die Getriebenen. Merkel und die Flüchtlingspolitik", rekonstruująca szczyt kryzysu migracyjnego w 2015 r. i decyzje podejmowane wtedy przez rząd Niemiec, stała się bestsellerem (polskie tłumaczenie ukazało się w tym roku nakładem Teologii Politycznej, pt. „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu").*

Ojczyzna tymczasowa

WOJCIECH PIĘCIAK Z DROHOBYCZA

Gdy się budzą, sprawdzają pogodę na Krymie. Ale dziś ich domem jest to miasto na zachodniej Ukrainie. Zapewne na długo. Właśnie otworzyli swoje centrum edukacyjno-kulturalne.

WOJCIECH PIĘCIAK

Pierwszy był Arsłan, czyli Lew. Urodził się w kwietniu 2014 r. – już miesiąc po tym, jak przybyli tu Elzara i Rustem. Choć ona była w ósmym miesiącu, woleli nie czekać, aż przyjdzie po nich rosyjska bezpieka. Na ucieczkę z Krymu zdecydowali się zaraz po tym, jak Władimir Putin podpisał akt aneksji.

Wtedy, pod koniec marca 2014 r., brat Artur Deska – wicedyrektor Caritasu w tutejszej diecezji unickiej (Polak i rzymski katolik, od kilkunastu lat w Drohobyczu) – usłyszał, że w wiosce pod miastem przygarnięto rodzinę, która uciekła z Krymu, z czwórką dzieci i piątym w drodze; ale że choć ludzie są życzliwi, to droga tak zniszczona (rzecz tu zwyczajna), iż do miasta jedzie się po dziurach półtorej godziny; gdy kobieta zacznie rodzić, będzie kłopot.

Brat Artur pojechał, zobaczył i zabrał Tatarów do siebie. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, jesienią 2016 r., wspominał: „U nas w Caritasie jest kilka pokojów z łazienkami i wspólną kuchnią. Tam najpierw zamieszkali nasi Tatarzy. Jedna rodzina, potem kolejna i jeszcze kolejna. Ci, co przybyli, ściągali krewnych". Gdy zebrały się ponad dwa tuziny, Artur uznał, że taki „akademik" to nie życie dla rodzin z dziećmi. Pomógł im wynająć mieszkania. A także je umeblować. Oraz ubrać rodziny, a na początku – również wyżywić.

Bo Tatarzy, którzy zjawili się tu cztery lata temu, przybywali tylko z podręcznymi torbami. Wierzyli, że ich wygnanie (można tak to określić, ponieważ mieli powody, by nie zostawać pod rosyjską okupacją) potrwa krótko. Że świat nie dopuści, aby w XXI w. jakiś kraj w Europie ot tak przesuwał granice.

Proces długiego trwania

Ale świat dopuścił. I tak zaczęła się historia krymskotatarskiej wspólnoty (oni mówią: gromady) w Drohobyczu: powiatowym mieście w obwodzie lwowskim, w kotlinie podkarpackiej, gdzie często hula miejscowy halny, a klimat jest surowszy niż na Krymie.

Jednak to tu znaleźli nową ojczyznę – wciąż wierzą, że tymczasową. Nie są naiwni: śledzą wieści, co się dzieje na Krymie – prócz sprawdzenia pogody (tu i tam), dzień zaczynają od przejrzenia informacji z Krymu, np. na portalu Radia Swoboda. Nie mają więc złudzeń: ich tymczasowość musi potrwać.

Dlaczego więc wierzą, że wrócą? Najpierw dlatego, że są religijni: zdaje się, że to głęboka wiara w Bożą sprawiedliwość daje im cierpliwość. Także w znoszeniu tego, czego na Krymie – jak słyszą niemal codziennie – doświadczają ich bliscy.

Ale oprócz tego jest coś jeszcze: gdy rozmawia się z nimi, podczas kolejnych spotkań przy ich tradycyjnych potrawach i mocnej kawie, widać, że myślą w kategoriach, które słuchający ich socjolog nazwałby pewnie „historycznymi procesami długiego trwania".

Nie wymyślili sobie tego teoretycznie, lecz nauczyli się od rodziców i dziadków. To, rzec chyba można, istotny element tożsamości ich niewielkiego, bo kilkusettysięcznego narodu, którego kilkadziesiąt tysięcy członków po aneksji opuściło rodzinną ziemię.

Na czym polega?

Gdy dwa lata temu byłem w Drohobyczu po raz pierwszy, spotkałem Hasana. Zadałem mu pytanie, które wtedy stawiali mu pewnie wszyscy: skąd w ogóle wiara, że wrócą?

34-letni dziś Hasan Jakubow – brat Rustema, mąż Feride i ojciec 8-letniego Chalida, 7-letniej Muminy oraz 3-letniego Abdul-Karima (urodzonego już tu, w Drohobyczu) – odparł nie wprost. Opowiedział historię swojej rodziny: dziadków, których w 1944 r. Sowieci deportowali (wraz z całym narodem) do Azji Środkowej, i rodziców, którzy przyszli na świat (tak jak on) już w Uzbekistanie.

Wtedy zdawało się, że Sowiety będą wieczne. Musiało minąć prawie 45 lat, zanim rodzice Hasana wrócili na Krym. On miał wtedy cztery lata. Wspominał, że było ciężko: rodzice nie mogli odzyskać rodzinnej ziemi, musieli budować nowy dom, stworzyć dla siebie miejsce pracy, zaczynać właściwie od zera. Ale, koniec końców, historia okazała się sprawiedliwa. Bóg okazał swą sprawiedliwość.

A dziś? Dziś też wszystkim się wydaje, że putinowska Rosja będzie wieczna. Kiedy więc, jak sądzą, będą mogli wrócić?

– Inszallach. Kiedy Bóg zechce – odpowie Abdul-Kahar, z profesji informatyk.

Dzieci, czyli przyszłość

Skoro mamy już do czynienia z „procesem długiego trwania", ważne jest – tak jak za czasów sowieckich – by podtrzymać tożsamość narodu, język, kulturę, obyczaje. I jego substancję. Czyli, mówiąc językiem bardziej ludzkim: ważne są dzieci.

A dzieci tatarskich jest dziś w Drohobyczu sporo. Większość wspólnoty, liczącej 20 rodzin (łącznie ok. 120 osób), to właśnie one: głównie w wieku przedszkolnym lub wczesnoszkolnym.

SULFIYE ABIBULAEWA

SULFIYE ABIBULAEWA

Z lewej: budynek, gdzie na piętrze mieści się Centrum Kultury Krymskotatarskiej. Pośrodku: Jusuf wita gości w małym muzeum historii i kultury Tatarów Krymskich. U góry: zgodnie z obyczajem, przed wejściem i gospodarze, i goście musieli zdjąć buty. Drohobycz, 16-17 października 2018 r.

Kilkanaścioro urodziło się już tutaj.

Pierwszy był Arsłanek – ten, którego imię tłumaczy się jako Lew. Potem kolejne. Jak Abdul-Karimek, który, Bogu dziękować, chowa się zdrowo, choć ostatniej zimy przeszedł koklusz i ciężką grypę (chorowało wtedy wiele dzieci). Jak Hawa (Ewa), córeczka Asenije, która urodziła się z rozszczepem podniebienia, wymagającym operacji. Jak Hajat (jej imię znaczy: Życie), czwarta już córka Lili i Nurika. Jak Latifa, piąte dziecko Feraje i Abdul-Rahmana, którego imię tłumaczy się jako Sługa Miłosierny. Największy demograficzny przyrost (jak na skalę wspólnoty) był w 2017 r., gdy na świat przyszło siedmioro.

A dzieci, jak to dzieci: rozumieją więcej, niż można sądzić. Im starsze, tym lepiej pojmują. Ale również te młodsze przeżywają emocjonalnie tymczasowość i po swojemu odreagowują. Np. chorują częściej niż wcześniej, na Krymie (choć może to kwestia klimatu). Często rysują Krym. Śnią o nim.

I tęsknią, zwłaszcza za babciami i dziadkami, którzy zostali (zbyt starzy, aby po raz kolejny zaczynać na nowo). Dzieci tęsknią bardzo, bo tam, na Krymie, tatarskie wielopokoleniowe rodziny trzymają się razem, więzi są silne.

Gdy więc do Drohobycza przyjechała na chwilę mama Feride, Mumina i Chalid uknuli przebiegły plan: postanowili ukraść i zniszczyć dokumenty babci, aby musiała już z nimi zostać.

Plan nie wypalił. Natomiast, aby jakoś zaradzić tej tęsknocie, już w tamtym roku kilka matek pojechało latem z dziećmi na Krym, by mogły pobyć trochę z dziadkami.

Mężczyźni nie pojechali, woleli nie ryzykować.

Tatarscy drohobyczanie

Drohobycz, połowa października. Słońce przesunęło się już na zachodnią stronę nieba, ale do wieczora jeszcze daleko. Na podwórku jednopiętrowego budynku przy ulicy Łesi Ukrainki (pamiętającego międzywojnie lub może nawet czasy austriackie) trwa ożywiony ruch. Ostatnie pociągnięcia pędzli, ostatnie porządki przed jutrzejszą uroczystością. Ostatnie planowanie.

Rustem Jakubow, przewodniczący gromady, jest zdenerwowany. Ze słuchawką w uchu odtwarza sobie tekst, który jutro wygłosi. Dla utrwalenia. Bo jutro ważny dzień: otwierają Krymskotatarskie Centrum Kulturalne.

Gdy w 2016 r. władze miasta przekazały wspólnocie piętro w tym budynku (za symboliczny czynsz), zdawało się, że czas swej świetności ma on za sobą – podobnie jak wiele zabytkowych willi i pałacyków (charakterystycznych dla tego miasta, które swe bogactwo opierało najpierw na wydobyciu soli, a od drugiej połowy XIX w. także ropy). Ale wiosną tego roku ambasada polska w Kijowie przyznała wspólnocie dotację na remont.

Z grantu mogli kupić materiały budowlane, robociznę mieli zapewnić sami. I zapewnili: pracowali wszyscy, cała gromada. Uszczelnili dach, założyli ogrzewanie, wymalowali. Nowe okna wstawiał Abdul-Rahman: specjalista od czebureków (ze sprzedaży tych tradycyjnych tatarskich placków z nadzieniem utrzymuje się tu kilka rodzin), doświadczenie budowlane zdobywał przez kilka miesięcy w Polsce (aż Feraje zadzwoniła, żeby wracał, bo rodzina tęskni).

Jutro ich święto. Na ocieplonej podłodze usiądą – zwyczajem tatarskim, bez butów – mer Drohobycza i polski konsul ze Lwowa, ukraińscy przyjaciele, a także przyjaciele z Polski i Holandii. Oraz, rzecz jasna, ich anioł stróż: Artur Deska. Będą przemówienia i podziękowania. Ku uldze spiętego na początku Rustema, w atmosferze niemal rodzinnej.

Potem, po południu, w pobliskim parku będzie festyn dla drohobyczan, z tatarskimi potrawami i prezentacją. Bo Centrum przy Łesi Ukrainki nie ma być wyspą: każdy będzie mógł przyjść i zobaczyć, kim są Tatarzy. Małe krymskie muzeum urządzili w jednej z sal. Są tu też, oczywiście, sale dla dzieci: na naukę języka i kultury. Żeby nie zapomniały, żeby naród trwał.

Ale to wszystko jutro. Na razie czeka ich jeszcze praca do późnej nocy.

Czas więc na posiłek. Na kuchni polowej dochodzi płow (podobno tak gotowany jest najlepszy). Przy długim drewnianym stole, na podwórku, zasiadają mężczyźni i chłopcy. Kobiety i dziewczynki zjedzą osobno, na piętrze. Taka tradycja.

Abdul-Rahman wyciąga komórkę, z dumą pokazuje raczkującą Latifę.

Nadciąga wieczór, a wraz z nim chłód od pobliskich Karpat. W nocy może być przymrozek.

Rustem uśmiecha się: – A wiesz, ile stopni jest dziś na Krymie? Trzydzieści!

©℗

Autor dziękuje Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej za wsparcie, które umożliwiło podróże na Ukrainę.

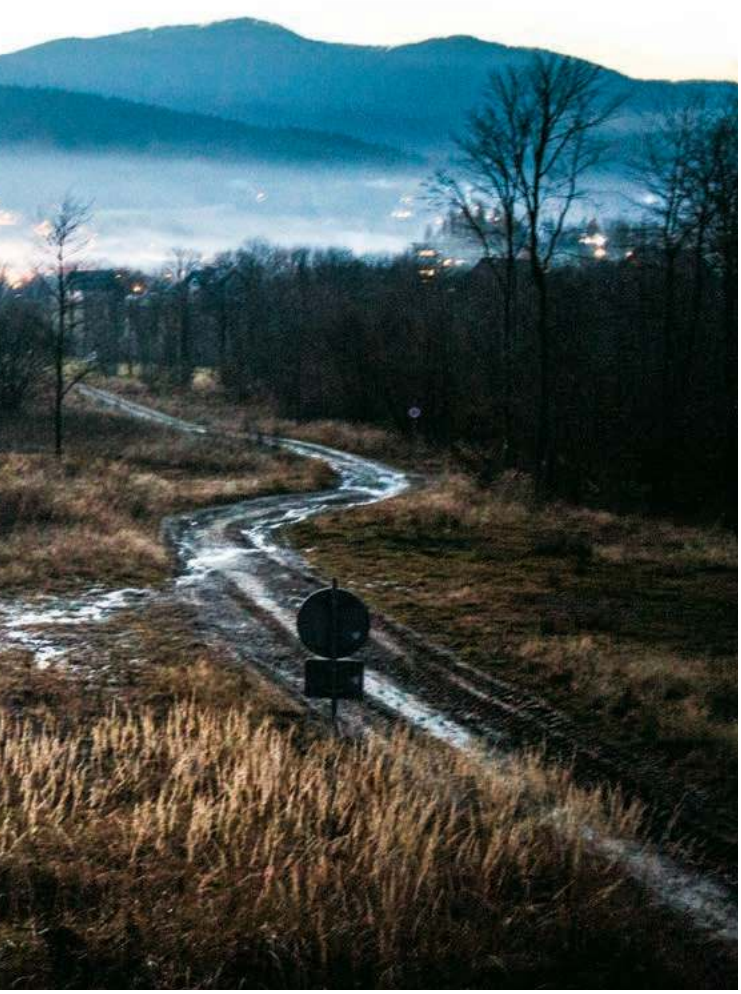

GRAŻYNA MAKARA

ANDRZEJ

Stasiuk: *Pielgrzymka do podziemi*

Babka umarła latem. Miałem osiem lat. Umarła za ścianą w swoim wiejskim domu, a ja z ciotecznym bratem spaliśmy tuż obok. Ciało zostało w domu. Potem mężczyźni zanieśli trumnę na ramionach do kościoła. Po drodze musieli się zmieniać. Było gorąco i być może nad trumną unosiły się pierwsze muchy. Nie wiem. W tamtych czasach nie trzymało się ciał w chłodniach. Przynajmniej na wsi. Ze śmiercią było jak z jedzeniem. Trzeba się było spieszyć, zanim się zepsuje.

NA CMENTARZU PIERWSZY RAZ WIDZIAŁEM WYKOPANY GRÓB. Sterta żółtego piasku jaśniała przy samym wejściu po prawej. Cmentarz był w oddaleniu, kawałek za wsią. Piękny, zielony, okolony starymi drzewami, na lekkim wzniesieniu. Ludzie mówili, że sucho i woda nie podchodzi. Czterech mężczyzn opuściło trumnę na sznurach. Ksiądz wypowiadał ostatnie modlitwy. Ciotki i wujkowie rzucali pierwsze grudki ziemi i słychać było głuchy stuk. „Tam w środku jest babka" – myślałem zdziwiony. Jeszcze niedawno ciepła, pachnąca jedzeniem, drzewnym dymem z kuchni, gospodarstwem. Spada na nią zimna ziemia i oddziela od żywych. Grabarze pracowali równo, szybko i obojętnie. Jak przy budowie drogi albo domu. Zręcznymi pociągnięciami łopat uformowali kopczyk i wbili krzyż. Ciotki, wujowie i obcy ułożyli kwiaty na mogile.

Trochę płakałem, ale kobiety mnie pocieszały, że to tylko na chwilę, na jakiś czas i potem babka wstanie spod ziemi powołana do innego życia i wtedy już nigdy nie umrze. I że nadejdzie czas, gdy ją zobaczę. Więc płakałem tylko trochę, ponieważ wierzyłem we wszystko, co mówili dorośli. Zwłaszcza kobiety, bo zawsze mi się wydawało, że one wiedzą więcej i lepiej.

Wracaliśmy na piechotę i pewnie na skróty, miedzami wśród dojrzewającego zboża. Było słonecznie, gorąco, powietrze stało nieruchomo, a ja wyobrażałem sobie babkę, jak leży na wznak, w ciemności i ciszy, z różańcem w splecionych dłoniach, a wieko trumny chroni ją przed ciężarem ziemi. Zastanawiałem się, czy będzie jej wygodnie tak leżeć do czasu, gdy zmartwychwstanie.

DLACZEGO PAN WYSYŁA MUCHY, GDY UMIERAMY? Dymitr żył samotnie i tak umarł. Był lipiec i znaleźli go po dwu dniach. W domu był czarny rój. Nadlatują, żeby obrać nas do kości i roznieść po świecie, zamienić w energię, którą potem żywią się inne zwierzęta, a tymi zwierzętami na końcu żywimy się my. Więc trochę tak, jakbyśmy zjadali naszych zmarłych, żeby ich zatrzymać, żeby pozostali z nami, żeby w nas żyli. Ale boimy się tego, bo to przecież zmarli, i chociaż ich kochamy, nie chcemy żyć z ich śmiercią. Dlatego ich zakopujemy. Żeby chociaż pozornie, chociaż w tym ziemnym obrzędzie, wyprowadzić ich spomiędzy nas. Albo po to, by się nie męczyli, krążąc przez wieczność w kosmosie w postaci pierwiastków, związków, cząstek energii, żeby nie zasilali świata. W ziemię przecież wchodzi się wolniej i na pozór zostaje na miejscu. Dlatego kopiemy te ciemne i zimne doły, by ich więzić. Żebyśmy mogli przychodzić do nich i zatrzymywać się na krawędzi, pewni, że tam są i że stanowią naszą własność. Że mamy ich w swojej władzy. Tak jak oni mają nas. Bo co roku, w listopadzie, zlatujemy się do nich jak ćmy do podziemnego światła. Do tego zimnego miejsca, gdzie zastygło źródło naszego DNA. Kto wie, może w przyszłości będziemy rozkopywać groby i wskrzeszać naszych przodków, by jeszcze raz nas poczęli? Tak jak chciał Mikołaj Fiodorow w swojej Filozofii Wspólnego Czynu. Fiodorow chciał spłacić w ten sposób dług zaciągnięty wobec minionych pokoleń, które powołały nas do życia. My natomiast zrobimy to wiedzeni pragnieniem własnej nieśmiertelności.

A może jesteśmy samotni na świecie i nic z nim nas nie łączy, poza szczątkami gromadzonymi w zimnych jamach. Jesteśmy tak opuszczeni, że pozostała nam jedynie wiara, że tylko nasi zmarli nas nie zdradzą. Tylko ich możemy być pewni. Gdy krew wycieknie, zaschnie, zmieni się w związki żelaza i ostatecznie pomiesza z piachem, kość pozostanie na wieki i więzy krwi zamienimy na więzy kości. Więzy mocniejsze i dłuższe niż życie. Ciepło stygnie i zostaje tylko chłód minerałów, chłód związków wapnia obłożonych wilgotną ziemią.

PONURE I PIĘKNE JEST TO ŚWIĘTO U PROGU LISTOPADA. Ciągniemy jak ćmy do ciemnego światła, by oddawać hołd sobie samym. Palimy ognie i zbieramy się wokół naprzeciw ciemności. Ognie, przy których trudno ogrzać nawet dłoń. Pod pustym czarnym niebem, w które lękamy się spojrzeć. Ze wzrokiem wbitym w ziemię pod naszymi stopami na krawędzi grobu.

Szczerek napisał mi ostatnio, że lampki na cmentarzach powinny dostać ochronę UNESCO jako jedyny polski wkład w estetykę krajobrazu kulturowego. Coś w tym jest. Rozpacz, heroizm i absurd. Zapalać płomyki, które zaraz wypalą się i zgasną, w porze, gdy mrok bierze świat we władanie. Tłuc się na drugi koniec kraju we mgle, w deszczu, po śliskich, zasypanych mokrymi liśćmi drogach. Trząść się na cmentarnych wygwizdowach w czarnym smogu stearyny. Ani choinki, ani wigilijnego stołu, ani śledzi, ani karpia, ani jajka, ani radosnego Alleluja, ani Zmartwychwstania, tylko wręcz odwrotnie. Pielgrzymka do podziemi. Wywoływanie duchów. Zziębnięty, milczący tłum. Opatuleni handlarze u bram cmentarzy. Nie ma gdzie postawić auta. W sprzedaży tylko jeden asortyment: znicze. Coraz większe i coraz brzydsze. Zaraz po użyciu do wyrzucenia. Ręce grabieją przy zapalaniu. Święto. Najważniejsze, jak chciał Czesław Miłosz. Cały naród schodzi do Eleusis.

Masz trochę lepiej, myślę. Chodzę wprawdzie do obcoplemiennych, ale ładnie i spokojnie leżą. W opustoszałych dolinach. Drzewa nie utraciły jeszcze wszystkich jesiennych barw. Modrzewie na złoto, resztki czerwieni na bukach, zieleni się wypasiona przez góralskie owce trawa, snują się mgły. Radocyna, Czarne, Długie, Rozstajne, Wyżny Regetów. Jest gdzie zaparkować. Do niektórych cmentarzy wręcz trudno dojechać. Na przykład do tego w Nieznajowej. Terenówka ślizga się w głębokich błotnych koleinach. Ale jest pusto, cicho i pięknie. Tak jak powinno być na prawdziwym cmentarzu.

Gdy sprowadzałem się tutaj trzydzieści lat temu, nie miałem pojęcia, że będę żył wśród zmarłych. Doliny wśród łagodnych grzbietów nosiły nazwy wysiedlonych łemkowskich wsi, po których zostały tylko przycerkiewne cmentarze. Budowane z miejscowego piaskowca ocalały. Ani ogień, ani rabunek ich nie dotknęły. Tylko deszcze i mrozy zatarły nieco rysy rzeźbionych świętych i wygładziły figury Chrystusa. Ale napisy przetrwały i można odczytywać imiona i nazwiska ryte niezgrabną, dziecięcą cyrylicą. No więc odczytuję na głos w zupełnej ciszy. Tak samo jak imiona i nazwiska cesarskich żołnierzy z I wojny, pochowanych tutaj po bitwie gorlickiej. Rosyjskie, niemieckie, węgierskie, włoskie, czeskie, polskie, bośniackie, chorwackie. Szeregowi i oficerowie trzech wielkich armii wygnani i uśmierceni daleko od domów przez kaprys historii. Zapalam lampki i dyskretnie salutuję.

DŹWIĘKI PRZEPADAJĄ W NIERUCHOMYM POWIETRZU. Czasem pada szary deszcz, czasem brzegi kałuż ścina pierwszy lód. Kraina umarłych. Można spędzić cały dzień jeżdżąc od jednego zapomnianego cmentarza do drugiego, od jednej nieistniejącej wsi do innej. W miejscach, gdzie stały cerkwie, też zapalam. Po zmierzchu światła wyglądają samotnie w bezkresnym mroku. Jakby zaraz miały zgasnąć i przepaść niczym imiona odczytywane w ciszy. Ale nic innego nie możemy przecież zrobić dla zmarłych, których nie znaliśmy. Niczego innego nie możemy im ofiarować.

Tak więc na pogrzebie babki płakałem tylko trochę. Może dlatego, że inni płakali, a może dlatego, że dzieci nie pojmują, czym jest śmierć, i ostateczną stratę odbierają tylko jako nieobecność. Babka odeszła, ale przecież pozostała. Odeszła całkiem blisko. Gdy z drzew spadały liście, przy odrobinie wysiłku można było dostrzec stary sad, w którym stał jej dom. Miedzami, tak jak wtedy po pogrzebie, szło się tam kilkanaście minut. A cmentarz, kępa wysokich drzew były widoczne, gdy tylko wyszło się z cienia jabłoni, grusz. Więc umarła, ale wciąż była. Mogłem sobie wyobrażać, że z niewielkiej odległości dogląda wszystkiego tak, jak doglądała za życia. Zimna, nieruchoma, ale wciąż w tym samym miejscu. Pewnie dlatego płakałem tak mało. ©

REKLAMA

Anna Smółka, Agnieszka Rybak

WIEŻA EIFFLA NAD PINĄ

Kresowe marzenia II R P

O Kresach bez zadęcia i historycznych pretensji, za to z czułością, poczuciem humoru i zachwytem. Królik zmienia się w fabrykę sklejki, okręty polskiej marynarki walczą z bolszewikami na Polesiu, odbiornik radiowy wyprodukowany przez trzech Żydów z Wilna podbija świat. Baśń o Polsce, w której wszystko jest możliwe. Opowieść o kraju, którego nie ma, a nam wolno wierzyć, że kiedyś istniał.

Dariusz Rosiak

CZARNE.COM.PL

PRZEGLĄD POLITYCZNY

HIST MAG

Nowa Europa Wschodnia

Premiera 7 listopada

WOJNA GALICYJSKA

Był to pierwszy konflikt zbrojny odradzającej się Rzeczypospolitej. Stał się także wydarzeniem symbolicznym dla dalszych stosunków narodów polskiego i ukraińskiego.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Czyn Listopadowy: tym określeniem, w Polsce mało znanym, Ukraińcy nazywają to, czego dokonali sto lat temu, 1 listopada 1918 r.

Był to akt powstania narodowego, który ustanowił ich własne państwo, Zachodnioukraińską Republikę Ludową (ZUNR) oraz doprowadził – jeszcze tego samego dnia – do starcia z polskim ruchem niepodległościowym, a w konsekwencji do wojny polsko-ukraińskiej.

Ostatnie dni cesarstwa

W październiku 1918 r. Wielka Wojna – później nazwana pierwszą światową – jeszcze trwała, lecz szala zwycięstwa przechyliła się już na stronę Ententy. Ściślej: jej zachodnich członków, bo Rosja uznała swoją przegraną i jeszcze na początku 1918 r. zawarła odrębny, bardzo niekorzystny dla siebie pokój.

W tamtych jesiennych dniach Niemcy zachowywały jeszcze szanse na pokój honorowy. Natomiast rozpad monarchii austro-węgierskiej był przesądzony i wszyscy o tym wiedzieli. Karol I, cesarz koronowany ledwie dwa lata wcześniej, nie miał autorytetu poprzednika, Franciszka Józefa. Nie miał też pomysłu na ocalenie monarchii. Zresztą być może niezbyt mu na tym zależało – inaczej niż na zakończeniu wojny. Chciał pokoju. Był człowiekiem głęboko wierzącym, człowiekiem modlitwy – co uznał Kościół, beatyfikując go w 2004 r. Ale nie był przywódcą na czas kryzysu, gdy nieraz trzeba szybciej działać, niż myśleć.

16 października 1918 r. Karol I wydał proklamację zapowiadającą przebudowę Austrii (ale nie całych Austro-Węgier; Królestwo Węgier miało własny ustrój) w monarchiczną federację. Akt ten był spóźniony o dobrych 20 lat. Taka reforma mogłaby się powieść pod ręką Franciszka Józefa I – władcy powszechnie poważanego (nawet jeśli z uśmieszkiem) – ale nie za rządów jego następcy i nie po przegranej wojnie. A także – nie po ogłoszeniu przez prezydenta USA Woodrowa Wilsona preliminariów pokojowych, proklamujących zasadę samostanowienia narodów, rozumianych jako zorganizowane politycznie wspólnoty etniczno-historyczne. I nie po rewolucji rosyjskiej, a w przeddzień niemieckiej, które odrzuciły monarchię jako podstawę ładu politycznego.

Ukraińcy galicyjscy (haliccy) zareagowali jako pierwsi.

Już trzy dni po cesarskiej proklamacji ich politycy powołali Ukraińską Radę Narodową (ciało, które można określić jako komitet organizacyjny nowego państwa i jego tymczasowe władze), a podczas wielkiego wiecu we Lwowie proklamowali Zachodnioukraińską Republikę Ludową (ZUNR). Deklarując jeszcze – może z ostrożności, a może z lojalności – zachowanie federacyjnego związku z cesarstwem.

Zaraz potem ukraińskie kierownictwo polityczne zaczęło przygotowywać się do faktycznego przejęcia władzy we wschodniej części Królestwa Galicji i Lodomerii – jak nazywała się oficjalnie austriacka prowincja popularnie zwana Galicją. Zaplanowano je na 3 listopada. Zachodnioukraińska Republika Ludowa miała objąć wschodnią część Galicji, w której przeważała ludność ukraińska: po linię Sanu, mniej więcej do Jarosławia.

Republika zgłosiła też pretensje do Łemkowszczyzny (pas Karpat sięgający Krynicy), a także do węgierskiego Zakarpacia i północnej Bukowiny. Ale były to tylko dyplomatyczne ozdobniki: w ówczesnych warunkach komunikacyjnych bez opanowania etnicznie polskiego Podkarpacia z Tarnowem, kontrola nad Łemkowszczyzną była niewykonalna. Zresztą ziemie te nie miały znaczenia gospodarczego i wojskowego. Nieco większe było znaczenie Zakarpacia i Bukowiny, ale i ich los miał trzeciorzędne znaczenie. Liczyła się Galicja (po ukraińsku: Hałyczyna) – obszar, który rzeczywiście mógł stać się podstawą państwa.

Społeczeństwo pełnowymiarowe

Powstające państwo ukraińskie miało całkiem solidne podstawy. Austria była – jak na standardy epoki – krajem demokratycznym i praworządnym (Węgry znacznie mniej). A choć autonomia Galicji służyła głównie Polakom, to także Ukraińcy i Żydzi mogli rozwijać własne organizacje: oświatowe, kulturalne, gospodarcze (spółdzielczość), trzeźwościowe (głównie pod patronatem Kościoła), sportowe, polityczne, a nawet paramilitarne. Wielu Ukraińców pracowało w urzędach państwowych, w adwokaturze, służyło w policji, zdobywało stopnie oficerskie w wojsku.

NAC

Na starym rynku we Lwowie: zdjęcie wykonane prawdopodobnie w ostatniej dekadzie listopada 1918 r., gdy siły ukraińskie wycofały się z miasta.

W ten sposób w Galicji Wschodniej powstało pełnowymiarowe ukraińskie społeczeństwo obywatelskie, choć z niewielkim udziałem mieszczaństwa. Jego politycznym reprezentantem były liczne partie polityczne, o orientacji narodowo-demokratycznej lub socjaldemokratycznej.

Około roku 1914 społeczeństwo to było zasadniczo zgodne co do tego, że Ukraińcy galicyjscy chcą żyć we własnym państwie – czy to autonomicznym w ramach Austrii (choć nie w ramach wspólnego z Polakami cesarskiego kraju koronnego), czy też, jeśli okaże się to możliwe, państwie niepodległym. Było też ono zgodne co do tego, że Ukraińcy „austriaccy" i „rosyjscy" stanowią jeden naród, który powinien się zjednoczyć. Wcześniejsze tendencje do tworzenia narodu „austroruskiego" – albo do uznania Ukraińców galicyjskich za część narodu wielkoruskiego – wegetowały już na marginesie życia narodowego.

Powstająca Republika miała być państwem narodowo-demokratycznym, trochę podobnym do tego, jakie postulowała polska endecja (wpływ polskich dyskusji politycznych z przełomu wieków XIX i XX na rozwój ukraińskiej świadomości politycznej był w ogóle ogromny). I takim państwem – sprawnym i rządnym – się stała, choć na niewiele ponad pół roku.

Czyn Listopadowy

Polacy działali wolniej.

Polska Komisja Likwidacyjna – organ, który miał przekształcić Galicję w część Królestwa Polskiego, odtworzonego z woli cesarzy Niemiec i Austrii w listopadzie 1916 r. – powstała dopiero 28 października 1918 r. I to nie we Lwowie (stolicy Galicji), lecz w Krakowie. Dopiero trzy tygodnie po proklamowaniu niepodległości tegoż Królestwa przez jego Radę Regencyjną (stało się to 7 października) – oraz dopiero 10 dni po proklamowaniu ZUNR.

31 października Polacy podjęli akcję powstańczą, przejmując władzę w Krakowie, Tarnowie i innych ośrodkach Galicji Zachodniej. Jednak celem Polskiej Komisji Likwidacyjnej była kontrola nad całą Galicją aż po Zbrucz – do 1914 r. rzekę graniczną między Austrią i Rosją.

Ogłoszony przez Komisję zamiar przeniesienia 1 listopada swej siedziby z Krakowa do Lwowa spowodował przyspieszenie akcji ukraińskiej. Kierownictwo ZUNR nie mogło dopuścić, aby austriacki gubernator Galicji przekazał władzę nad całą prowincją Polakom, aby we Lwowie zainstalowało się polskie centrum polityczne. ↦

↦ Nocą z 31 października na 1 listopada przedstawiciele ZUNR – wspierani przez nieliczne pododdziały austriackie złożone z Ukraińców – przejęli władzę we Lwowie z rąk austriackich. Było to – zrazu bezkrwawe – powstanie, które w historii Ukrainy zyskało nazwę Czynu Listopadowego.

Polskie organizacje polityczne i wojskowe (jedne i drugie obecne głównie we Lwowie, a niemal nieobecne na wschodniogalicyjskiej prowincji) były kompletnie zaskoczone. Jedynie we Lwowie już 1 listopada po południu Polacy wzniecili kontrpowstanie, które przeszło do historii jako Obrona Lwowa. W podkarpackim Borysławiu i Stryju grupy Polaków stawiły opór, lecz Ukraińcy stłumili go po kilku dniach. Tak zaczęła się wojna.

Bój o Galicję

W tamtych dniach na terenie wschodniej i zachodniej Galicji nie było pełnowartościowych austriackich jednostek, lecz tylko bataliony zapasowe poszczególnych pułków, a także oddziały wartownicze, kwatermistrzowskie etc. Ich wartość bojowa była znikoma: 1 listopada w Galicji Wschodniej większość Polaków z tych oddziałów dała się Ukraińcom rozbroić bez oporu, a większość Ukraińców z tych oddziałów... rozeszła się do domów.

Owszem, po paru tygodniach lub miesiącach lwia część jednych i drugich stanęła w szeregach armii swych nowych państw. Ale wtedy, na początku listopada, w momencie ich powstawania, nie myśleli oni o walce – mieli dość wojowania. Również jedyna zwarta jednostka ukraińska – brygada Strzelców Siczowych, stacjonująca w Czerniowcach (a więc poza Galicją, choć u jej bram) – nie kwapiła się do boju: zamiast już 1 listopada (taki otrzymała rozkaz od władz ukraińskich), przybyła do Lwowa koleją dopiero 3 listopada, gdy na stłumienie polskiego powstania w zachodniej części miasta było już za późno.

11 listopada zdecydowane natarcie polskiej grupy odsieczowej – sformowanej przez PKL – wyparło Ukraińców z Przemyśla. Choć mosty na Sanie dostały się w polskie ręce nieuszkodzone, a Ukraińcy praktycznie nie bronili linii kolejowej Przemyśl–Lwów, zgrupowanie to uderzyło na Lwów dopiero po dalszych 10 dniach. Osiągnęło taktyczny sukces, który w strategiczne zwycięstwo przekształciło... ukraińskie dowództwo: choć miało widoki na skuteczne przeciwnatarcie, zarządziło odwrót swych sił, oddając miasto Polakom.

W tej fazie wojny Ukraińcy mieli wyraźną przewagę, ale nie potrafili działać zdecydowanie i nieszablonowo. Nie rozumieli, jakie znaczenie polityczne i psychologiczne ma panowanie nad Lwowem. Liczyli też na korzystne dla nich decyzje konferencji pokojowej (Ententa ogłosiła, że ma wyłączne prawo decydowania o losie terytoriów państw pokonanych, a więc także Austrii).

Tymczasem Polacy – nie tylko w Galicji – tworzyli fakty dokonane, których alianci zachodni nie będą mogli potem zlekceważyć. W efekcie Ukraińcy stracili czas, a z nim – przewagę militarną.

Pod koniec listopada zaczął się czas „walk okopowych". Obie strony wykorzystały go na budowę sił zbrojnych z prawdziwego zdarzenia. Misje pokojowe Ententy spełzły na niczym – dla obu stron panowanie nad Lwowem było nienegocjowalnym warunkiem.

Warto dodać, że w oczach Francji Polska była państwem bardziej przewidywalnym, a więc lepszym gwarantem inwestycji, jakie kapitał francuski poczynił jeszcze przed 1914 r. w drohobyckim zagłębiu naftowym (Austro-Węgry były wówczas jednym z największych producentów ropy na świecie).

Gdy wiosną 1919 r. Wojsko Polskie uderzyło na wschód, ukraińskie siły zbrojne (Armia Halicka) musiały ulec przewadze liczebnej i technicznej. Wprawdzie w czerwcu – gdy dowództwo polskie odwołało z frontu najlepsze jednostki w związku z ultimatum Ententy, mającym wymusić przyjęcie przez Niemcy warunków traktatu pokojowego – Ukraińcy podjęli brawurowe przeciwnatarcie, zwane Ofensywą Czortkowską (w ten sposób zresztą ZUNR ostatecznie zrujnowała swe stosunki z Ententą: obiektywnie rzecz biorąc, ta akcja wspierała Niemcy). Ale ostatecznie ulegli i wycofali się za Zbrucz, na „rosyjskie" Podole. Pobici, lecz nie rozbici, wciąż zdolni do walki.

Połowiczne zjednoczenie

W chwili powstania ZUNR w Kijowie władał jeszcze hetman Skoropadski [patrz „TP" 44/2018 – red.], ale Haliczanie – orientujący się na Ententę – nie chcieli się z nim wiązać. Dopiero po odtworzeniu Ukraińskiej Republiki Ludowej Kijów i Lwów wynegocjowały zjednoczenie obu państw ukraińskich, uroczyście ogłoszone w Kijowie i Stanisławowie (ówczesnej siedzibie władz ZUNR) 3 stycznia 1919 r.

Nie było to zjednoczenie „organiczne": Galicja Wschodnia miała zachować szeroką autonomię jako Zachodni Okręg Ukraińskiej Republiki Ludowej (ZOUNR). Do rzeczywistego zjednoczenia nigdy nie doszło: zbyt wielkie były różnice między chaotyczną władzą i wojskowością Naddnieprzan a twardą dyscypliną i dobrą organizacją Haliczan, między socjalistycznymi rojeniami pierwszych a narodowo-demokratycznym realizmem drugich, wreszcie między celami politycznymi: odzyskaniem władzy w Kijowie i odzyskaniem galicyjskiej ojczyzny.

Latem 1919 r. siły UNR, przypierane przez bolszewików do Zbrucza, stały w obliczu zagłady. Pojawienie się na kontrolowanym przez nie terytorium wyczerpanej, ale wciąż silnej Armii Halickiej uratowało Republikę, a kierownictwo ZOUNR i jej wojsko bez wahania podporządkowały się Dyrektoriatowi (centralnej władzy UNR) – i z dnia na dzień przeszły z odwrotu do natarcia, aby już 30 lipca, dwa tygodnie po przejściu Zbrucza, odbić Kijów. Ale nawet wtedy nie doszło do scalenia struktur wojskowych i politycznych.

Gdyby w tym czasie za Zbruczem stali już bolszewicy (lub biali Rosjanie Denikina), Haliczanie broniliby się przed Polakami zapewne twardziej, a ich pokonanie kosztowałoby Polskę więcej trudu i krwi. Ale też w takim wypadku wojna galicyjska zakończyłaby się jakimś aktem formalnym, choćby kapitulacją, a nie faktem dokonanym – w postaci wyparcia wroga z terytorium, o który toczyła się wojna.

Haliczanom przyszło potem walczyć z białymi i czerwonymi Rosjanami, przejść katastrofalną epidemię tyfusu zimą 1920 r., skapitulować przed Denikinem, a potem przejść na stronę bolszewików (w sytuacji ostatecznej, gdy Rumuni rąbali lód na Dniestrze, by nie przyjąć kapitulacji wojsk ukraińskich i nie musieć ich internować), aby wreszcie wiosną 1920 r. wrócić pod ukraińskie sztandary Petlury...

Ale były to już tylko strzępy tej najlepszej armii, jaką miała Ukraina przed rokiem 1914. Jej żołnierze czuli się zdradzeni i opuszczeni: mocarstwa zachodnie nie uznały jej państwa, a w umowie z Polską w 1920 r. UNR oficjalnie zrezygnowała z Galicji Wschodniej.

Po wojnie

Pierwsza wojna odrodzonej Rzeczypospolitej – po Wielkim Powstaniu roku

1918, a przed starciem z bolszewicką Rosją – była zacięta, lecz niezbyt krwawa: po stronie polskiej zginęło ok. 10 tys., po ukraińskiej ok. 15 tys. żołnierzy.

Była też – nawet jak na ówczesne stosunki – dość rycerska, toczona w dużej mierze przez niedawnych towarzyszy broni z frontów Wielkiej Wojny. Także sporadyczne represje wobec ludności cywilnej i ekscesy, których dopuszczali się żołnierze obu stron, mieściły się w ówcześnie akceptowanych normach. Rzeczpospolita nie uznała wprawdzie ZUNR, ale w jej armii widziała pełnoprawną stronę wojującą, a z władzami Republiki zawierała liczne porozumienia w sprawach humanitarnych, zwłaszcza sytuacji rannych i jeńców.

Wojnę jednak zakończył fakt dokonany, a nie porozumienie pokojowe lub choćby formalna kapitulacja, i miało to fatalne skutki. Podobnie jak to, że decyzję o losie Galicji Wschodniej podjęli nie Polacy i Ukraińcy, lecz mocarstwa zachodnie – przyznając dopiero w lutym 1923 r. Polsce prawa suwerenne do tego terytorium. Do tego czasu było ono zatem formalnie pod polską okupacją, choć Warszawa traktowała je już jako integralną część kraju (m.in. znosząc w 1922 r. stan wyjątkowy, wprowadzony jeszcze w 1914 r.).

Emigracyjny rząd ukraiński uznał decyzję Rady Ambasadorów, rozwiązując się po jej ogłoszeniu. Jednak ukraińskie społeczeństwo obywatelskie Galicji nie chciało jej uznać. Podczas wielkiego (50 tys. uczestników) wiecu we Lwowie 18 marca 1923 r. jego przywódcy ogłosili, że tej decyzji nie uznają, i że w ich oczach Hałyczyna pozostaje terytorium okupowanym. Przekreśliło to ostatecznie perspektywy wprowadzenia formalnej autonomii regionu.

To prawda, że Polska nie chciała przyznać praw autonomicznych Galicji Wschodniej, podobnie jak żadnej innej części kraju (autonomia Śląska została narzucona z zewnątrz). Ale ukraińskie elity też nie chciały oficjalnej autonomii. Odrzucały związek z państwem polskim i podjęły budowę autonomii nieoficjalnej i antypaństwowej.

Szły nowe czasy. Dążenie do kompromisu rugowała cyniczna zasada „im gorzej, tym lepiej": im więcej ucisku, tym bliższa rewolucja (narodowa lub klasowa). Wraz z jej ekspansją rozwijały się nowe nacjonalizmy, już nie – jak przed Wielką Wojną – w zasadzie demokratyczne, lecz radykalne, faszyzujące. Nie tylko wśród galicyjskich Ukraińców, ale wśród nich z wielką intensywnością.

WOJCIECH PIĘCIAK

Pomnik poległych żołnierzy ukraińskich na cmentarzu Łyczakowskim, lipiec 2017 r.

WOJCIECH PIĘCIAK

Groby polskich uczestników walk o Lwów na cmentarzu Łyczakowskim, lipiec 2017 r.

Mity założycielskie

Obrona Lwowa i Czyn Listopadowy – to samo wydarzenie, ale widziane z dwóch różnych stron – stało się dla obu narodów częścią ich mitów narodowych, ważnym elementem edukacji patriotycznej.

Bez kultu Orląt Lwowskich nie byłoby pokolenia Kolumbów, to jasne. Jednak o tym, jak to wyglądało w polskiej narracji, napisano już wiele. A jak to wyglądało po drugiej stronie barykady (bo po 1919 r. nasze narody, przynajmniej w tym regionie, dzieliła już barykada)?

Chyba najważniejsze jest to, że przez szeregi Ukraińskiej Armii Halickiej przewinęło się prawie 100 tys. ludzi: mniej więcej jeden na 40 ukraińskich mieszkańców prowincji. Praktycznie w co piątej rodzinie był weteran tej armii. Po wojnie to oni zdominowali ukraińskie instytucje narodowe, zastępując aktywistów z poprzedniego pokolenia. I wychowując kolejne pokolenie.

A wychowywali je w duchu nieubłaganej wrogości do Polski i mocarstw zachodnich (oprócz Niemiec), które odebrały Ukrainie należne im państwo. W duchu nie tyle pamięci o bohaterskich czynach, co pragnienia odwetu za doznaną klęskę. Także w przekonaniu, że to oni, Haliczanie, są prawdziwymi Ukraińcami, jedyną nadzieją całego narodu na odrodzenie.

Taki był owoc zderzenia halickich żołnierzy i polityków z naddnieprzańską anarchią, socjalizmem i rosyjskojęzycznością kijowskich elit. To przekonanie napędzało ukraiński ruch nacjonalistyczny następnych dziesięcioleci, a jego pozostałości można spotkać także dziś.

Pokłosie

Niepodległa Polska honorowała swych poległych w walce o Galicję Wschodnią, m.in. wznosząc monumentalny Cmentarz Obrońców Lwowa. Ale uznawała też prawo wspólnoty ukraińskiej do honorowania własnych poległych. W licznych miejscowościach Ukraińcy sypali kopce, poświęcone pamięci Strzelców Siczowych i armii ZUNR – czasem ku czci poległych w danym miejscu, a częściej symboliczne. Na nagrobkach poległych i zmarłych później żołnierzy powszechnie umieszczano tryzuby, herb państwa ukraińskiego.

Większość tych kopców przetrwała panowanie sowieckie, choć pozbawiona krzyży i tablic pamiątkowych; te przywrócono w niepodległej Ukrainie. Dziś na niektórych z nich pojawiają się nowe tablice, poświęcone UPA (są też nowe kopce, poświęcone wyłącznie tej formacji).

W okresie międzywojennym na lwowskim cmentarzu Janowskim, w wyodrębnionej kwaterze, pochowano 648 żołnierzy ukraińskich, poległych głównie w walkach o Lwów. W latach 30. nad ich grobami postawiono jednolite okazałe krzyże. W 1971 r. władze sowieckie zniszczyły je buldożerami (w tym samym czasie, co polski Cmentarz Obrońców Lwowa), a teren przeznaczyły pod nowe pochówki. Te okazały się na tyle płytkie, że nie naruszyły żołnierskich. W połowie lat 90. nowe pochówki przeniesiono na inne miejsce, odtwarzając przedwojenny wygląd kwatery.

Tak więc polscy i ukraińscy obrońcy Lwowa – bo w tamtym starciu obie strony były tak powstańcami, jak i obrońcami – mają dziś godne miejsce spoczynku w mieście, które kochali: na różnych cmentarzach, nie wchodząc sobie w drogę. Jedni i drudzy zasługujący na wdzięczną pamięć potomnych.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Autor jest emerytowanym ekspertem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia. Autor książek na temat dziejów Ukrainy.

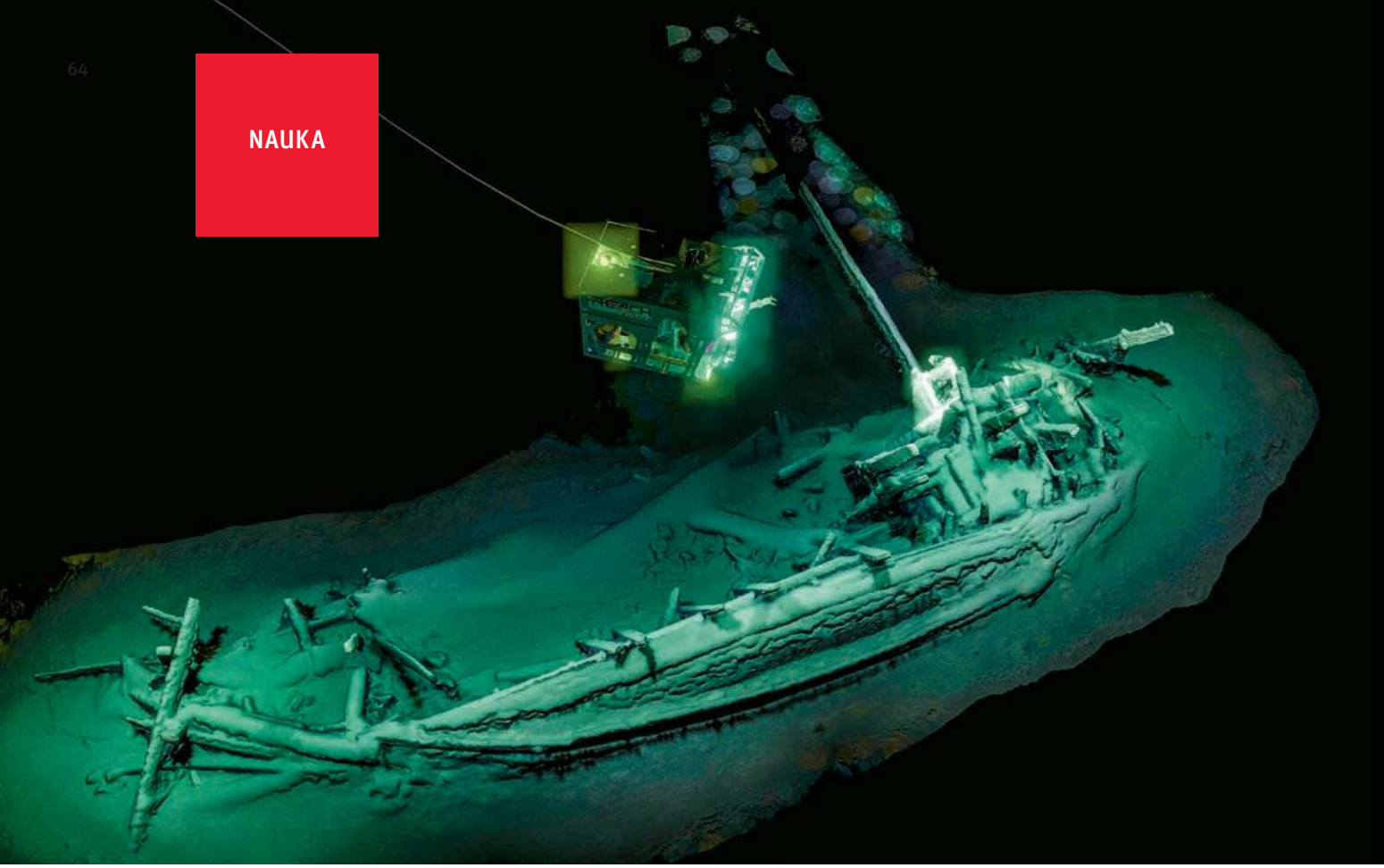

Fotografia galery zaprezentowana 23 października w Londynie przez członków ekspedycji

Muzeum na dnie

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Jedno z największych odkryć w historii archeologii leży dwa kilometry pod powierzchnią Morza Czarnego. To statek z czasów bliskich „Iliadzie" i „Odysei", niemal nietknięty mimo upływu 2,5 tys. lat.

Homer nie zawracał sobie głowy detalami. Próżno szukać w Odysei parametrów statku Odyseusza, techniki, jaką zbudowano jego kadłub, opisu takielunku, sposobu rozłożenia ładunku czy rodzaju zastosowanego steru i kotwicy. Z perspektywy archeologów – skandaliczne zaniedbanie. Historia statków to przecież historia samej Grecji. Nie byłoby jej kulturalnego dziedzictwa, gdyby najpierw kupcy i poszukiwacze przygód nie rozpropagowali języka greckiego podczas swoich wypraw wzdłuż wybrzeży znanego im świata.

Bardziej pomocna dla badaczy jest antyczna ikonografia. Odyseusz przywiązany do masztu, uwieczniony na słynnej amforze znajdującej się dziś w zbiorach British Museum, stoi na pokładzie smukłego okrętu o dumnym maszcie, sześciu wiosłach i czterech wioślarzach. To właśnie takie statki, szybkie, zwrotne i zdolne do dalekich podróży, które dla starożytnych były jak lot na Księżyc, zbudowały greckie imperium handlowe. Bez nich nie byłoby wielkiej Grecji. Nic dziwnego, że statki, jak Argo, na równi z herosami uwieczniono w mitach.

Nietknięta galera

Ale bezpośrednich pozostałości po starożytnym żeglarstwie nie zachowało się wiele. Morze nie ma litości dla reliktów przeszłości. Drewno, przez tysiąclecia stanowiące podstawowy szkutniczy budulec, w ciepłych wodach, takich jak te z regionu Morza Śródziemnego, błyskawicznie ulega rozkładowi. Tylko zimne, zamulone wody północnych mórz dają drewnianym zabytkom szanse na przetrwanie. Jedyne znane nam dobrze zachowane okręty ze starożytności pochodzą więc nie z dna morza, tylko z egipskich grobowców. Ale to najczęściej barki służące do podróży po Nilu. Niewiele mówią o tym, jak wyglądały pełnomorskie frachtowce z czasów Homera.

Pod koniec października międzynarodowy zespół pokazał jednak coś zdumiewającego. Kompletny statek handlowy sprzed 2 500 lat, leżący na dnie 80 km od wybrzeży bułgarskiego Burgas. To znalezisko do niedawna niewyobrażalne, artefakt tak niezwykły, że można go porównać chyba jedynie z odkryciem grobowca Tutenchamona. Okno w przeszłość, której dotąd nie mogliśmy dotknąć.

Galera, o długości około 23 m, jest niemal nietknięta, oczywiście na tyle, na ile może nietkniętym pozostać statek, który najprawdopodobniej zatonął wskutek sztormu. Leży przechylona na prawo w mule. Wyraźnie widać jej burty, nadbudówkę, ławki wioślarzy, a nawet maszt, który dumnie, choć z przechyłem, unosi się nad dnem. Jakby zatonęła wczoraj. Wiek potwierdzono, poddając pobraną z wraku niewielką próbkę drewna datowaniu izotopowemu.

Szpiedzy i nafciarze

Takie znaleziska nie byłyby możliwe, gdyby nie szpiedzy, nafciarze i Dolina Krzemowa. To oni dali impuls do rozwoju technologii, które pozwoliły odkryć tajemnice głębin. Statki wiertnicze, batyskafy, zdalnie sterowane pojazdy eksplorujące dno oceanu powstały nie dla nauki, ale w celu poszukiwania złóż, serwisowania (i podsłuchiwania) transoceanicznych kabli przekazujących dane i wywiadu technologicznego. Nawet najsłynniejszy wyczyn podmorskiej archeologii był w rzeczywistości przykrywką dla działań wojskowych. Robert Ballard, który odkrył w 1985 r. Titanica, robił to niejako przy okazji. Prawdziwym, tajnym celem jego misji były poszukiwania wraków dwóch okrętów podwodnych – USS Scorpion i USS Thresher, które zaginęły na północnym Atlantyku. Szczęśliwie dla Ballarda Titanic znajdował się pomiędzy ich pozostałościami. Także statek, dzięki któremu dokonano tego odkrycia, Stril Explorer, w przerwach między poszukiwaniami archeologicznych skarbów sprawdza dno szukając dobrych miejsc na wbicie wierteł albo postawienie wiatraków.

Stril jest wyposażony w bardzo precyzyjne czujniki magnetyczne i sonary, tworzące mapę dna morskiego. Gdy załoga wypatrzy na nim coś interesującego, opuszcza do wody dwa zdalnie sterowane pojazdy wielkości minivana: jeden odpowiedzialny za wysokiej rozdzielczości zdjęcia i drugi, zwiadowcę, który szybko tworzy trójwymiarowe mapy i modele otoczenia.

W ciągu trzech lat badacze przeczesali w ten sposób 2 tys. km². Znaleźli już ponad 60 wraków, obejmujących ponad 2 tys. lat historii żeglarstwa. Bizantyjskie galery, weneckie okręty handlowe, kozackie czajki, rzymskie triery i XIX-wieczne slupy. Statki, na których jak w domu czuliby się Marco Polo, Krzysztof Kolumb czy Turgut Reis. Wszystkie zachowane jak muzealne eksponaty. Na niektórych ostały się nawet leżące na pokładzie liny. Belki, z których są zbudowane, noszą wciąż ślady ciesielskich narzędzi. Wszystkie w ciszy i ciemnościach czekały na odkrycie od stuleci.

Ich przetrwanie zawdzięczamy specyficznym warunkom panującym w niemal odciętym od światowego oceanu morzu: na głębokości większej niż 150 m woda Morza Czarnego jest prawie pozbawiona tlenu. Ponad 90 proc. jego objętości to martwa strefa, w której nie zachodzą chemiczne i biologiczne procesy rozkładu. Gdy w innych morzach drewniane pamiątki starożytności zostały już dawno przetrawione przez mikroorganizmy, wraki z Morza Czarnego pozostały niemal niezmienione.

Co ciekawe, to nie statki były pierwszymi celami badań grupy. Archeolodzy szukali o wiele starszych pamiątek. Ludzkich osad pamiętających jeszcze czasy ostatniej epoki lodowcowej. Jedna z hipotez mówi, że 12 tys. lat temu Morze Czarne było jeziorem. Gdy wraz z topnieniem cofających się lodowców podniósł się poziom oceanów, Bosfor zamienił się w gigantyczny wodospad. Choć naukowcy spierają się o szczegóły tej hipotezy, w tym o tempo, w jakim morze zalewało okoliczne obszary, pewne jest, że dzisiejszy poziom Morza Czarnego jest o 30 do 80 m wyższy niż 10 tys. lat temu. Rozlewające się morze przykrywało nadbrzeżne wioski, które dziś odnajdywane są głęboko pod powierzchnią. Nietknięte jak statki.

Skarby nie do wydobycia

Nie należy jednak raczej się spodziewać, że którykolwiek z leżących na dnie Morza Czarnego starożytnych wraków ujrzy światło dzienne. Wyciągnięcie ich na powierzchnię byłoby ekstremalnie drogie i ryzykowne, wymagałoby demontażu na dnie bezcennych zabytków i zabezpieczenia ich przed procesami rozkładu, które ruszyłyby z kopyta w chwili, w której drewno dotarłoby do bardziej natlenionej wody. Dość powiedzieć, że zabezpieczanie przed rozkładem galeonu Vasa wymagało 17 lat spryskiwania go politlenkiem etylenu. A proces jego konserwacji nie skończy się nigdy. Koszt przeprowadzenia podobnej operacji jest trudny do oszacowania, ale prawdopodobnie przekroczyłby pułap 100 milionów euro. Bez gwarancji na sukces.

Dno Morza Czarnego może okazać się najbogatszym muzeum starożytnej historii na świecie. W przeciwieństwie do egipskich grobowców muzeum nietkniętym przez rabusiów. Żaden nie dotarł do stanowisk leżących setki czy tysiące metrów pod powierzchnią. Ale i niedostępnym dla zwiedzających. Muzeum cichym, pogrążonym w ciemności – i niemal wiecznym. ©

Największe znaleziska podmorskiej archeologii

PETER ISOTALO / WIKIPEDIA.ORG

VASA – największy galeon szwedzkiej floty królewskiej, który zatonął 10 sierpnia 1628 r. na oczach tysięcy mieszkańców Sztokholmu w kilkadziesiąt minut po wyjściu w swoją dziewiczą podróż. Wrak, odkryty ponownie w 1956 r., został wielkim wysiłkiem wydobyty i odbudowany. Dziś jest jedną z największych turystycznych atrakcji Szwecji.

ANTHONY ROLL, OK. 1546

MARY ROSE – karaka króla Henryka VIII, zatopiona w bitwie z Francuzami. Zlokalizowana w latach 70., została wydobyta na powierzchnię w 1982 r. i wystawiona na widok publiczny.

WIKIPEDIA

HMS ENDEAVOUR – statek, którego kapitan James Cook jako pierwszy Europejczyk zaznaczył na mapie Australię, został w tym roku odnaleziony 17 tys. km dalej. Wrak statku znajduje się u wybrzeży amerykańskiej Rhode Island, gdzie został celowo zatopiony przez Brytyjczyków, by zablokować szlak żeglugowy podczas amerykańskiej wojny o niepodległość.

AFP

40 LAT TEMU KARDYNAŁ KAROL WOJTYŁA ZOSTAŁ WYBRANY PAPIEŻEM

Dał nam siłę

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

HISTORIA

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl
Kraków 16 października 2018 nr 1 cena 12,90 zł (w tym 8% VAT)

JUŻ W SPRZEDAŻY!
Premiera nowego tytułu „Tygodnik Powszechny Historia"
„Dał nam siłę"
– na 40. rocznicę wyboru Karola Wojtyły na papieża

- Po 33 dniach pontyfikatu umiera Jan Paweł I. Kardynałowie, ponownie zebrani na konklawe, wybierają na papieża metropolitę krakowskiego Karola Wojtyłę. Jak do tego doszło i jak zareagował świat?
- Akt pokuty za grzechy Kościoła, nowe otwarcie w dialogu z innymi religiami, wyczulenie na biedę, pielgrzymki, próba budowy nowego feminizmu: 27 lat tego pontyfikatu nieodwracalnie zmienia Kościół
- Już za życia mówiono o nim „Jan Paweł Wielki". Co ze spuścizny papieża przetrwało do dziś?

Wśród autorów:
ks. Adam Boniecki, abp Grzegorz Ryś, Marek Zając, Katarzyna Wiśniewska, Anna Turowiczowa, Agnieszka Sabor, Józefa Hennelowa, Józef Majewski, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk

„Tygodnik Powszechny Historia"
– w dobrych punktach z prasą i salonach prasowych

FAJNY FESTIWALIK

XXVII FESTIWAL ARS CAMERALIS

TYGODNIK POWSZECHNY

Nr 45/2018

DODATEK SPECJALNY

Redakcja:
Michał Sowiński

ARS CAMERALIS SILESIAE SUPERIORIS

CHODŹ, ZOBACZ!

Cień słońca

KAMERALNY FESTIWAL
SZTUK ROZMAITYCH
8 XI – 23 XI 2018

WWW.ARSCAMERALISFESTIWAL.PL

Sto lat w cieniu słońca

ROZMOWA Z DYREKTOREM FESTIWALU MARKIEM ZIELIŃSKIM I BARTŁOMIEJEM MAJZLEM:

Musimy radykalnie przedefiniować pojęcia kształtujące naszą rzeczywistość, bo te dotychczasowe nie wystarczają. Kontrkultura, której będzie w tym roku na Festiwalu mnóstwo, jest tego najlepszym przykładem.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Patronem 27. edycji Festiwalu Ars Cameralis uczyniliście Guillaume'a Apollinaire'a. Bardzo ciekawy, ale nieoczywisty wybór.

MAREK ZIELIŃSKI: To jest postać równie ważna jak Joseph Conrad, może nawet ważniejsza. Obchodzimy w tym roku setną rocznicę jego śmierci. Ale to oczywiście tylko pretekst, bo postać Apollinaire'a w myśleniu o sztuce towarzyszy nam od bardzo dawna. Pokrywa się też z rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości, a jednak posiada zgoła inny wydźwięk.

W jakim sensie?

MZ: Chodzi o niewyobrażalny koszmar I wojny światowej, której ofiarą był poniekąd także Apollinaire. U nas myślenie o roku 1918 jest niezwykle euforyczne. Odzyskaliśmy przecież po wielu latach niepodległość. Tego nie ma w innych częściach Europy. Tam wspomina się przelaną krew, miliony ofiar, dramat całej ludzkości. Nam często brakuje globalnej refleksji nad katastrofalnymi konsekwencjami I wojny, zapominamy o losie zwykłych ludzi.

Apollinaire przywraca tę perspektywę?

MZ: Dzięki niemu odzyskujemy centralne pytanie o człowieka. Dlatego to jeden z najważniejszych twórców kultury europejskiej. Dobrze przeczuwał, co przyniesie nadchodząca epoka. W jego twórczości można znaleźć zalążki całej sztuki XX wieku, a także usłyszeć echa historii politycznej i społecznej. Z tego samego powodu jest aktualny także dziś. To idealny poeta na trudne czasy.

Znów jesteśmy w 1918 roku?

MZ: W pewnym sensie tak – musimy na nowo wymyślić swoją epokę, stworzyć jej język, sferę symboli. Stąd też zapożyczony z wiersza „Fotografia" Apollinaire'a motyw „cienia słońca" w tegorocznym festiwalowym haśle.

BARTŁOMIEJ MAJZEL: Wszystko wskazuje na to, że ów cień znów na nas padł. Tylko co to za słońce? I jaki to cień? Żyjemy w czasie, gdy znany nam świat kruszy się na naszych oczach. Odchodzi w dal. To, co wydawało się niedawno oczywiste, już takie nie jest. Możemy spojrzeć na tę rozpadającą się rzeczywistość z nostalgią, ale możemy też znaleźć siły, by zareagować, tworzyć nowe wizje. W czasach przełomów ze sfery kultury wychodziły zazwyczaj najsilniejsze impulsy, a Apollinaire jest poetą przełomu, do tego obdarzonym niesamowitą samoświadomością. W pewnym sensie to pisarz bardzo punkowy, rebeliancki, ale też prowadzący nieustanny dialog przeszłości z przyszłością.

Dlatego jest tak ważny dla Waszego festiwalu?

MZ: Oczywiście – to poeta rozbijający słowa i nadający im nowe znaczenia. Trudno w historii literatury znaleźć artystę, który toczyłby podobną walkę z językiem. W tym sensie jest poetą bardzo aktualnym. To paradoks, że w Polsce coraz mniej o nim pamiętamy. Zresztą przez wiele lat pozostawał na marginesie naszej kultury. Nie wiedziano, co z nim zrobić – w przeciwieństwie do Conrada, który idealnie wpasował się w rozliczne narracje polityczne i społeczne. Apollinaire był chyba zbyt prowokacyjny, do tego to totalny kosmopolita. Jedna z anegdot opowiada o jego relacjach z młodymi poetami z Polski, którzy przybywali do Paryża w poszukiwaniu sławy. A po pomoc szli do Apollinaire'a, który na wstępie prosił o przedstawienie się, po czym od razu dodawał: „musi pan zacząć od zmiany nazwiska".

Na czym polegała siła jego rebelii?

BM: Długo by wymieniać... Wyzwolił literaturę spod jarzma rygoru formy. Podobnie jak pozostali awangardowi twórcy tamtych lat dowodził, że sztuka powinna być jak najbliżej życia i człowieka. Związanie konwencją zagraża jej nieznośnym formalizmem. Wysadził z siodła klasyczną formułę podmiotu lirycznego. Był jednym z pierwszych poetów nieskupiających się na tym, co czuje – oddał głos innym. Ale ważniejsza od jego rebelii wydaje mi się jego tajemnica. Weźmy niezwykły wiersz „Prześliczna rudowłosa", w którym chwali się rozstrzygnięciem sporu „między tradycją i wynalazczością". Odwieczne marzenie! Połączyć to, co było, z tym, co nadchodzi. Jednak żadna odpowiedź w tym wierszu nie pada. Tajemnica nie zostaje ujawniona. Zostaje zakryta własnym ciałem przez autora. Trochę jak nasz tegoroczny „cień słońca". Pytanie o niego jest pytaniem o wciąż umykającą tajemnicę współczesnego świata.

Tajemnicą jest słońce, które rzuca cień?

BM: Tajemnica zawsze onieśmiela, a „cień słońca" staje się przedziwną ekwilibrystyką. Wyzwaniem. To już nie tylko walka jasnego z ciemnym. Nie tylko umykająca chwila. Migotliwy światłocień. „Fotografio, jesteś jak cień słońca" – pisze Apollinaire. Całkiem jakby zastygający kadr nagle wyblakł. Twarz nie jest już skąpana w świetle, raczej zostaje zasnuta cieniem. Może właśnie tutaj kryje się zalążek owej poszukiwanej tajemnicy. Stopniowe wymazywanie tego, co minęło. Dramat. Apollinaire obiecuje łagodne przejście od starego do nowego. Na obietnicy się kończy. Poeta ukształtowany przez XIX wiek zostaje zniszczony przez I wojnę i krwawe otwarcie wieku XX. Na początku gna go na wojnę dzika siła, mamy wrażenie, że jest nią zafascynowany. Gdy wraca z przestrzeloną czaszką, jest już zupełnie innym

MACIEK OLINKIEWICZ

Dezerter

MATERIAŁY PRASOWE / ARS CAMERALIS

Siksa

człowiekiem. Łagodne przejście okazuje się niemożliwe. Historia na to nie pozwala.

Ciekawi mnie to, że uczyniliście Apollinaire'a patronem punku.

BM: Jak wspomniałem, Apollinaire był niezwykle rebeliancki. A my podczas tegorocznego festiwalu bierzemy pod lupę m.in. punk, jedno z najbardziej wywrotowych zjawisk w dziejach kultury. Spoglądamy też na historię jako na ciąg następujących po sobie wybuchów. Kulturowych ekscesów i zrywów, które choć zawsze kończą się porażką, pozostawiają po sobie trwały ślad. Nie było w dziejach artysty, który lepiej by to rozumiał niż Apollinaire.

To nie pierwszy raz, gdy Ars Cameralis wyciąga fascynujące, ale nieco przykurzone postaci i idee.

MZ: Wystawa na zamku w Pszczynie, która w tym roku otwiera festiwal, dobrze pokazuje artystyczne granice, w których działamy. Wpuściliśmy tam trzech zupełnie różnych artystów, którzy postanowili przetworzyć mit tego miejsca, stworzyć nową opowieść o nim. Przeszłość kryje w sobie nieskończony potencjał – to doskonały tego przykład. Mierząc się z tym, co było, stawiamy pytanie o ciągłość kultury. A mówiąc z antropologicznej perspektywy, mam wrażenie, że jako ludzie jesteśmy wciąż w tym samym miejscu. Nowoczesne technologie z pewnością wzbogacają nasze doświadczenie, ale problemy, z którymi się zmagamy, pozostają od wieków te same.

Jak zawsze podczas Festiwalu Ars Cameralis pojawia się mnogość języków – dosłownie i w przenośni.

BM: Nie da się mówić o świecie inaczej niż wieloma językami naraz. Dlatego zaprosiliśmy całą galerię postaci z najróżniejszych miejsc. Choćby Najwana Darwisha z Palestyny, genialnego poetę, który tworzy w kraju otoczonym murem, czyli jakby w więzieniu. Jego poezja idealnie odzwierciedla kondycję współczesnego świata. Będziemy gościć Ryszarda Krynickiego – w towarzystwie ekstrawaganckiej muzyki! – który w przeszłości też zderzył się z murem totalitaryzmu. Zaglądniemy za mury domów profesorów Tadeusza Sławka i Ryszarda Koziołka (Uszy Duszy. Dom Profesora). Jeszcze inna bajka to John Darnielle, doskonały amerykański pisarz i wokalista The Mountain Goats, który po raz pierwszy przekroczy mur języka i zaistnieje w polszczyźnie jako pisarz. Nie wiem doprawdy, jak to się stało, że jego książki nie zostały jeszcze wydane w Polsce.

Wspomniałeś o The Mountain Goats...

BM: Ano właśnie! Zanim ich wokalista wystąpi w charakterze pisarza, dzień wcześniej legendarni w pewnych kręgach The Mountain Goats zagrają koncert. Ale gdzie przyłożyć ucho, tam popłyną piękne dźwięki. Alexander Hacke, muzyk Einstürzende Neubauten, wystąpi wspólnie z Davidem Eugene'em Edwardsem z Wovenhand. Panowie stworzyli jednorazowy, fascynujący, eksperymentalny duet, który zaprezentuje nam przeszywające industrialne hymny nasączone starotestamentowym duchem, folkiem i mrokiem. I piękne to, i niepokojące. Ale moim zdecydowanym muzycznym „czarnym koniem" festiwalu jest Daniel Blumberg. Autor według mnie najwybitniejszej tegorocznej płyty, „Minus". Myślę, że możemy się spodziewać po tym koncercie czegoś zjawiskowego.

„Cień słońca" nabiera szczególnego znaczenia w kontekście fotografii.

MZ: Polecam szczególnej uwadze wystawę „Punk London 1977" Dereka ↦

↦ Ridgersa w katowickiej Galerii ASP Rondo Sztuki. To dziś jeden z najbardziej cenionych fotografów w Wielkiej Brytanii. W latach 70. pracował w komercyjnej agencji. Jednak pewnego dnia spotkał na ulicy dziwnie wyglądających ludzi i postanowił zrobić im zdjęcia. Tak rozpoczęła się jego przygoda z punkiem, którego przemiany uwieczniał na swoich kliszach. Wystawa będzie składać się przede wszystkim ze zdjęć z dwóch klubów – The Roxy i Vortex – gdzie narodził się brytyjski punk.

Mocny ten punkowy wątek w tym roku.

BM: Oj tak! Przyjedzie także Gillian McCain, wraz z Legsem McNeilem współautorka głośnej książki „Please Kill Me". Co więcej, przybędzie razem ze swoim przyjacielem Dannym Fieldsem, legendą alternatywnej sceny muzycznej w USA. Dziś ma 80 lat, ale kiedyś był menadżerem Jima Morrisona oraz grupy The Ramones, współpracował z Patti Smith, Iggym Popem i wieloma innymi gigantami. To też jeden z głównych bohaterów książki McCain. Będziemy również dyskutować o kontrkulturze po „naszej" stronie żelaznej kurtyny – zaprosiliśmy Konstantego Usenkę, Rafała Księżyka i Jana Błaszczaka. Zderzymy ze sobą dwa doświadczenia punka, spojrzymy na niego z dwóch perspektyw. Jeszcze inną konfrontacją będą dwa koncerty – z jednej strony Dezerter, czyli legenda, z drugiej Siksa, czyli kolejne wcielenie tej punkowej energii sprzeciwu.

Punk's not dead?

MZ: Zobaczymy, ale wydaje mi się, że punk nigdy nie umarł, przyjmuje tylko coraz to nowe formy.

BM: Czy wiesz, że koncert Siksy odbędzie się w undergroundowej sali teatralnej umieszczonej w galerii handlowej? Wyobrażasz to sobie? Punkowcy wchodzą do świątyni komercji i konsumpcji. Piękna prowokacja! Próba rozsadzenia systemu od środka.

Z punkiem jest pewien problem – jak zresztą z całą kontrkulturową awangardą. Zbudowany na buncie i odrzucaniu tradycji, z czasem staje się klasyką.

MZ: To dobrze pokazuje problem, przed którym stajemy – nie tylko w Polsce, ale na całym świecie. Wszyscy musimy radykalnie przedefiniować pojęcia kształtujące naszą kulturę, bo te dotychczasowe nie wystarczają. „Kontrkultura", hasło napędzające nasze działania przez dekady, jest tego najlepszym przykładem.

BARTŁOMIEJ MAJZEL:

> Apollinaire to pisarz bardzo punkowy, rebeliancki, ale też prowadzący nieustanny dialog przeszłości z przyszłością.

Na Śląsku obecność kontrkultury jest szczególnie wyczuwalna.

MZ: To część historii tego regionu, który od zawsze był postrzegany jako politycznie niebezpieczny. Duże zagęszczenie ludności, silne ruchy robotnicze – wiele osób szukało ujścia dla swojej frustracji czy niezgody. To był ważny wentyl bezpieczeństwa. Śląsk od zawsze był gęstym archipelagiem różnorodnych miejsc, kultur i estetyk. Każdy mógł tu znaleźć swoje miejsce – i tak jest do dziś.

Co roku koncentrujecie się także na innym fragmencie światowej kultury – tym razem padło na Bałkany. Dlaczego?

BM: Bo to ciągle mikrokosmos, który jak w soczewce skupia problemy współczesnego świata. Kultura krajów bałkańskich to także cenna lekcja tego, jak przepracowywać wojenne traumy, jak radzić sobie z trudną pamięcią.

MZ: Wojny, przesiedlenia i inne najczarniejsze karty europejskich historii to w tym regionie wcale nie bardzo odległa przeszłość. Problemy, z którymi dziś się zmagamy – choćby kryzys migracyjny – są tam obecne od dekad.

BM: No tak, na początku lat 90. wszyscy uwierzyli, że oto nastał nowy, lepszy świat. Totalitaryzmy padły. Aż nadeszła wojna na Bałkanach. I okazało się, że nic się nie zmienia. Złe namiętności wciąż bardzo mocno siedzą w człowieku.

MZ: Wracamy do początku rozmowy – chodzi o to, że świętowanie rocznicy 1918 roku nie może odbywać się bezrefleksyjnie. Perspektywa bałkańska przypomina, że zawsze kluczowe jest pytanie o los pojedynczego człowieka.

W programie pojawia się też cały blok wydarzeń, które dosłownie skupiają się na grze światła i cienia.

MZ: To prawda, chodzi o cykl „Więcej światła", bo skoro otwieramy się na cień słońca, to chcemy także zapatrzyć się w światło. W jego czystość. Zaprosiliśmy wielu wybitnych artystów wizualnych i performerów – Sebastiana Freytaga, Rossa Downesa. Będzie Mischa Kuball, Marcel Sławiński i inni.

BM: Od cienia słońca tylko krok w stronę światła... Bo widzisz, nasz festiwal jest niczym zaszyfrowana opowieść. Gdy ktoś w pośpiechu zaglądnie w program, może pomyśleć, że to wszystko poukładane jest nieco chaotycznie. Ale to nieprawda. Festiwalowy program jest owocem wielu miesięcy pracy i wiem doskonale, że każdy jego element jest uzasadniony. Jeśli ktoś przyjmie nasze zaproszenie, raptem odkryje, że te wszystkie festiwalowe wątki są ze sobą połączone. Wynikają jeden z drugiego. Że ta opowieść ma swoją dramaturgię, a narracja posiada sens. Ale jak co roku, na festiwalowym szlaku chodzi nade wszystko o intymne spotkanie, przyjemność rozmowy i otwartość na to, aby dać się uwieść tej apollinaire'owskiej widmowej tajemnicy, którą chcemy odnaleźć. A może ona została już odnaleziona i jest ukryta gdzieś tam, gdzie pada cień słońca?

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

MAREK ZIELIŃSKI (ur. 1960) jest dyrektorem Instytucji Kultury Ars Cameralis, autorem koncepcji „Katowice – Miasto Ogrodów", dzięki której Katowice znalazły się w ścisłym finale starań o Europejską Stolicę Kultury 2016. Kreator wielu projektów i programów kulturalnych województwa śląskiego za granicą, m.in. w Nadrenii Północnej-Westfalii, Bratysławie, Moskwie oraz na Expo w Hanowerze i Saragossie.

BARTŁOMIEJ MAJZEL (ur. 1974) jest poetą, podróżnikiem, dziennikarzem radiowym, reportażystą. Opublikował książki „Robaczywość" (1997), „Bieg zjazdowy" (2001), „Biała Afryka" (2005), „Doba hotelowa" (2009), „Terror" (2015). Nominowany do Paszportu „Polityki" (2002). Najmłodszy laureat Nagrody Literackiej IV Kolumn. Współtwórca grupy poetyckiej NaDziko.

XXVII FESTIWAL ARS CAMERALIS

W SKRÓCIE: WYSTAWY – KONCERTY – FILMY – LITERATURA

26 października (piątek) g. 18.00
Wystawa zbiorowa – Mikrogramy. Interwencje przestrzenne: ALEX GREIN (DE), FABIEN MARQUES (FR), DOMINIK RITSZEL (PL)

8 listopada (czwartek) g. 18.00
PROJEKT WIĘCEJ ŚWIATŁA!
Performance – Sygnał. Odsłona I: SEBASTIAN FREYTAG (DE) / ROSS DOWNES (UK)

9 listopada (piątek) g. 18.00
Instalacja – Sygnał. Odsłona II: SEBASTIAN FREYTAG (DE) / ROSS DOWNES (UK)

9 listopada (piątek) g. 20.00
Koncert – DAVID EUGENE EDWARDS & ALEXANDER HACKE (US / DE)

10 listopada (sobota) g. 19.00
ZDERZENIA LITERACKIE
Prezentacje literackie – Bałkańskie mosty: MILENA BOGAVAC (RS), GORAN FERČEC (HR), TANJA ŠLJIVAR (BA) / Koncert: DANIEL KOVAČ AND HIS AUTUMN ORCHESTRA (RS)

13 listopada (wtorek) g. 19.00
ZDERZENIA LITERACKIE
Spotkanie – Uszy Duszy 3. Dom Profesora: TADEUSZ SŁAWEK, RYSZARD KOZIOŁEK / Koncert: RYSZARD KRYNICKI & RDZEŃ 2

14 listopada (środa) g. 18.00
Wystawa zbiorowa – Cień wolności: MIROSŁAW BAŁKA, JÓZEF ROBAKOWSKI, KRYSTYNA PASTERCZYK, TADEUSZ KANTOR, JERZY TRUSZKOWSKI, PRZEMYSŁAW KWIEK, KAMIL KUSKOWSKI, KAROLINA GRZYWNOWICZ, MICHAŁ SMANDEK, ZBIGNIEW LIBERA, PAWEŁ ALTHAMER, GRZEGORZ KLAMAN, WOJCIECH PRAŻMOWSKI, MIKOŁAJ SZPACZYŃSKI, MARTYNA KIELESIŃSKA, RADEK SZLĘZAK, PIOTR ZARĘBSKI

15 listopada (czwartek) g. 19.00
Koncert – THE MOUNTAIN GOATS (US)

15 listopada (czwartek) g. 19.00
Spektakl – Stany skupienia: studenci Akademii Sztuk Teatralnych im. St. Wyspiańskiego w Krakowie, Wydział Teatru Tańca w Bytomiu

16 listopada (piątek) g. 13.00
Konferencja – Fenomen światła i jego obecność w sztuce i przestrzeni publicznej: MICHAŁ JĘDRZEJOWSKI, MISCHA KUBALL, MARCEL SŁAWIŃSKI, KATARZYNA SOBAŃSKA, BARBARA STEC

16 listopada (piątek) g. 19.00
PROJEKT WIĘCEJ ŚWIATŁA!
Spotkanie – NAJWAN DARWISH (PS), JOHN DARNIELLE (US) / Koncert: BRZOSKA/MARCINIAK/ MARKIEWICZ

17 listopada (sobota) g. 19.00
ZDERZENIA LITERACKIE
Zbieg Poetycki NaDziko – NAJWAN DARWISH (PS), MARTA PODGÓRNIK, TOMASZ BĄK, RAFAŁ RUTKOWSKI i inni / Koncert – ZGNIŁOŚĆ

18 listopada (niedziela) g. 19.00
Koncert – DANIEL BLUMBERG (UK)

20 listopada (wtorek) g. 19.00
ZDERZENIA LITERACKIE
Spotkanie – Guillaume Apollinaire: Słońce – szyjo ścięta: JAN GONDOWICZ, SZYMON KLOSKA, TADEUSZ SŁAWEK, ANNA WASILEWSKA

21 listopada (środa) g. 18.00
Wystawa – Punk London 1977: DEREK RIDGERS (UK)

21 listopada (środa) g. 19.00
Pokaz filmu – Danny Says, reż. Brendan Toller, USA 2015 / Q&A: DANNY FIELDS

21 listopada (środa) g. 23.00 – 7.00
PROJEKT WIĘCEJ ŚWIATŁA!
Koncert – A A R P S, AHELOY!, CEGLAREK, EVA GEIST, JAN DYBAŁA JR., PRUSKI

22 listopada (czwartek) g. 19.00
ZDERZENIA LITERACKIE
Dyskusja – Punk za żelazną kurtyną: JAN BŁASZCZAK, KRZYSZTOF GRABOWSKI, RAFAŁ KSIĘŻYK, KONSTANTY USENKO / Koncert: DEZERTER

23 listopada (piątek) g. 19.00
Spotkanie – Please kill me: GILLIAN MCCAIN / DANNY FIELDS (CA / US) / Koncert: SIKSA

TU WSZYSTKO JASNO OPISANE

www.arscameralisfestiwal.pl

ORGANIZATORZY:
Ars Cameralis Silesiae Superioris
ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO
Śląskie.

PARTNERZY:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY
Consulate of the United States of America
FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT
4net www.art-4.net
HOTEL MONOPOL KATOWICE

PARTNER WYDANIA:
TYGODNIK POWSZECHNY

BILETERIA:
dwójka POLSKIE RADIO
GAZETA wyborcza
cojestgrane24
Ultramaryna
POLSKIE RADIO KATOWICE
ams
interia
BILETOMAT.PL
ticketportal
ticketmaster

MORTE AOS
COMUNISTAS!
MORTE AO MPI

CONFUSÃO ZNACZY ZAMĘT

Podobnie jak najbardziej znane książki Kapuścińskiego, film o nim miesza fakty i niefakty. Splot dokumentu i animowanej fikcji tworzy atrakcyjną i inspirującą opowieść – ale na widza czyha pułapka. Dokument uwiarygadnia fikcję.

ADRIAN STACHOWSKI

Już sam nie do końca pamiętam, co jest w książce, co jest w filmie, a co było naprawdę – żartuje Damian Nenow, współreżyser ekranizacji „Jeszcze dzień życia", która ma właśnie polską premierę.

Pamięć może go zawodzić, prace nad filmem trwały w końcu prawie dekadę. Na pomysł przeniesienia na ekran reportażu Ryszarda Kapuścińskiego z wojny domowej w Angoli wpadł Raúl de la Fuente, hiszpański dokumentalista. Później zaprosił do współpracy Nenowa, twórcę filmów animowanych. Chcieli stworzyć hybrydę, która połączyłaby animację z dokumentem. Nenow miał odtworzyć to, co Kapuściński przeżył w Angoli. De la Fuente miał odnaleźć bohaterów jego książki.

Samo pisanie scenariusza trwało siedem lat. – Pierwsze pomysły polegały na ilustracji tego, co Kapuściński pisze w książce – wylicza Nenow, kiedy rozmawiamy w jego biurze. – W innych wersjach zastanawialiśmy się nad motywacjami jego bohaterów. Dlaczego ktoś wsiada do ciężarówki, która jedzie na pewną śmierć, dlaczego zostawia rodzinę? Później eksplorowaliśmy wątki szpiegowskie.

W końcu natrafili na to słowo – *confusão*. Kapuściński traktuje je jako klucz do zrozumienia sytuacji w Angoli. To stan dezorientacji, chaosu, niemożności. Zagubienie, z którego nie sposób się wydostać. Kiedy *confusão* ogarnia dużo ludzi naraz, wybucha wojna – pisze Kapuściński, przestrzegając przed siewcami *confusão*. Twórcy filmu dostrzegli w tym przesłanie na nasze czasy rosnącego napięcia i spadającego zaufania.

– Kapuściński próbuje opisać szklany sufit, ruchome piaski. Ten opis robi piorunujące wrażenie. To jest dzisiaj, to jest wszędzie. Kłócimy się, jak posprzątać, ale to nie ma żadnego wpływu na ten bałagan, który jest i będzie – mówi Nenow.

Wyobraźnia a zmyślenie

Kapuściński nie mógł odpuścić tego, co jesienią 1975 r. działo się w Angoli. Portugalczycy podjęli decyzję o wycofaniu się z kolonialnych posiadłości w Afryce i Azji. Jednym z terytoriów, które miało wybić się na niepodległość, była Angola. Historyczny proces dekolonizacji, który Kapuściński zaczął obserwować na początku lat 60. jako korespondent Polskiej Agencji Prasowej, miał swój dalszy ciąg w Luandzie. Jeszcze zanim Portugalczycy wynieśli się z kraju, do walki o władzę przystąpiły trzy organizacje narodowo-wyzwoleńcze – marksistowski Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli (MPLA) oraz prawicowo-nacjonalistyczne Narodowy Front Wyzwolenia Angoli (FNLA) oraz Narodowy Związek na rzecz Całkowitego Wyzwolenia Angoli (UNITA).

Kapuściński był w Angoli trzy miesiące, od sierpnia do połowy listopada. Widział największy eksodus białych z Afryki w historii: 250 tys. Portugalczyków zapakowało swój dobytek najpierw w drewniane skrzynie, a potem na statki. Był na froncie wojny domowej i w Luandzie, kiedy ogłaszano niepodległość.

Po powrocie do Polski napisał cykl reportaży. Książka, która się ukazała, oznaczała nowy rozdział w jego pisarstwie. Oddalał się od politycznego reportażu, do którego przyzwyczaił czytelników. Był bardziej liryczny, więcej miejsca poświęcał na opis nastrojów, ulotnych wrażeń, własnego zagubienia. Całą faktografię relegował do kilku stron na samym końcu tekstu. Depesze słane do PAP potraktował jako ozdobniki. Mieszał chronologię i wprowadzał elementy fikcji. Skąd wiadomo? Nakrył go na tym kolega po fachu, Wojciech Giełżyński, któremu do kilku „upiększeń" sam się przyznał (przykład: zamykający pierwszą część fragment o bezpańskich psach, które zostały po Portugalczykach). Według relacji kolegi Kapuściński kilka typów Giełżyńskiego miał potwierdzić milczeniem, a na koniec powiedzieć: „Jeszcze kilku nie odkryłeś".

Z czasem książkę doceniono też za granicą. Kiedy pod koniec lat 80. ukazał się jej angielski przekład, kojarzono Kapuścińskiego z Albertem Camusem, George'em Orwellem, Ernestem Hemingwayem. Salman Rushdie napisał, że autor z Polski „zbliża nas do nieprzekazywalnego obrazu wojny tak blisko, jak to możliwe dzięki lekturze". Napisał coś więcej, być może broniąc Kapuścińskiego przed jeszcze niesformułowanymi zarzutami: „Istnieje różnica między wyobraźnią a zmyśleniem. ↦

Kadr z filmu „Jeszcze dzień życia" w reżyserii Damiana Nenowa i Raúla de la Fuente

NEXT FILM

↦ Kapuściński ma zaś talent pisarza obdarzonego autentyczną wyobraźnią".

Glejt

Proszę o spotkanie Eugeniusza Rzewuskiego, afrykanistę, członka założyciela Polskiego Towarzystwa Afrykanistycznego. Dobrze zna Angolę – był ambasadorem RP w Luandzie. Kiedy objął placówkę w 2003 r., od razu zaczął szukać bohaterów Kapuścińskiego, chociaż, jak żartuje, nie miał tego w instrukcjach wyjazdowych.

Rozmawiamy o tym, że reportaże Kapuścińskiego zachwycają czytelników, literatów i recenzentów na całym świecie, ale znamienne, jak rzadko komentują je afrykaniści. Dlatego pytam Rzewuskiego o książkę o Angoli.

– To najlepszy tekst o tej wojnie, jaki powstał – mówi. – Według mnie tej książce afrykanistyczny glejt się należy, chociaż wzrastałem w środowisku afrykanistów, którzy najczęściej byli na Kapuścińskiego najeżeni. Zarzucali mu, że nie pisze całej prawdy.

Ale najwięcej kontrowersji w środowisku wywołuje oczywiście „Cesarz", reportażowo-baśniowa opowieść o detronizacji ostatniego cesarza Etiopii Hajle Syllasjego: – Zarówno etiopska diaspora, jak i cenieni akademicy uważali, że nie jest to książka, która rzetelnie rejestruje przebieg tamtych wydarzeń. Część Etiopczyków uważa, że ta książka to karykatura, która ich obraża – mówi Rzewuski.

– A „Jeszcze dzień życia"? Jaką ma opinię wśród afrykanistów?

– Obawiam się, że mało kto tę książkę czytał.

Rzewuski zwraca uwagę, że w książce o Angoli Kapuściński jest dużo mniej egocentryczny niż w innych reportażach lub wywiadach. To trafna uwaga. Jak żadną inną książkę, „Jeszcze dzień życia" zaludnia Kapuściński nie sobą – chociaż to bardzo subiektywna opowieść – ale pozostającymi w pamięci bohaterami: sprzątaczką z hotelu Tivoli, doną Cartageną, oficerem prasowym Ju-Ju, komendantem Farrusco, dziennikarzami Luisem i Arturem, i wreszcie – Carlottą, żołnierką, która ginie, osłaniając powrót Kapuścińskiego i innych dziennikarzy z frontu.

Raúl de la Fuente odnalazł trzech bohaterów Kapuścińskiego. Artur Queiroz, w 1975 r. redaktor dziennika w Luandzie, pomagał dziennikarzowi z Polski w stolicy („poszedłem pustymi ulicami do »Diario de Luanda«, do Queiroza, który zawsze dużo wiedział"). Luis Alberto Ferreira przewodził grupie dziennikarzy, z którą Kapuściński zabrał się na front („dynamiczny, niespokojny Mulat, bystry, odważny"). Komendant – dzisiaj generał w stanie spoczynku – Joaquim Farrusco, Portugalczyk, który przeszedł na stronę MPLA, stał na czele straceńczego oddziału na froncie południowym („widać twarze pokryte potem, połyskujące, jakby nasmarowane oliwą. Brodata, szeroka twarz comandante Farrusco"). W filmie pojawia się też Carlotta Macondo, ożywiona dzięki archiwalnym filmom nakręconym przez ekipę Luisa Alberto. O niej w pierwszych słowach napisał jak macho: „Carlotta przyszła z automatem na ramieniu i choć miała przyduży mundur komandosa, dawało się wyczuć, że jest zgrabna".

Confusão po raz drugi

Widzieć żywych bohaterów Kapuścińskiego będzie dla jego czytelników doświadczeniem niezwykłym – a może i trochę uspokajającym, biorąc pod uwagę powracające dyskusje na temat wiarygodności jego reportaży. Wypowiedzi Ferreiry, Farrusca i Queiroza może nie rzucają wiele nowego światła na Kapuścińskiego, ale i tak robią wrażenie. Oto ludzie, którzy 40 lat później go pamiętają, wspominają wspólny czas, nazywają przyjacielem.

To zresztą nie pierwszy raz, kiedy ktoś odnajduje bohaterów tekstów reportera. W 2010 r. odszukano na Mazurach pana Józefa, flisaka z jednego z reportaży z debiutanckiego „Buszu po polsku"; biograf Artur Domosławski dotarł do Osvalda Peredo, boliwijskiego partyzanta opisanego w „Chrystusie z karabinem na ramieniu" – reportaż mu się nie podobał, uznał go za kłamliwy. A podróżnik Marcin Kydryński spotkał w Liberii barmankę opisaną w „Hebanie".

To opowieść o dylematach reportera i zaangażowaniu, emocjonalnym oraz politycznym, co w przypadku Kapuścińskiego było jednym i tym samym.

W filmie opowieści bohaterów splatają się z animacją, będącą w istocie hybrydą w hybrydzie – materiał źródłowy z książki miesza się w niej ze wspomnieniami rozmówców i zupełnie fikcyjną fabułą Nenowa i de la Fuente. Dlatego dla widzów oczekujących wiernej ekranizacji książki będzie to frustrujący seans, bo wiele rzeczy się nie zgadza, i to już od pierwszej minuty.

Pytam o to Nenowa: – Jeżeli na podstawie animowanej części filmu będę chciał wnioskować na temat tego, co Kapuściński rzeczywiście robił w Angoli, to będę w błędzie?

– To zależy – odpowiada. – Animacja to nasza wizja, nasza interpretacja tego, co wyciągnęliśmy z książki i z rozmów z bohaterami, ale z założenia jest fikcją, kreacją. Film funkcjonuje na zasadzie kontrastu między jednym językiem a drugim.

NEXT FILM

Ryszard Kapuściński w Angoli, 1975 r.

Pogłębiamy ten kontrast, bo przecież film animowany jest jednoznacznie kojarzony z fikcją. W naszej historii Kapuściński rewiduje sam siebie, zaczyna wątpić, dostrzega szerszy kontekst swoich działań, widzi zalążek nowej formuły pisarskiej. To przemiana, którą chcieliśmy pokazać. Od razu założyliśmy, że możemy puścić wodze fantazji, ale wszelkie fikcyjne sytuacje konstruowaliśmy tak, by w żaden sposób nie oceniały Kapuścińskiego. Animacja nie jest wierna rzeczywistości, ale też jej nie zmienia, nie przedstawia wydarzeń w innym świetle, niż mogłoby się wydarzyć. To była nasza zasada numer jeden.

Zasady są po to, by je łamać. Kapuściński nie przemierzał Angoli samochodem z Queirozem, nie wpadł z nim w krwawą zasadzkę, z której cudem wybawiła ich Carlotta, dotarcie do Farrusco – które stanowi oś fabuły – wcale nie było takie trudne, o przepustkę na front nie trzeba było się specjalnie starać, bo komisarz frontu Nelson dał ją chętnie, do samego komendanta Kapuściński trafił właściwie przypadkiem... i tak dalej.

Oto cały problem: jeżeli dyskusje wokół wiarygodności Kapuścińskiego doszły do jakiejś konkluzji, to do takiej, że mieszanie faktu i fikcji to niejednoznaczna i niebezpieczna gra. Animowana część filmu jest olśniewająca, w sprytny sposób przeplata motywy z książki, zadziwia rozmachem, szczególnie w scenach surrealistycznych, które w imponujący sposób przywołują imaginacyjną prozę Kapuścińskiego (to były najdroższe sekwencje, budżet nie wszystkie udźwignął). Są też sceny, jak te z Carlottą, w których połączenie faktu i inwencji daje bardzo silny, emocjonalny efekt.

Splot dokumentu i animowanej fikcji tworzy atrakcyjną i inspirującą opowieść – ale na widza czyha pułapka. Dokument uwiarygadnia fikcję. Słuchając prawdziwych opowieści, widz może myśleć, że animacja jest ich przedłużeniem. Widząc fikcję, może myśleć, że widzi prawdziwego Kapuścińskiego. Może pytać – tak było? *Confusão*.

Jest w tym trochę ironii, bo przywiązani do faktów krytycy zarzucają Kapuścińskiemu to samo: nie wiadomo, co w jego książkach należy brać za prawdę, a co za wytwory twórczej wyobraźni. W filmie na podstawie „Jeszcze dzień życia" jest tak samo. I nie wiadomo: czy ganić twórców za „ulepszanie" dzieła Kapuścińskiego, czy gratulować doskonałego odtworzenia jego metody, jeśli nie w szczegółach, to w istocie rzeczy?

Broń reportera

Film „Jeszcze dzień życia" to także opowieść o reporterskich dylematach i zaangażowaniu, zarówno emocjonalnym, jak i politycznym, co w przypadku Kapuścińskiego było jednym i tym samym.

Mówił, że obiektywizm jest kwestią sumienia piszącego. Nie zgadzał się na równe dzielenie racji, zimną wojnę w Afryce widział jako walkę dobra ze złem. Tymi dobrymi były lewicujące ruchy wyzwoleńcze, złymi – kolonialne mocarstwa i ich lokalni poplecznicy. W Angoli jego sympatie były po stronie MPLA, czyli marksistów. Mówił, że tylko to ugrupowanie walczyło o prawdziwą niepodległość Angoli. „Tamci ćwiartowali, a ci nie ćwiartowali. Tamci wycinali wątroby i zjadali, a ci nie" – mówił tuż po powrocie z Angoli.

Kapuściński był stroną, i to nie tylko dlatego, że był dziennikarzem z socjalistycznego kraju. Chociaż i to miało duże znaczenie. „Świat jest areną walki, jest podzielony, a człowiek ma tylko jeden paszport. (...) W zależności od tego, po której stronie jesteś, taką rację reprezentujesz" – mówił w zaskakująco szczerych słowach w jednej z rozmów. Angola była ekstremalnym przypadkiem tego podziału. Dostanie się w ręce drugiej, antykomunistycznej strony mogło oznaczać śmierć. Za identyfikację swoich służyły pozdrowienia: „*camarada*" (towarzyszu) i „*irmao*" (bracie). A mundury wszyscy nosili takie same.

To właśnie w Angoli Kapuściński miał chwycić za broń. To jedna z tych rzeczy, które wyparto z jego wygładzonego wizerunku, chociaż wywiad, w którym o tym mówił, tuż po śmierci przypomniano w jego dziełach zebranych. Kiedy zauważył to w swojej biografii reportera Artur Domosławski – uzyskując potwierdzenie w rozmowie z generałem Farrusco – krytycy Kapuścińskiego chętnie obsadzili go w roli dziennikarza-najemnika, komunistycznego Rambo z notatnikiem. „Sięgał po broń, żeby wywalić magazynek w parszywe gady reakcji amerykańskiej, sługusów CIA i wyzyskiwaczy ludów uciśnionych" – pisał wtedy Piotr Gociek.

W rozmowie z Raúlem de la Fuente na potrzeby filmu Farrusco powiedział jednak coś zupełnie innego niż Domosławskiemu – że jedyną bronią, jaką posługiwał się Kapuściński, była broń reportera: notes i długopis. Chociaż ta scena nie znalazła się w filmie.

– Generał Farrusco powiedział wam: „nie strzelał"? – pytam.

– I on, i Queiroz powiedzieli, że nie widzieli go nigdy z pistoletem – mówi Nenow.

– Mieliście ważne świadectwo i zdecydowaliście się go nie użyć.

– Jeżeli robilibyśmy film o Kapuścińskim i o kontrowersjach z nim związanych, to prawdopodobnie jechalibyśmy tylko na takich wątkach. Ale to nie ten film.

W filmie strzelania nie ma, ale jest ujęcie, w którym Kapuściński ma karabin przy nodze.

Finał całej sprawy może być trudny dla tych, którzy są przywiązani do Kapuścińskiego nieskazitelnego. Nie ma innej możliwości: albo strzelał, albo przydawał sobie bohaterstwa. Raczej to drugie.

Camarada Ricardo

Kapuściński jako jeden z pierwszych dowiedział się, że do Angoli przybyli kubańscy żołnierze. Mieli wspomóc MPLA. Sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowana. Do inwazji na Angolę szykowała się armia z RPA, broniąca interesów swojego kraju w tej części Afryki (po latach okazało się, że akcja była uzgodniona z Portugalczykami). Kapuściński nie nadał wiadomości o Kubańczykach, bojąc się – jak sam później tłumaczył – przechwycenia tej informacji przez CIA, co ↦

↦ mogłoby mieć skutki wojenne, prawie na pewno zgubne dla MPLA. W filmie dylemat ten ilustruje scena dyskusji Kapuścińskiego z Arturem Queirozem. Kłótnia nad teleksem jest zmyślona, ale jej finał w rzeczywistości był taki sam – korespondent podejmuje polityczną decyzję i zostawia wrażliwą informację dla siebie. „Ricardo był bojownikiem naszej sprawy" – mówi z ekranu prawdziwy Queiroz. Bo o najemnikach i ukrytych sojusznikach po drugiej stronie pisał bez oporu.

Niedługo po przylocie Kubańczyków Kapuściński wrócił do Europy. Z lotniska w Lizbonie odebrał go Mirosław Ikonowicz, też korespondent PAP. Kapuściński był wyczerpany, wygłodzony, miał zapadnięte policzki. Prosto z lotniska pojechali do delikatesów. Kupili szynkę, mnóstwo owoców i butelkę porto. Kapuściński nie opowiadał dużo.

– Powiedział: „Sytuacja już jest jasna, w terenie poruszaj się jak dawniej" – mówi mi Ikonowicz. Wyrzucał sobie śmierć Carlotty. Mówił, że jest odpowiedzialny, bo w osłanianej przez dziewczynę grupie był oficerem najwyższym stopniem – porucznikiem (de la Fuente odnalazł grób Carlotty i jej siostrę, ale to też nie znalazło się w filmie; w ścieżce dźwiękowej w ostatnich scenach ukryto za to nagranie modlitwy, jaką siostra odmówiła na cmentarzu).

Ikonowicz też jeździł do Angoli. Do dzisiaj mówi, że obaj – on i Kapuściński – byli na tej wojnie po dobrej stronie: – Gdyby Rysiek ujawnił obecność Kubańczyków, dałby w ten sposób sygnał RPA do wcześniejszego rozpoczęcia zmasowanej inwazji, która miała zdławić ruchy narodowowyzwoleńcze w tej części Afryki. To był jego wielki dylemat. Bardzo dużo o tym rozmawialiśmy.

– Ale MPLA po 1975 r. nie miało czystych rąk. Jak połączyć przekonanie o tym, że stało się po dobrej stronie, z tym, że ta władza szybko okazała się krwawa? – pytam, przywołując masowe egzekucje opozycjonistów w partii, zabójstwa dziennikarzy, dyktaturę.

– Nie sposób było tego przewidzieć.

– Po latach można zrewidować swoje poglądy.

– Nie podejmowaliśmy decyzji po latach, tylko wtedy. *Ex post* można mieć różne refleksje...

– A pan jakie ma?

– Że byłem po dobrej stronie.

Smutek pokolenia utopii

Wojna w Angoli trwała do 2002 r. Zginęło w niej pół miliona ludzi. Miny wciąż leżą w ziemi. Po całym kraju kuśtykają tysiące *mutilados*, ofiar nierozważnych kroków. „Pokolenie utopii" się starzeje. To ludzie, którzy wierzyli w sprawiedliwy świat, mający nastać po niepodległości. W filmie reprezentuje ich Artur Queiroz. „Gdzie nasza rewolucja?" – pyta. Nadal jest głód, dzieci nie chodzą do szkoły, do lekarza zresztą też. W Angoli wydobywa się diamenty, bogacą się na nich politycy, ale pomidory i kawę trzeba importować.

W 2005 r., na 30-lecie nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską a niepodległą Angolą, odbyła się zorganizowana przez Eugeniusza Rzewuskiego promocja angolskiej edycji „Jeszcze dzień życia". Kapuściński miał przyjechać, znowu zamieszkać w hotelu Tivoli, spotkać się z generałem Farrusco. Nie przyjechał. Już chorował. Na spotkaniu Farrusco spontanicznie usiadł koło Izajasza Samakuvy, przewodniczącego UNITA, kiedyś swojego wroga.

Kiedy wyjeżdżał z Angoli, Kapuściński nie wiedział, czy Farrusco przeżył postrzelenie w płuco. „A silny, krępy, odważny Farrusco? Nawet jeśli ocalał, byłby już za stary, aby tkwić w okopach" – pisał. Dzięki ambasadorowi rozmawiali chwilę przez telefon, ale przez słabe połączenie reporter nie wiedział, że mówi z bohaterem swojej książki.

© ADRIAN STACHOWSKI

Korzystałem m.in. z następujących książek: „Pisanie" Marka Millera, „Kapuściński non-fiction" Artura Domosławskiego, „Hombre Kapuściński" Mirosława Ikonowicza, „Historii współczesnej Afryki" Martina Mereditha oraz wywiadu Wojciecha Giełżyńskiego z Ryszardem Kapuścińskim pt. „Czterokrotnie rozstrzelany".

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

EDWARD AUGUSTYN, autor korespondencji z Synodu, będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM we wtorek 31 października o godz. 15.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Kryształowa pułapka

ANITA PIOTROWSKA

„Dziedziczki" to posępny, ale i zabawny film, który daje nadzieję, że nigdy nie jest za późno, by się obudzić, otrzepać z naftaliny, zrobić makijaż i zapalić pierwszego w życiu papierosa. Podjąć wreszcie ryzyko.

Dyskretne skrzypienie ludwikowskich krzeseł, brzęk rodzinnych platerów, głuche dźwięki rozstrojonego pianina – wszystkie te przedmioty zdają się opowiadać historię, której nigdy nie usłyszymy bezpośrednio z ust bohaterek. O tym, że od ponad 30 lat żyją schowane ze swoją miłością w wiekowym domu. Że z uprzywilejowanej pozycji spadły do rangi ściganych przez bank pariasek. Wreszcie o tym, że Chiquita chroniąc swoją partnerkę przed zewnętrznym światem, uczyniła Chelę całkowicie zależną, niezdolną do samodzielnego życia.

Nagrodzony w Berlinie debiut paragwajskiego reżysera Marcela Martinessiego poprzez związek dwóch dojrzałych kobiet opowiada o kraju, który nie tak dawno wyzwolił się z trwającej ponad trzy dekady dyktatorskiej władzy. „Dziedziczki" najlepiej jednak sprawdzają się jako kameralne studium tłumionych uczuć i nierównej, zastygłej w swoim kształcie relacji.

Wiek, płeć, seksualna orientacja bohaterek, podobnie jak ich społeczny status, wyznaczają współrzędne, które przecinają się w pozornie bezpiecznym punkcie. Chela i Chiquita są niczym para wygodnych starych kapci: chociaż pomiędzy nimi prysły zmysły, a upadek reżymu skazał je na stopniową pauperyzację, bohaterki nadal celebrują dawną świetność, nadal odgrywają coraz bardziej męczące role. Pielęgnują także wielką tajemnicę, która od lat konserwuje ich *status quo* w konserwatywnym społeczeństwie.

AURORA FILMS

Kadr z filmu „Dziedziczki”

Kiedy z powodu długów Chiquita trafia za kratki, kapryśna, apatyczna dotychczas Chela uświadamia sobie, że to ona przez cały czas żyła w więzieniu. Nie tylko tym stworzonym na użytek publiczny i nie tylko wynikłym z podporządkowania. Otrzymana niegdyś w spadku, obecnie mocno podupadła willa i wypełniające ją precjoza stały się dla niej wygodną pułapką. Kobieta, która nigdy nie musiała pracować, straciła też okazję, by po prostu czasem wyjść z tego domu i odetchnąć innym powietrzem. Z jakimż pietyzmem Chiquita układa dla niej na tacy konstelacje z domowych porcelan i kryształów, topniejących zresztą każdego dnia. Nowa gosposia, niepiśmienna Indianka, również będzie musiała nauczyć się tego kodu.

Ochrona i opresja są w filmie Martinessiego czymś niemal równoznacznym, opisują zarówno relacje intymne, jak i te klasowe. Reżyser, mający spore doświadczenie w dokumencie, woli jednak skupiać się nie tyle na ostrych metaforach, co bezinteresownych obserwacjach. Oto kobiece więzienie w Asunción, do którego trafia Chiquita i które w porównaniu z duszną rezydencją „dziedziczek” aż dyszy naturalnością, erotyką i swobodą. Oto rytualne spotkania starych bogatych dam, którym Chela przygląda się z coraz większego dystansu – jako ta zdegradowana, choć ciągle dumna, spełniająca teraz funkcję samozwańczej taksówkarki. Bo to właśnie za kierownicą odziedziczonego po ojcu auta 60-letnia kobieta odzyskuje nagle swoją podmiotowość. I poniekąd za sprawą tego auta zaczyna znowu odkrywać namiętności i smaki życia. Tudzież jego fałszywe, bałamutne uroki, których uosobieniem staje się w filmie seksowna Angy.

Kamera w „Dziedziczkach” bywa nieufna, wycofana – niczym główna bohaterka, to znów obdarza czułym spojrzeniem ów spłowiały, anachroniczny, gasnący na naszych oczach świat, którego Chela była niegdyś beneficjentką i stała się zakładniczką. Lecz przecież ten chwilami posępny, a chwilami bardzo zabawny film daje także nadzieję, że mimo wszystko nie jest jeszcze za późno – by się obudzić, otrzepać z naftaliny, zrobić makijaż i zapalić pierwszego w życiu papierosa. Podjąć wreszcie jakieś ryzyko. Rewolucyjny potencjał tej historii polega również na tym, że przedstawiona w niej bardzo subtelnymi środkami dojrzała, a nawet przejrzała już miłość lesbijska dość szybko okazuje się równie represyjna jak sztywne społeczne podziały. Być może dlatego, że musiała przez tyle lat dojrzewać w zamknięciu.

To zamknięcie ma w przypadku „Dziedziczek” wymiar szerszy niż ramy ekranu. Grająca Chelę i nagrodzona Srebrnym Niedźwiedziem Ana Brun to tak naprawdę pseudonim – kryje się za nim anonimowa prawniczka, której filmowy debiut tyleż wzbudził uznanie w kraju i za granicą, co przysporzył jej kłopotów. Kiedy paragwajski Senat postanowił uhonorować twórców filmu, w trakcie ceremonii ponad połowa parlamentarzystów ostentacyjnie wyszła z sali, a sama aktorka została przez jedną z posłanek ostro zwymyślana za rzekome promowanie homoseksualizmu. Zgorszona parlamentarzystka musiała być chyba ślepa na wszystkie niuanse tej roli, samej postaci, jak i filmu, który poza wszystkim jest przecież pięknym hołdem złożonym kobietom w starszym wieku. Dla rodzącej się w bólach nowej kinematografii Paragwaju, który ciągle rozprawia się z opresyjnym polityczno-kulturowym dziedzictwem, trudno wyobrazić sobie lepszą i bardziej symboliczną wizytówkę. ©

DZIEDZICZKI *(Las herederas) – reż. Marcelo Martinessi. Prod. Paragwaj/Niemcy/ /Urugwaj/Brazylia/Norwegia/Francja 2018. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 2 listopada.*

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Zakopane – 100,0 FM
Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

CHRIS VAN DER BURGHT

„Requiem pour L." w wersji scenicznej

Requiem dla nas

KAJETAN PROCHYRA

Kompozytor, który nie pisze nut, i choreograf, który nie pokazuje tańca: duet Fabrizio Cassol i Alain Platel z fundamentów muzyki europejskiej wykuwa nowe rytuały. W „Requeim pour L." muzyka zwycięża śmierć.

Alain Platel jest z wykształcenia pedagogiem, wyspecjalizowanym w pracy z dziećmi z niepełnosprawnością. Choreografem został przez przypadek, gdy spektakl jego amatorskiej, rodzinno-koleżeńskiej trupy został dostrzeżony i zaproszony przez kuratora festiwalu teatralnego w Gandawie. Tak w połowie lat 80. powstał zespół Les Ballets Contemporains de la Belgique, dziś cieszący się międzynarodową sławą jako Les Ballets C de la B.

Platel szuka swoich bohaterów na obrzeżach. Fascynuje go ruch i gest tych, których motoryka, z perspektywy osób pełnosprawnych, zdaje się zaburzona. W spektaklu „Wilk" obsadził dwójkę niesłyszących śpiewaków, czternaście psów oraz dwóch tancerzy, którzy przez pół roku uczyli się ruchu przewodników psiego stada. Akcję spektaklu umieścił w opuszczonym centrum handlowym. Wszystko to dosłyszał Platel w muzyce Wolfganga A. Mozarta. Wcześniej zrealizował spektakl poświęcony Johannowi S. Bachowi. Gdy przyszła kolej na „Nieszpory Maryi Panny" Claudia Monteverdiego, drogi choreografa przecięły się ze szlakiem Fabrizia Cassola.

Dwadzieścia lat wcześniej Cassol, obiecujący saksofonista jazzowy, postanowił usłyszeć muzykę Afryki. W epoce przedinternetowej młody Belg wsiadł w samolot i poleciał do Republiki Środkowoafrykańskiej. Od miasta do wsi, a dalej do chat w lesie tropikalnym. Tam poznał pigmejów Aka – wyjątkowy lud nomadów, który poza wspólnym zdobywaniem jedzenia łączy kolektywny śpiew. Ich wielogłosowa muzyka jest obecnie wpisana na listę Arcydzieł Ustnego i Niematerialnego Dziedzictwa Ludzkości UNESCO. Ta podróż, a w ślad za nią kolejne wędrówki po Afryce, Półwyspie Arabskim, Indiach, zmieniły na zawsze podejście Fabrizia Cassola do muzyki.

– Szukam ludzi, którzy nie tylko mają ogromną wiedzę na temat własnej kultury, ale także mają tę wyjątkową umiejętność, tę cnotę duszy, jaką jest otwartość na kulturę innych – mówi „Tygodnikowi" kompozytor.

Cassol nauczył Platela słuchać w trzech wymiarach. – W muzyce jedno nie następuje po drugim, ale na drugim. To kolejne warstwy, które się na siebie nakładają – tłumaczy Cassol. – Wyobraź sobie, że utwór Mozarta jest obrazem. Kiedy zaczniesz zdrapywać z niego wierzchnią warstwę farby, znajdziesz tam kolejny, wcześniejszy obraz innego autora. Tak

samo jest z muzyką Coltrane'a czy Bacha. W ten sposób sięgasz do korzeni, a korzeń jest dla nas wszystkich wspólny: podstawy harmonii są te same dla wszystkich ludzi.

W spektaklu „VSPRS" muzyka Monteverdiego przykrywana była warstwami jazzu, muzyki cygańskiej i afrykańskiej. Inspiracją dla ruchu scenicznego stały się materiały filmowe: neurologiczne studium histerii oraz etnologiczna opowieść o transie w kulturach afrykańskich. Tak zawiązała się współpraca, która trwa już 15 lat. Platel i Cassol wystawili razem Bachowską Pasję według św. Mateusza („Pitié", 2008) i „Coup Fatal" (2014) – dialog z kolonialną przeszłością Belgii, a także niezwykły kolaż muzycznej kultury Konga i europejskiego baroku.

– W naszych projektach coraz wyraźniej przewijał się motyw śmierci. Zaproponowałem więc Alainowi, byśmy zmierzyli się z nim twarzą w twarz – wspomina Cassol. – Zasugerowałem, byśmy sięgnęli po „Requiem", niedokończone dzieło Mozarta: wymazali z niego wszystko, co po jego śmierci dopisali inni, a powstałą przestrzeń wypełnili nowymi uczuciami i emocjami, spróbowali stworzyć własną ceremonię żałobną.

„Requiem" Mozarta to jedno z najlepiej znanych i najczęściej wykonywanych dzieł muzycznych. O ten utwór na swoim pogrzebie poprosił Fryderyk Chopin. Msza Mozarta towarzyszyła też ostatniej drodze Beethovena i Napoleona.

Podczas pracy nad dziełem 35-letni Mozart był już bardzo słabego zdrowia. Opiekowali się nim rodzina i przyjaciele. Wspólnie śpiewali gotowe fragmenty mszy. Nad „Lacrimosą" pracował jeszcze na dzień przed śmiercią. „Czy nie mówiłem wam, że to »Requiem« piszę dla samego siebie?" – miał zapytać Amadeusz. Nad ranem 5 grudnia 1791 r. zmarł, pozostawiając swoje dzieło gotowe jedynie w niewielkim fragmencie. Utwór, na polecenie żony Mozarta, kończyli jego uczniowie, w tym przede wszystkim Franz Süssmayr.

Szukam drzwi

Fabrizio Cassol: – Rękopis „Requiem" jest bardzo interesujący. Widzisz tu rękę Mozarta, a zaraz obok charakter pisma innych kompozytorów. Czasem na stronach jest dużo nut, kiedy indziej widzisz puste albo prawie puste strony. Dostrzegasz miejsca, które są otwarte, które są... zaproszeniem. Analiza muzyki to dla mnie poszukiwanie drzwi, które mogę otworzyć i wpuścić przez nie coś nowego. W „Kyrie" każdy kolejny głos pojawia się w cyklu co siedem. To bardzo dziwne. W czasach Mozarta nikt nie używał miary na siedem. Owszem, w muzyce ludowej: arabskiej, bałkańskiej, indyjskiej tak, ale nie w europejskiej muzyce poważnej. Człowiek leży na łożu śmierci i tak naprawdę utrudnia sobie zadanie. Ale dla mnie to właśnie idealne drzwi – mówi kompozytor.

Cassol wpuścił przez te drzwi świat muzyki afrykańskiej, a z nim pulsujące, radosne święto życia.

W „Requiem pour L." nie ma orkiestry, chóru ani nawet – jak u Mozarta – czterech wiodących głosów. Są trzy: pochodząca z RPA Nobulumko Mngxekeza (sopran), Owen Metsileng (tenor) i Stephen Diaz (kontratenor). Śpiewakom lirycznym towarzyszą pochodzący z Konga wokaliści, występujący w roli griotów – afrykańskich bardów, opowiadaczy historii. Orkiestrę tworzą muzycy grający na likembe (kongijskim odpowiedniku kalimby, czyli metalowych blaszkach przytwierdzonych do małego pudła rezonansowego), tubie tenorowej, akordeonie, gitarze elektrycznej, basowej i na instrumentach perkusyjnych.

Praca nad muzyką trwała dwa lata. Większość członków zespołu nie czyta nut, a muzykę przyswaja ze słuchu, ucząc się jej na pamięć.

– Europejscy muzycy potrafią grać bardzo dobrze, nawet jeśli utwór, który wykonują, im się nie podoba. Natomiast muzycy afrykańscy muszą utwór poczuć, by czuć się z nim swobodnie. Ponieważ wszystko opiera się tu na pamięci, to bardzo powolny proces – tłumaczy Cassol. – Grając na saksofonie, pokazywałem im kolejne głosy. Rozmawialiśmy, o czym jest dana część „Requiem". Słowa trzeba było przekładać na sześć języków. W zespole obok muzyków z Konga i RPA grają Belgowie, Tunezyjczyk i Portugalczyk.

Elle

Gdy Cassol pracował z muzykami w Afryce, Platel żegnał kolejno swojego ojca, psa oraz przyjaciela i mentora, belgijskiego reżysera operowego Gerarda Mortiera. W roku 2017 z „Requiem" odeszła jeszcze jedna bohaterka.

– Lucie była kobietą pełną pasji. Szczególnie ważne dla niej były prawa człowieka, zwłaszcza prawa kobiet – wspomina Cassol. – Przez pewien czas mieszkała w Kongu. Kiedy wróciła do Belgii, adoptowała dziewczynkę z Konga. Wielokrotnie przychodziła oglądać „Coup Fatal". Zaprzyjaźniła się z nami, zwłaszcza z Alainem. Kiedy dowiedziała się, że pracujemy nad „Requiem", zaproponowała, że podaruje nam swoją ostatnią godzinę życia. W ten sposób artyści dowiedzieli się, że Lucie umiera na raka. Rodzina kobiety ustawiła przy jej łóżku kamerę. Lucie zmarła w maju. Trzy miesiące później Platel otrzymał nagranie. Ostatnie ogniwo spektaklu.

„Requiem pour L." to gra słów: inicjał Lucie, a także dźwięk francuskiego *elle*, które znaczy „ona" – „dla niej". W głębi sceny umieszczony jest duży kinowy ekran, na którym przez cały spektakl widzimy twarz L. Kobieta leży w łóżku. Co jakiś czas w kadrze pojawiają się inne osoby. Ktoś poprawia poduszkę. Ktoś inny głaszcze ją po twarzy. Jest w domu, wśród bliskich. Na początku widz może czuć się niewygodnie: jesteśmy przechodniem, który przez okno obserwuje obcą kobietę w jednej z jej najbardziej intymnych chwil. Gapimy się na dopalające się życie: mrugnięcie okiem, spadającą mimowolnie łzę, czy to już? Jednak wraz z upływem spektaklu staje się jasne, że razem z aktorami Platela i Cassola uczestniczymy w święcie, ostatniej uroczystości na cześć L. – celebracji, której kobieta jest podmiotem i której powinna zdążyć doświadczyć.

Uwagę zwraca także prosta, ale znacząca scenografia. Sześcienne bloki, wśród których odbywa się cała uroczystość-rytuał, przywołują na myśl berliński pomnik Pomordowanych Żydów Europy Petera Eisenmana. W ten sposób misterium „Requiem" zawieszone zostaje między śmiercią indywidualną L. a zbiorową i anonimową.

„Requiem" Mozarta i „Requiem pour L." stawia przed naszymi oczami śmierć, do której nikt nas nie przygotowuje, wobec której stajemy samotni i bezradni. Na scenie lęk i smutek zamienia się w święto, które ma nam dać nadzieję i radość z życia tego w czasie przeszłym i tego poza czasem. „Requiem" jest dla L., ale jest przede wszystkim dla nas. ©

Muzyka z **„REQUIEM POUR L."** *ukazała się właśnie na płycie nakładem oficyny Outhere Music. W wersji scenicznej spektakl pokazano w Toruniu, gdzie zdobył główną nagrodę na festiwalu Kontakt. Ponownie zobaczyć go będzie można w Krakowie w ramach festiwalu Materia Prima.*

Chwała nadmiaru

KRISTINA SABALIAUSKAITĖ, PISARKA:

Przypominam, że Rzeczpospolita składała się z obojga narodów. My, Litwini z Wielkiego Księstwa, pochodziliśmy od Rzymian, a wy, Polacy – od Sarmatów. Zabolało?

MICHAŁ WÓJCIK: Proszę mi pozwolić zacząć od cytatu. „Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieszczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czym dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie!”.

KRISTINA SABALIAUSKAITĖ: To Józef Piłsudski?

Oczywiście. I jeszcze ten cytat o Wilnie: „To miasto olbrzymich sprężonych energii, stolica domów wydawniczych publikujących książki w jidysz i hebrajskim, siedziba pism literackich i teatrów. Pod tym względem z Wilnem mógł konkurować jedynie Nowy Jork”.

To Czesław Miłosz.

Dwa do zera. To teraz dla kontrastu: „Okrutne miasto, miasto, gdzie zaraza obudziła w ludziach bestie, gdzie przechodzień mógł przestąpić konającego na ulicy, przetrząsnąwszy mu uprzednio kieszenie, gdzie chrześcijanin mógł pożreć drugiego chrześcijanina albo rozszarpać na kawałki niewinne niemowlę”.

Widziałam te ofiary dżumy na własne oczy. Przed laty mój profesor zabrał nas, studentów historii sztuki, do katakumb w kościele św. Ducha. Ofiary zarazy leżą tam u Dominikanów do dziś. Pamiętam ciało jakiegoś biskupa, a tuż obok matkę z niemowlęciem na ręku. To były zmumifikowane trupy. Przerażające. Dziś już ich oglądać nie można, podziemia są zamknięte dla publiczności. Ale panu zapewne chodzi o to, że pisząc w ten makabryczny sposób o Wilnie jakoś się nad tym pięknym miastem nie roztkliwiam, tak?

Mógłbym jeszcze przywołać tu pisarstwo Tomasa Venclovy. Jego książkę „Opisać Wilno” Adam Michnik uznał za balsam na rany pamięci. Tymczasem Pani pisanie o Wilnie i Litwie to raczej sól na rany...

Cóż, ja na pewno nie piszę „ku pokrzepieniu serc” jak Sienkiewicz. Podczas spotkania na Festiwalu Conrada ktoś zadał mi pytanie: czy moje pisanie ma działanie terapeutyczne? Czy piszę o historii Litwy, by zabliźniać rany? Otóż nie. Jest przeciwnie. Moje pisanie to zimny prysznic. Próżno tu szukać optymistycznego przesłania. Czytelnicy w Polsce zrozumieją to po przeczytaniu całej tetralogii „Silva rerum” [właśnie ukazał się w Polsce drugi jej tom – red.]. Jeden z moich litewskich czytelników powiedział, że czwarty tom jest jak zerwanie plastra z rany. Moim zdaniem właśnie tak ostrego bólu czasem potrzebujemy. Nie ukojenia trudnej pamięci, ale właśnie bólu. Potrzebujemy go, by nie powtarzać własnych błędów z przeszłości. Na tym polega nauka z historii.

Zapewne o to samo chodziło Miłoszowi i Venclovie, jednak ja wybrałam inną metodę narracji. Bo... cóż, powiem przewrotnie: ani Miłosz, ani Venclova, którzy tak pięknie pisali o Wilnie i są dogłębnymi znawcami miasta, nie pochodzili stąd. Oni się tam nie urodzili. Tymczasem ja – tak. Mam immunitet na wirus wileński. Oni nie. Z nimi stało się chyba to, co z wieloma innymi, którzy tam przyjechali i się w Wilnie zakochali. Miasto rzuciło na nich czar. To samo dotyczy Piłsudskiego, którego pan również zacytował. Oni wszyscy przesiąknęli magią tego miejsca. Duch miasta nimi zawładnął, stąd obraz Wilna w ich pisarstwie jest wyidealizowany.

Nieprawdziwy?

Nie, tego nie powiem. Wilno jest przede wszystkim *stricte* barokowym miastem. Z kolei barok to moje DNA. Fragment, który pan przeczytał, pochodzi z drugiego tomu „Silva rerum”. Akcja dzieje się na początku XVIII wieku, na Litwie trwa zaraza i te straszne sceny po prostu się działy. Mogę powiedzieć, że moje pisarstwo, i ja sama – jesteśmy z baroku. Od najmłodszych lat żyję pod wielkim wpływem barokowej estetyki i – jeśli tak mogę powiedzieć – filozofii. Akurat w Wilnie wszystko, co piękne, związane jest z tą epoką. I piękne świątynie, i krzywe uliczki, kończące się kościołami.

Paradoksalnie, przez ten barok właśnie Wilno jest tak mało litewskie. To raczej „mała Europa” pośrodku litewskich puszcz. Miasto ukształtowali imigranci. Począwszy do niemieckich kupców, których zaprosił Giedymin, poprzez Polaków, Rusinów, Karaimów, Hiszpanów, Włochów, Francuzów i Żydów. Gdyby dziś „wyciąć” z wileńskiej tkanki ich kultury, zostałaby wydmuszka. Wyobraża pan sobie Wilno bez kościoła św. Anny, dzieła niemieckich architektów, albo bez żydowskiej dzielnicy? Czy rosyjskich cebulastych cerkwi? Nie da się. Wilno jest jak chór, gdzie każda narodowość śpiewa w swoim języku trochę inną melodię, ale wychodzi z tego bogata polifonia.

Akcja cyklu „Silva rerum” dzieje się w XVII i XVIII wieku. Na postacie nałożyła Pani makabryczną, barokową sukienkę. Są tu paralitycy, schizofrenicy, wenerycy. Jest dzika namiętność, zdrada, pluskwy, brud i nędza. No i trup ściele się gęsto. Śmierć w każdej odsłonie, bez znieczulenia. Gdzie tu piękno?

Ależ jest. Jest zło i brzydota, ale jest także przepiękna barokowa muzyka, poszukiwanie sensu życia, jego głębi, dążenie do Boga. Te wszystkie wyżyny ducha z tymi paralitykami, żebrakami i trupami są ze sobą w zgodzie, koegzystują. Moje pisanie jest bardzo silnie powiązane z moją pierwszą pasją, historią sztuki. Dla mnie barok to Caravaggio, mistrz *chiaroscuro*. W malarstwie termin ten oznacza właśnie rozkład świateł i cieni, balansowanie między dwiema skrajnościami, by uzyskać wrażenie trójwymiaru. Tylko dzięki kontrastowi da się pokazać pełny wymiar i skalę. I chyba dlatego w mojej literaturze horror sąsiaduje z sielanką, piękno z brzydotą, życie ze śmiercią.

Nie wiem, czy zwrócił pan uwagę, że gdy zapada zmrok, akcja powieści przenosi się do wnętrz. Czy to do komnaty Anny Kata-

GRAŻYNA MAKARA

Kristina Sabaliauskaitė, Kraków, październik 2018 r. Na następnych stronach – panorama Wilna, 2016 r.

rzyny Narwojszowej w Milkontach, czy pokoju Urszuli Birontowej przy ulicy Końskiej, czy do gabinetu Aarona Gordona, żydowskiego medyka. Ich komnaty – właśnie jak u Caravaggia – rozświetla świeca i moich bohaterów można dostrzec tylko w jej zasięgu, pochylonych nad lekturą czy zanurzonych we wspomnieniach. O bohaterskich i chwalebnych czynach albo o podłych i okrutnych zbrodniach.

Rzeczywiście, barok to klucz do Pani powieści. Pisarze nie lubią takich pytań, ale zapytam: dlaczego akurat ta epoka?

Zainteresowanie barokiem zawdzięczam dziadkowi. To była nieprzeciętna osobowość. Za czasów niepodległej Litwy odebrał doskonałe wykształcenie, znał osiem języków, deklamował Owidiusza po łacinie, Homera po grecku. Przez pewien czas pracował jako muzealnik. Gdy byłam dziewczynką, zabierał mnie do miasta i pokazywał ukryte skarby. Pamiętam, że największe wrażenie robił na mnie, zresztą robi do dziś, kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu. To jest barokowy mikrokosmos, ponad dwa tysiące rzeźb i płaskorzeźb różnych postaci świętych i aniołów.

W jednej z kaplic jest grupa rzeźb przedstawiająca cnoty królewskie, wśród nich młoda piękna kobieta w barokowej sukni, a obok kaleka bez ręki i nogi. Dama daje mu jałmużnę. Ten motyw zainspirował mnie do stworzenia relacji Anny Katarzyny z Janem Żołnierzem, kalekim opiekunem dworu w Milkontach. W tym kościele esencję baroku widać jak na dłoni. To cudowny balans między nadmiarem a ascezą. Jest niezwykłe bogactwo, ale nie ma jednego. Nie ma koloru, wszystko jest w białym stiuku. Gdyby dodać do tego kolor, to byłaby kakofonia i kicz. Te kontrasty i napięcia, charakterystyczne dla baroku, determinują sposób myślenia moich bohaterów. W pierwszej części „Silva rerum" mamy więcej z Kartezjusza, w drugim omie więcej ze Spinozy. Czyli rozważania nad ludzkim losem i przypadkiem. Trzecia część – jeszcze nie przetłumaczona ↦

↦ na polski – zanurzona jest w rokoko. Jest tu eskapizm, dekadencja, różne utopie. A w czwartym tomie mamy już światło oświecenia.

Wracając do opinii o Wilnie, które był pan łaskaw zacytować, to miasto rzeczywiście ma bardzo dużo twarzy. Litewski prozaik Ričardas Gavelis idzie chyba jeszcze dalej niż ja. Opisuje miasto jako *anus mundi*. Polscy czytelnicy będą mogli poznać wreszcie jego fenomenalny „Poker wileński", bo ma być wkrótce wydany.

Powiedziała Pani przed chwilą, że „Silva rerum" to zimny prysznic, ale dla kogo? Dla Pani rodaków Litwinów czy szerzej, również dla nas Polaków, obywateli wspólnej niegdyś Rzeczpospolitej?

Dla nas wszystkich. Ta nasza wspólna historia była piękna i fascynująca. Niestety projekt Rzeczypospolitej skończył się fatalnie. Ale mój cykl nie jest ani trenem opłakującym, ani pieśnią żałobną za straconym czasem. To dramat, a więc dziedzina dla pisarza.

Jest Pani weredykiem, który ma potrzebę powtarzania rozmówcy, że ma zeza i śmierdzi mu z pyska?

Śmierdzi mu z gęby, ale ma piękne oczy. I tak go kocham!

Sarmatę? Obywatela dumnej Rzeczypospolitej?

Ha, ha... proszę wybaczyć. Nie Sarmatę. Przypominam, że Rzeczpospolita składała się z obojga narodów. My, Litwini z Wielkiego Księstwa, pochodziliśmy od Rzymian, a wy, Polacy – od Sarmatów. Ja akurat kocham tego Litwina post-Rzymianina.

Zabolało mnie, ale trudno. Jaka była reakcja na Pani wizję naszej wspólnej historii dziesięć lat temu, gdy ukazał się pierwszy tom „Silva rerum"?

Czytelnicy byli w szoku, ale nie dlatego, że tak przedstawiłam wspólne dzieje. Byli zaskoczeni zarówno treścią, jak i językiem. Bardzo się cieszę, że w polskim przekładzie Izabeli Korybut-Daszkiewicz nic z tego rytmu i czułości językowej nie zniknęło. Akcja toczy się w zasadzie bez dialogów, choć przecież bohaterowie są w ciągłym kontakcie, spięciu, dotyku. Słychać ich, choć nic do siebie nie mówią. To są właśnie barokowe iluzje.

Oprócz nagród i laurów na Litwie była również krytyka.

Mamy u nas bardzo rygorystyczne podejście do czystości mowy ojczystej. Działa Państwowa Inspekcja Języka, ciało polityczne. I ona oprotestowała w mojej książce zbyt dużą liczbę, taki padł zarzut, różnych polonizmów czy archaizmów. Uznano, że to są błędy i należy je usunąć. Bo to mankament i czytelnicy na to nie zasługują.

Sytuacja jak z Orwella!

Te zarzuty nasiliły się potem, gdy opublikowałam zbiór ośmiu opowiadań. Każde z nich napisane było innym dialektem, po to, by oddać specyfikę środowiska, z którego pochodzili bohaterowie. Np. handlarz narkotyków mówił swoim slangiem, a wilnianka z dobrego przedwojennego domu wyszukaną polszczyzną. Dla mnie język jest jak muzyka. Wprost przepadam za brzmieniem różnych gwar, dialektów i żargonów. Czasami są potrzebne mocne akordy.

Jak się skończyła Pani „sprawa"?

Inspekcja chciała ukarać wydawcę mandatem. Przyszło pismo, że liczba błędów językowych w mojej prozie jest zbyt duża i w następnym wydaniu należy to poprawić. Dokładnie sformułowano to tak, że ich suma nie może przekraczać dopuszczalnej normy na jeden arkusz wydawniczy. Przekroczenie normy wywoła konsekwencje prawne i finansowe. Na szczęście wszystko rozeszło się po kościach. Powiedziałam, że nie ustąpię i będę pisać, jak chcę. Np. stare słowo „*broma*". Oznacza bramę do kamienicy. Po dziesięciu latach nasz upór spowodował, że *broma* została wykreślona ze spisu błędów.

Oficjalny spis błędów? Jest coś takiego? Przecież to językowa urawniłowka! Jakie są jeszcze litewskie paranoje?

Postsowieckie myślenie. Myślenie stadne. Mam wrażenie, że mówienie własnym głosem wymaga jeszcze na Litwie dużej odwagi. W jednym ze swoich opowiadań poruszyłam temat KGB na Litwie. Chodziło o adaptację ludzi dawnych służb w nowej, litewskiej już rzeczywisto-

ści. Podczas jednego ze spotkań podszedł do mnie znany na Litwie były funkcjonariusz służb, wówczas szef różnych środowisk kulturalnych, i zaczął mi subtelnie grozić. Był szczerze zdziwiony, że nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia.

W swoich książkach rozdaje Pani razy zarówno Litwinom, jak i Polakom koroniarzom. „Ile jeszcze można żreć na warszawskich sejmach? Dupę wycierać po sejmowych ławach, pić i żreć korupcyjne jadło" – pytają litewscy konfederaci, którzy marzą o oderwaniu Litwy od Korony. Z kolei Litwinom – pada taki osąd – brakuje jaj Sasów. August Mocny Sas, aby się koronować na króla, po prostu włamał się do polskiego skarbca po insygnia koronne.

W drugim tomie rzeczywiście jest u moich bohaterów nostalgia za silną Litwą. Czasami miewaliśmy tendencje separatystyczne, dbając o interesy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przecież Wilno to nie są żadne Kresy, to pojęcie dosyć nowe i zależy od punktu widzenia. Muszę powiedzieć, że mnie osobiście to określenie bardzo śmieszy. Bo Litwa i Wilno, kiedy piszę, są dla mnie absolutnie centrum wszechświata. Kresami jest dla mnie Polska... (*śmiech*) Wilno było niegdyś stolicą jednego z dwóch równorzędnych partnerów w Rzeczypospolitej. Mieliśmy swoje Księstwo, hetmana, wielkiego kanclerza, swoją rangę urzędów.

To jak Pani zareagowała na pomysł, by na polskich paszportach było wyobrażenie Ostrej Bramy jako fragmentu polskiego krajobrazu symbolicznego?

Ależ to był dla mnie komplement. Bardzo mi było miło. W takim razie my na swoich banknotach powinniśmy przedstawić katedrę wawelską. W Krakowie pochowani są nasi, litewscy Jagiellonowie. Albo zawłaszczymy sobie Mickiewicza, czemu nie? Choć nie znał ani słowa po litewsku, bo urodził się w białoruskiej części Księstwa, to jednak mieszkał w Wilnie i Kownie, nigdy nie był związany ani z Warszawą, ani z Krakowem. A przyjaźnił się z literatami w Petersburgu i Paryżu.

Tak na serio: bardzo mnie niepokoją nacjonalizmy, które dochodzą do głosu w naszej części Europy. Jeden z litewskich publicystów powiedział, że po II wojnie światowej nacjonalizm, w każdej odsłonie, powinien być traktowany jak recydywista. W dzieciństwie był niewinnym blondynem pełnym marzeń o potędze swojej nacji, ale po II wojnie już za takiego pięknego błękitnookiego chłopca uchodzić nie może. Bo teraz to morderca, z którym przy jednym stole siadać nie wolno.

Myślę, że dobrą odtrutką na nacjonalizm jest historia. Trochę o niej ostatnimi czasy zapomnieliśmy. Ta nasza liberalna Europa trochę zaspała. Bo wolność, prawa człowieka i demokracja nie są dane raz na zawsze. Trzeba je cały czas podtrzymywać w dobrej formie. Tymczasem zignorowaliśmy niepokojące sygnały. To był błąd. Ale pojawiło się także drugie niebezpieczeństwo. Poglądy lewicowe i prawicowe oddalają się od siebie coraz mocniej i wcale nie oznacza to, że pojawia się silne centrum. Polacy i Litwini radykalizują się. Zawsze, gdy mnie ktoś pyta o moje poglądy polityczne, odpowiadam, że jestem *radical centre*. A właśnie tego silnego, radykalnego, czyli rozważnego centrum, pragmatycznego porozumienia się dla dobra całego narodu brakuje w tej części Europy najbardziej. I to w sytuacji, gdy za naszymi granicami czai się tyle niebezpieczeństw.

Na koniec muszę zatem zadać to pytanie: kim Pani jest? Nazwisko Sabaliauskaitė to przecież nasza Sobolewska!

Historia nazwiska mojego taty jest bardzo ciekawa. Początkowo brzmiało Sabalius. Potem zostało spolszczone na Sobolewski. A potem zlituanizowane na Sabaliauskas. Kim jestem? Wilnianką. Mój pradziadek przyjechał na Litwę z Korony, ze środka Polski. Druga część rodziny pochodzi ze Żmudzi. Od połowy XVIII wieku mieszkamy w Wilnie i z tego wspaniałego genetyczno-kulturowego koktajlu nic nie będę wyrzucała. To właśnie czyni mnie istotą wyjątkową.

© Rozmawiał MICHAŁ WÓJCIK

KRISTINA SABALIAUSKAITĖ *(ur. 1974) jest litewską pisarką. Doktor historii sztuki. Od 2002 r. mieszka w Londynie. W Wydawnictwie Literackim właśnie ukazał się drugi tom jej tetralogii „Silva rerum" w przekładzie Izabeli Korybut-Daszkiewicz. Sprzedaż tetralogii w niespełna trzymilionowej Litwie sięgnęła 250 tys. egz.*

SERGII FIGURNYI / STOCK.ADOBE.COM

WARTO ZOBACZYĆ W TV [2 – 9 XI]

1. Co ludzie powiedzą

Dramat, reż. Iram Haq, Francja/Niemcy/Dania/ /Szwecja/Norwegia 2017, Canal+ Family, 2 XI, 15.40, Canal+, 5 XI, 15.50, Canal+ 1, 5 XI, 16.50

Reżyserka filmu urodziła się w Norwegii, lecz jej rodzina pochodzi z Pakistanu. W podobnej sytuacji znajduje się główna bohaterka, która próbuje wieść życie normalnej nastolatki, choć jej najbliżsi zaprojektowali dla niej zupełnie inny los. Norweski kandydat do Oscara pokazuje dramatyczną walkę dziewczyny z przesądami silniejszymi niż rodzinne więzi.

2. Nie jestem twoim murzynem

Dokumentalny, reż. Raoul Peck, Belgia/ /Francja/Szwajcaria/USA 2016, TVP Kultura, 7 XI, 22.50

Z niedokończonej książki Jamesa Baldwina (zmarł w 1987 r.) powstał filmowy esej o historii Afroamerykanów oraz ich obecności w tekstach kultury. Inspiracją były zabójstwa trzech aktywistów ruchu antyrasistowskiego w USA: Medgara Eversa, Malcolma X i Martina Luthera Kinga. Efektem jest uniwersalna refleksja na temat nienawiści i wykluczenia.

3. 22 lipca

Dramat, reż. Paul Greengrass, Islandia/ /Norwegia/USA 2018, Netflix

Kolejny film o zamachu na wyspie Utøya w przeciwieństwie do filmu Erika Poppe'a (niedługo na ekranach kin) nie wycina z kadru postaci Andersa Breivika. Pokazuje też, jaką traumą były tamte wydarzenia, nie tylko dla ich bezpośrednich uczestników. Twórca „Krwawej niedzieli" nakręcił kolejny film, który zapiera dech, a jednocześnie ma być formą zbiorowej terapii.

4. McQueen

Dokumentalny, reż. Ian Bonhôte, Wielka Brytania 2018, Cineman VOD

„Z jednej strony chuligan, z drugiej mistrz krawiectwa" – tak mówiono o jednym z największych geniuszy świata mody. Ilustrowany muzyką Michaela Nymana barwny portret Alexandra McQueena opowiada także o cenie, jaką ten pulchny chłopak z East Endu musiał zapłacić za swój sukces.

Lektor:
Olimpijczyk na froncie

▪ *Thomas Mann* **NIEMIECCY SŁUCHACZE! PRZEMÓWIENIA RADIOWE Z LAT 1940–1945** *Przekład Małgorzata Łukasiewicz. Posłowie Michał Głowiński. Ossolineum, Wrocław 2018, ss. 230.*

„Dzisiaj miałem znów audycję radiową dla Niemiec i naurągałem Schicklgruberowi [pierwotne nazwisko ojca Hitlera – red.] jak jeszcze nigdy. Użyłem sobie!" – pisał Tomasz Mann do brata Henryka w grudniu 1941 r. Chodziło o kolejne z 58 przemówień do rodaków na falach radia BBC.

Gdy powstało pierwsze, Tomasz Mann był mieszkającym w Ameryce emigrantem pozbawionym obywatelstwa niemieckiego, z paszportem nieistniejącej już Czechosłowacji; potem otrzyma obywatelstwo USA. „Mówi do was niemiecki pisarz, którego twórczość i osobę wasi władcy skazali na wygnanie (...). Ale dopóki żyję, będę Niemcem i będę cierpiał pod brzemieniem losu Niemiec oraz wszystkich krzywd, moralnych i fizycznych, jakie Niemcy z woli zbrodniczych tyranów od siedmiu lat wyrządzają światu". Patos – ale Mann słusznie uważa siebie za dziedzica najlepszych tradycji niemieckiej kultury. Wcześniej zadeklaruje dumnie: „Tam, gdzie ja jestem, są Niemcy".

„Ten łobuz to katastrofa; co nie stanowi powodu, by nie wzbudzał zainteresowania jako los i charakter" – pisał w 1938 r. w eseju „Brat Hitler". Teraz nie czas już na takie subtelności. Jak zauważa Michał Głowiński, mówiąc do rodaków Mann wymienia zbrodniarzy z imienia, nie interesują go jednak różnice między nimi, to „jedna wielka banda złożona ze złoczyńców, mająca swojego zbrodniczego herszta". Dyktatura łajdaków, deprawatorzy narodu o mózgach przeżartych zgnilizną, cuchnąca pod niebiosa korupcja – długo można by cytować efektowne epitety. Te mowy to równocześnie katalog zbrodni, wyliczanych bardzo precyzyjnie – Mann wcześnie zwraca uwagę na „ostateczne rozwiązanie". I dramat człowieka, którego ojczyzna zmienia się w stertę gruzów – naloty burzą niemieckie miasta, także lubecką kamienicę Buddenbrooków i monachijską willę Mannów. Autor „Faustusa" podziwia podnoszące się na Zachodzie głosy protestu przeciw wojnie powietrznej – sam jednak protestować nie czuje się w prawie, bo „to tylko odbicie tego, co nazistowskie Niemcy uczyniły i nadal czynią innym narodom". „Co za gorycz, gdy świat raduje się klęską, najgłębszym upokorzeniem własnego kraju!" – notuje 9 maja 1945 r. A w ostatnim z przemówień, odpowiadając na list otwarty kolegi-pisarza, Waltera von Molo, wzywający go do powrotu, tłumaczy, dlaczego w Niemczech już nie zamieszka. ©℗

Podcast literacki „Tygodnika Powszechnego"

Porozmawiaj z nami o książkach w grupie dyskusyjnej Book's not dead – już ponad 3650 osób obserwuje w niej i dyskutuje ostatnie doniesienia wokół książek, ich autorek oraz autorów, wydawców, księgarzy itd. Grupę pod adresem **powszech.net/bnd** moderuje MONIKA OCHĘDOWSKA.

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj w Apple Podcasts

SOUNDCLOUD

UNSPLASH.COM // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo:
Plastikowe kluchy

150 MILIONÓW TON. TĘ LICZBĘ OBRAZUJĄCĄ skalę plastikowej czapy, którą beztrosko nałożyliśmy na swoją planetę, znamy teraz na pamięć. Trudno było w zeszłym tygodniu ominąć ten temat, nawet jeśli do mediów przedostają się głównie przetrawione na groteskową modłę szczątki informacji o bzdetach w rodzaju patyczków do uszu. Tymczasem dzieje się naprawdę coś ważnego, o czym jak zwykle celnie pisze w tym numerze Marcin Napiórkowski.

Patrzę na tabelkę, w której różnym kategoriom produktów, dziś wydających się przezroczystymi jak powietrze, przypisano rozmaite działania „naprawcze". Zużyty sprzęt rybacki czy filtry od papierosów nie robią na mnie wrażenia, ale w paru rubrykach – takich jak rozmaite opakowania do żywności i dań gotowych – widzę zapowiedź dużych wstrząsów w obyczajach. Nie wiem, czy ktoś próbował liczyć, jaki procent tego, co zjadamy w warunkach wielkomiejskiego pędu, stanowią rzeczy brane na wynos. Z dowozem pod drzwi – na plecach coraz liczniejszej gromady młodych Hindusów, którzy jako kurierzy lunchowi niepostrzeżenie podmalowali nasze ulice odcieniem multikulturowości (podejrzewam, że gdyby gruntownie ich popytać, dostalibyśmy obraz wyzysku tych ludzi na skalę, od której jeść by się nam odechciało). Albo przynoszone samemu dla siebie i całego koleżeństwa przy sąsiednich biurkach. Z dumą biorę na siebie zadanie pójścia po pizzę, przy czym wielkość żądanego kawałka, odcinanego z prostokątnej blachy, zwykliśmy na swój wewnętrzny użytek mierzyć „na okładki", czyli porównując własny apetyt do formatu „Tygodnika".

Pizza to pół biedy, sprzedają ją w tekturowym pudełku. Lekko co najwyżej zatłuszczone, ale bez sztucznych wstawek, stanowi proste zadanie dla sił przyrody. Ale ile razy w ciągu ostatniego miesiąca pod waszymi palcami skrzypiała zgniatana polistyrenowa trumienka po chińszczyźnie? Albo walcowata miseczka po pomidorowej – z wieczkiem, spod którego zawsze cieknie? Wysyłamy sondy na Marsa, ale pokrywki, która nie rozszerza się zdradziecko pod wpływem ciepła, jeszcze NASA nie wykoncypowała.

Te i inne podobne plastiki nasze powszednie nie znikną całkiem. Ale dodatkowe opłaty i restrykcje skutecznie nas przymuszą do myślenia nie tylko, co wybrać, ale też, do czego to nam zapakują. I dobrze, wrócą w chwale metalowe naczynia – ludzkość przecież jakoś taszczyła obiady z baru mlecznego jeszcze w czasach, kiedy koncern Monsanto dopiero stawiał w Disneylandzie swój cały zbudowany z tworzyw „Dom przyszłości". Rynek nie znosi próżni i czekam tylko na nową gałąź snobizmu, gdzie hierarchię dziobania w Mordorze wyznaczy nie samochód i strój, ale odpowiedni zestaw dizajnerskich menażek. Osobnicy dbający o awangardowy wizerunek odkopią z pawlacza po babci taki emaliowany trzypiętrowy model z aluminiowym pałąkiem i wyślizganą drewnianą rączką.

Z tym sobie poradzimy, podobnie ze słomkami – ćmy barowe i bywalcy koktajli będą chodzić ze stalową słomką w kieszeni spodni, tej samej, z której kiedyś elegantom wystawał grzebyk z fałszywego szylkretu. Ale wielka rewolucja jednorazowa niechże będzie dla nas okazją, żeby przemyśleć, czy zasada „wszystko na wynos" nie zaniosła nas poza granice przesady i dobrego smaku.

Piszę to jako obsesyjny bojownik krucjaty przeciwko makaronom w pojemnikach do odgrzewania. Przynajmniej tych na modłę włoską – bo orientalny, przesmażony do bólu i zabity sosem sojowym, to inna liga i o jego honor bić się nie będę. Skoro wielkie narody Azji są gotowe pokazywać swoje dziedzictwo w takim upodleniu – ich sprawa. Mnie chodzi o nasze, pszenne *spaghetti*, *penne*, *fusilli*, *bucatini*, *linguine*, *pici*, *tagliolini* i *strozzapreti* (czyli „kluski, od których dławią się księża"). Odcedzone we właściwym momencie nadają się do zjedzenia od razu – i basta. Zamknięte w pudełku, uwięzione w styropianowej saunie, emanując dalej ciepłem i parą, ulegają dalszemu rozmiękczeniu, a cudownie wytworzona podczas mieszania na patelni synergia skrobi i sosu przechodzi w fazę brei, gluta, plasteliny. A ponowne podgrzanie to tyle, co przyłożenie elektrycznego impulsu do martwej żaby na lekcji biologii. Podskoczy w skurczu, ale życia jej to nie wróci.

Włochy upadły tak nisko – i piszę to bez ironii, patrząc na kraj, który potrafi serio i skutecznie robić faszyzm (dziś zwany „legizmem") – że jeśli rozsiani po świecie makaroniarze nie wezmą klusek w obronę, przepadną z kretesem. Pomóżcie ludzie. Zamówcie krokiety z kapustą. ©℗

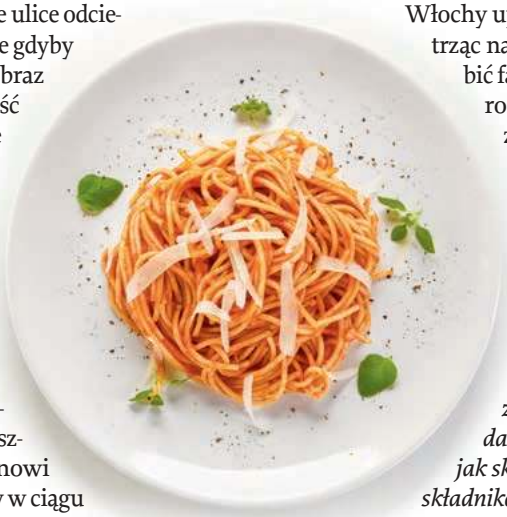

Tydzień temu obchodzono Światowy Dzień Makaronu (ale raczej w Ameryce niż we Włoszech). Z tej okazji prasa przypominała najprostsze klasyczne przepisy. My też wróćmy do zasad, które czynią z pasta al pomodoro danie szlachetne w prostocie, a nie byle jak skleconą prowizorkę. Pierwsza to jakość składników: pomidory z puszki firm Mutti albo Cirio – wszędzie się da już kupić – oraz dobry makaron. Na kilku łyżkach oliwy przez parę minut podgrzewamy na dużej patelni przepołowiony ząbek czosnku. Dodajemy dwie puszki pomidorów bez skóry, podnosimy ogień, aż zaczną bulgotać, potem go zmniejszamy do minimum i dusimy bez przykrycia co najmniej godzinę, mieszając regularnie. Czas jest arcyważny! Tego sosu nie da się zrobić na szybko. Kiedy przestaje być zupą i staje się gęsty (tzn. gdy przeciągnięcie łyżką odsłania na chwilę dno patelni), dolewamy odrobinę wody, aby się nie przypalał, i dopiero pod koniec procesu pozwalamy mu zgęstnieć. Puryści każą zmiksować, ja wolę nierówną konsystencję. Listki bazylii dajemy dopiero w ostatnich minutach.

ISTOCK / GETTY IMAGES

ZMYSŁY

SŁOMKOWY ZAPAŁ

Nasze decyzje konsumenckie mogą zmienić życie miliardów obcych nam ludzi i zwierząt. Nic dziwnego, że wolelibyśmy sobie tej presji nie uświadamiać.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Robert Biedroń już nie pije przez słomkę. Podobnie jak Anja Rubik, Hubert Urbański, Krzysztof Gonciarz i Maffashion. „Zamordowałem lodofokę grenlandzką..." – przyznaje skruszony polityk w spocie „Tu pijesz bez słomki". Bo plastik, o czym wszyscy już od dawna wiemy, a przynajmniej wiedzieć powinniśmy, gromadzi się w oceanach, stanowiąc poważne zagrożenie dla żyjących w nim zwierząt. „Ta słomka, przez którą dzisiaj pijesz swojego drinka, może wylądować w żołądku foki, żółwia, wieloryba... Każdy z nas ma w tym swój udział!" – przekonuje Areta Szpura, pomysłodawczyni kampanii. Podobnie jak ona myślą aktywiści na całym świecie. Słomki do napojów stały się symbolem zbędnego plastiku – powoli znikają z modnych lokali, a wkrótce pewnie także z dużych sieci.

Ale czy zwykli konsumenci, działacze organizacji ekologicznych i występujący w spotach politycy zastanawiają się, w jaką właściwie część trafiającego do oceanów plastiku uderzają? „Wszystko to brzmi szlachetnie – pisał niedawno dla Bloomberg.com Adam Minter, autor książki „Junkyard Planet" o globalnym krążeniu śmieci. – Ale w rzeczywistości sprawy się pewnie od tego pogorszą. Słomki stanowią zaledwie nieistotny ułamek światowego plastiku, a kampanie mające na celu wyeliminowanie ich nie tylko okażą się nieefektywne, lecz także odwrócą naszą uwagę od znacznie skuteczniejszych wysiłków, które można by podjąć".

Najistotniejsza część zanieczyszczającego oceany plastiku pochodzi bowiem nie z odpadów konsumpcyjnych, lecz ze sprzętu do połowów. To w ten obszar najlepiej byłoby wycelować zmasowaną kampanię.

Z drugiej strony odrzucenie słomki to mały gest, który każdy z nas może wykonać. Łatwo o tym pamiętać, a z każdą odmową zwiększamy ekologiczną świadomość u siebie i innych. Dziś zrezygnujemy ze słomki – jutro z foliowej torby czy jednorazowego kubka. Słomka jest tu tylko symbolem. Stała się nim za sprawą filmów i zdjęć przedstawiających morskie zwierzęta okaleczone właśnie tym łatwo rozpoznawalnym kawałkiem plastiku.

Słomkowy dylemat stawia nas w obliczu jednego z podstawowych problemów ze współczesną kulturą pomagania. To, co efektowne, nie zawsze okazuje się efektywne. Bo wbrew temu, co się czasem słyszy, pomaganie wcale nie jest łatwe. I nie chodzi tu o zadawnione spory między wędkami i rybami.

Śmieciowa wiedza

Pewnie większość czytelników widziała kosze na nakrętki stojące w szkołach, zakładach pracy i budynkach użyteczności publicznej.

PIOTR DZIURDZIA

Projekt „6 Rzek" Cecylii Malik, rzeka Białucha w Krakowie, 2011 r.

Nakrętki wrzuca się do koszy, a potrzebujące dzieci dostają wózki inwalidzkie albo turnusy rehabilitacyjne. Proste.

Proste? Spróbujmy wpisać w Google zapytanie w rodzaju „o co chodzi ze zbieraniem nakrętek?" albo „do czego służą plastikowe nakrętki?". Wielu użytkowników twierdzi, że za wózki, protezy i turnusy płacą konkretne firmy: Coca-Cola, Pepsi, może Nestlé. Nic z tych rzeczy. Żadna firma nie przyznaje się do podobnych działań, a niektóre nawet wprost odcinają się od tego typu akcji. Niektórzy internauci sugerują więc, że nakrętki mają jakieś ukryte przeznaczenie. Na przykład, że wykorzystywane są jako podkłady pod autostrady (to, oczywiście, nieprawda – mogą Państwo jeździć spokojnie). Kolejne, bardzo rozpowszechnione wyjaśnienie, mówi, że same nakrętki nie mają wprawdzie żadnej wartości, ale odkręcone butelki znacznie łatwiej poddają się zgniataniu na wysypisku śmieci. Powtarzają się w tym kontekście historie o uszkadzających się, a nawet wybuchających zgniatarkach, o zmarnowanym miejscu i pracownikach ręcznie odkręcających butelki. Część z tych informacji jest prawdziwa (zgniatanie odkręconych butelek jest łatwiejsze), jednak nieprawdą jest, że to wysypiska śmieci czy firmy recyklingowe płacą za nakrętki po to, by zachęcić do odkręcania butelek.

Internauci gubią się więc w gąszczu sprzecznych domysłów. Może będziemy mieli więcej szczęścia, szukając wiedzy w mediach? Po kilku kliknięciach trafiam na artykuł Martyny Siudak, dziennikarki olsztyńskiej „Gazety Wyborczej", która w ten sposób pisała o akcji dwa lata temu: „Prawdopodobnie zaczęło się w Stanach Zjednoczonych, gdzie za 14 tys. plastikowych nakrętek osoby chore na raka dostawały godzinę darmowej chemioterapii. Akcja miała swoje krajowe odmiany. We Francji w 1982 roku zaczęło się zbieranie kodów kreskowych, które można było spieniężyć i przekazać na cele charytatywne. Były akcje zbierania papierków po gumach, sreberek od papierosów czy nakrętek z butelek po mleku".

Czyli wpadliśmy wreszcie na wiarygodny trop? Niekoniecznie... Zacznijmy od początku. „Plastikowe nakrętki za chemioterapię" to klasyczny przykład legendy miejskiej, której zasięg w USA był na tyle duży, że w tej sprawie wypowiedziało się American Cancer Society, przestrzegające na swojej oficjalnej stronie, że taki program nigdy nie istniał. We Francji faktycznie na początku lat 80. zaczęło się szaleństwo zbierania kodów kreskowych. Zaraz po transformacji ustrojowej mania ta zawitała też do niektórych regionów Polski. Z tym że znów do czynienia mamy z legendą miejską, a nie z rzeczywistą akcją. Za pieczołowicie gromadzone kody nikt nie dawał złamanego grosza. Podobnie przedstawia się sprawa z papierkami po gumach oraz sreberkami z opakowań po papierosach. (Badacze miejskiego folkloru odnotowują we Francji szał papierosowego zbieractwa już w latach 60., a więc na długo przed epoką internetu.)

Nie trzeba zresztą sięgać za granicę, by znaleźć podobne przykłady zbiórek. Kilka lat temu tysiące Polaków zbierało zawieszki od herbaty Lipton, wierząc, że pozwoli to na zakup wózków inwalidzkich dla dzieci. Niestety, historia okazała się jedynie plotką, od której wielokrotnie i konsekwentnie odcinała się firma Unilever, producent Liptona.

Czyżby nakrętkowe zbiórki miały się okazać kolejną miejską legendą?

Obliczanie zniechęcałoby do pomagania

Żeby sprawdzić, co naprawdę dzieje się z nakrętkami, kontaktuję się bezpośrednio z Michałem Żukrowskim, kierującym Fundacją Bez Tajemnic prowadzącą akcję Zakrętki.info. Mój rozmówca chwali się, że to największa obecnie tego typu zbiórka w Polsce i zarazem miejsce, w którym wszystko się zaczęło. Przy okazji obalamy więc od razu mit, zgodnie z którym nakrętkowe szaleństwo przybyło do nas z Zachodu.

– Pojawił się pomysł: zbierajmy coś! – wspomina Żukrowski – Ale co? Szkło? Trudno, żeby ktoś z oknem przychodził na zbiórkę. Aluminium? 90 proc. to puszki od piwa. Nie chcemy, żeby ktoś potem mówił, że pije piwo, żeby pomagać niepełnosprawnym dzieciom. Kolejną ↦

↦ rzeczą był papier – ale makulaturę zbierają wszyscy wszędzie, na pomoce dydaktyczne. Metal? Trudno sobie wyobrazić dziecko, które idzie do szkoły, żeby przekazać pralkę na cele charytatywne. Zbierajmy małe, kolorowe plastikowe zakrętki, które nikomu nie zrobią krzywdy, nie będzie kłopotu z przenoszeniem, wszystkim się dobrze kojarzą. Skontaktowaliśmy się z firmami recyklingowymi i zaczęliśmy rozpowszechniać ten pomysł.

Czyli za nakrętkową magią nie stoją firmy produkujące napoje, nakrętki nie trafiają pod autostrady, do wózków i turnusów rehabilitacyjnych nie dopłacają producenci zgniatarek. Kawałki kolorowego plastiku sprzedaje się po prostu do recyklingu. Za kilogram można dostać 80 gr, przy odrobinie szczęścia i dobrej jakości surowca – nawet złotówkę.

Kilogram nakrętek... Ile to może być sztuk? Standardowa nakrętka od butelki waży 2,3 g. Żeby zebrać kilogram, potrzeba więc około 435 nakrętek. Nawet zakładając maksymalną stawkę okazuje się, że pojedyncza nakrętka to 0,0023 zł. Czyli dopiero pięć nakrętek daje grosz...

Może to drobna kwota. Ale jeśli nakrętek byłoby bardzo dużo, czy cała akcja nie okazałaby się ostatecznie opłacalna? Skoro kilogram nakrętek wart jest nawet złotówkę, to tona (prawie pół miliona nakrętek!) daje już kwotę tysiąca złotych. Czy to wystarczająco dużo, by pokryć koszty gromadzenia i przewożenia z miejsca na miejsce? Policzmy!

Rozważmy autentyczny przykład sprzed kilku lat, opisywany na stronie internetowej jednej z akcji. Dzieci w szkole zebrały 50 worków po 120 litrów nakrętek. A potem wysłały je ciężarówką do odległej o 400 km siedziby akcji. Nawet jeżeli kierowca poświęcił swój czas za darmo, a pojazd udostępniono nieodpłatnie, to przecież baku nie napełniono nakrętkami! Powiedzmy, że ciężarówka spaliła 25 l ropy na 100 km. Przy ówczesnych cenach oleju napędowego przebycie trasy (w obie strony) kosztowało ponad 1000 zł. Zgromadzone nakrętki (licząc po ówczesnych cenach) warte były mniej niż 600 zł. A przecież każda nakrętka musiała wcześniej odbyć własne małe podróże – od zbierającego do zbierającego, potem do „sztabu" w szkole... Jeśli zsumujemy to wszystko (a może należałoby doliczyć jeszcze koszty magazynowania czy długie godziny pracy zbieraczy?) – otrzymamy kwoty wielokrotnie przekraczające wartość nakrętek.

– Potrzebna jest dobra organizacja, potrzebny jest dobry pomysł – odpowiada na moje wątpliwości Żukrowski. – Tylko i wyłącznie przy odpowiednich założeniach taka akcja ma sens. Liczy się sieć koordynatorów regionalnych i punktów zbiórki. Ważne, by dostarczanie było bezkosztowe, czyli przy okazji.

Ważne też, by dodatkowych kosztów nie generowała sama obsługa zbiórki.

– Pomagamy – mówi twórca Zakrętki.info – ponieważ nie jesteśmy fundacją, która przejada pieniądze na administrację. 100 proc. ze zbiórek przekazujemy na zakup sprzętu medycznego.

Czyli pomaganie za pomocą nakrętek jest możliwe, lecz tylko przy spełnieniu określonych warunków. Niestety, jak zauważa Żukrowski, ludzie często nie do końca rozumieją funkcjonowanie akcji: – Czasem próbują pomagać w jakimś stopniu na siłę, m.in. przesyłając nakrętki pocztą. Przychodzą do nas zakrętki wysyłane w pudełku po obuwiu albo po ryzach papieru. Dostajemy takie paczki z całej Polski. Ktoś wysyła nam kilogram nakrętek i płaci za wysyłkę kilka-kilkanaście złotych. Prawdziwym hitem są małe paczki wysyłane przez kurierów. Ceny takiej przesyłki zaczynają się od 15 zł, natomiast sama wartość tych nakrętek to złotówka albo i 60 groszy.

Słowa Żukrowskiego potwierdza mi anonimowo w wywiadzie pracowniczka innej organizacji prowadzącej nakrętkową zbiórkę: – Często rodzice przywożą te nakrętki do biura. Odbiór przez nas możliwy jest dopiero od 30 kilogramów, wtedy robi to kierowca-wolontariusz.

I dodaje: – Mamy problem z firmami, które przesyłają nam paczki z całej Polski. Tłumaczę: „Państwo zapłacili 30 zł za przesyłkę, a wartość przyszła mniejsza". To lepiej byłoby przelew zrobić. Ale ludzie chcą, to się jakoś tak zakorzeniło. No i nie płacą z własnego portfela, tylko może to w koszty firmy się wlicza?

To kluczowy element nakrętkowej machiny. Części jej kosztów sobie nie uświadamiamy, bo są ukryte lub przerzucone na kogo innego.

– Nasze zakrętki są „przy okazji" – to kluczowe tutaj – dostarczane z Madrytu, Wenecji, Irlandii – tłumaczy Żukrowski. – Często są transporty, które mają puste przebiegi. Muszą dotrzeć z punktu A do punktu B i przewiezienie dwóch, trzech worków nie stanowi dla nikogo problemu. Do Irlandii jadą polskie przetwory – wracają zakrętki. Zakrętki z Madrytu są z kolei przejazdem dostarczane do Krakowa. Jedna z osób z zarządu odbiera je honorowo z autostrady, ponieważ mieszka niedaleko. Moja mama np. w tym momencie, jak wraca – mieszka za granicą – jak jej zostaje kilogram w bagażu rejestrowanym, to uzupełnia go zakrętkami...

– No ale czy to jest sensowne ekonomicznie i ekologicznie? Czy koszt spalonego paliwa lotniczego nie jest większy niż to kilkadziesiąt groszy? – pytam.

W odpowiedzi słyszę bardzo ważne zdanie: – W jakimś aspekcie na pewno to bezsensowne. Ale tego się nie da przetłumaczyć. Bo ludzie chcą pomagać. Wierzyć, że nakrętki mają magiczną moc. Bo one mają magiczną moc, ale tylko w wielkich ilościach. Tu działa efekt skali. Nie wymagajmy od każdego wiedzy ekonomicznej – jak w tym przypadku z liczeniem kosztów paliwa.. To jest nie do obliczenia przez zwykłą osobę bez specjalistycznego wykształcenia. I takie obliczanie wszystkiego zniechęcałoby do pomagania.

Efektywni i efektowni

Kilka dni temu Bill Gates, który wie sporo i o efektywności, i o pomaganiu, udostępnił na swojej stronie internetowej quiz dotyczący zmiany klimatu (www.gatesnotes.com/Energy/Climate-change-quiz – polecam!). Większość pytań dotyczyła najważniejszych źródeł emisji gazów cieplarnianych i skutecznych strategii jej redukcji. Ciekawie było się dowiedzieć, że gdyby

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

krowy były państwem, to zajmowałyby trzecie miejsce w emisji gazów cieplarnianych, ustępując tylko Chinom i USA. Albo że aż 2,5 mln kierowców musiałoby się przesiąść na elektryczne samochody, żeby przynieść redukcję emisji równą tej, jaką dałaby zamiana jednej elektrowni węglowej na atomową. W niezbyt korzystnym świetle stawia to zadowolonych z siebie „strażników ekologii" cicho sunących swoimi hybrydowymi autami na kolejny protest przeciw elektrowniom atomowym...

Z ostatniego pytania dowiedziałem się, że największą korzyść przyniósłbym środowisku, zaprzestając latania samolotem (rezygnacja z jednego lotu transatlantyckiego to aż dwa razy większa redukcja emisji niż cały rok niejedzenia mięsa!). Jakim cudem znalazłem czas, żeby rozwiązywać internetowe quizy? To proste. Czekałem akurat na odprawę na lotnisku, w drodze na bardzo ważną konferencję. Czy przyjmując kolejne zaproszenie, zadam sobie pytanie o skutki naukowych sympozjów dla zmian klimatycznych? A może wystarczy mi to, że – skuszony reklamą – zmieniłem żarówki w całym domu na „ekologiczne"?

Jak efektywne jest dobro, które czynimy? Czy to w ogóle właściwie zadane pytanie? Czy dobro powinno mierzyć się w złotówkach, kilogramach, metrach sześciennych? Może powinniśmy docenić i uwzględnić także wartość gestów i symboli, które – nawet jeżeli nie przynoszą wielkich korzyści ekonomicznych czy ekologicznych – to zmieniają naszą świadomość?

Stworzenie skutecznej organizacji charytatywnej (podobnie jak partii politycznej czy marki) wymaga zbudowania wokół niej systemu mitów i rytuałów. Słomka czy nakrętka dostarczają bezpośredniego poczucia sprawczości. Tworzą to, co marketingowcy nazywają „wezwaniem do działania". „Kup ten produkt", „kliknij tutaj" to odpowiednik „podziękuj za słomkę" czy „zachowaj nakrętkę". Coś, co możemy zrobić tu i teraz.

Wyraźnie zdefiniowane rytuały i ich materialne nośniki mają też największe i najbardziej rozpoznawalne akcje charytatywne w Polsce – Wielka Orkiestry Świątecznej Pomocy czy Szlachetna Paczka (której mitologia otrzymała ostatnio potężny cios). Dlatego ważne, by budować (i wspierać) kampanie, które łączą oba te wymiary: są skuteczne i inspirujące, maksymalnie sprawne i w sferze ekonomicznej, i mitologicznej.

Z drugiej strony nietrudno znaleźć przykłady, gdy symboliczne działania nie tyle motywują do większej uważności i czynienia dobra, ile właśnie kołyszą do snu nasze sumienia, dostarczając łatwych wymówek. Bo przecież „coś robimy".

W przypadku słomek czy nakrętek sprawa nie jest jeszcze tak bardzo skomplikowana. Tam przynajmniej nikt nie chce nas nabrać. Naprawdę ślisko robi się, kiedy do akcji wkraczają korporacje czy politycy. Bo czynienie dobra to dziś potężny segment rynku marketingu, PR i CSR (społecznej odpowiedzialności biznesu). Pomyślmy tylko o wszystkich firmach zachwalających swoje produkty jako ekologiczne czy zaangażowane w akcje charytatywne.

Czy korzystając z ich usług faktycznie czynimy dobro, czy może raczej w pakiecie z nowym samochodem, telefonem czy kawą kupujemy po prostu małą pigułkę do znieczulania sumienia? Czy firma z branży spożywczej z dumą ogłaszająca swoje zaangażowanie na rzecz poprawy świadomości dietetycznej albo zdrowego stylu życia nie przyniosłaby więcej dobra zmniejszając o 10 proc. ilość cukru w produkowanych przez siebie napojach lub jogurtach? Czy jedząc „produkty organiczne" naprawdę dbamy o środowisko, czy może tylko o własne samopoczucie, wykorzystując w dodatku ekonomiczne uprzywilejowanie, by odżywiać się lepiej niż ci, których nie stać na podobne luksusy? Albo czy nie nazbyt chętnie słuchamy polityków, którzy przekonują nas, że wciąż możemy spalać węgiel w gargantuicznych elektrociepłowniach, bo ich wpływ na środowisko będzie teraz równoważony przez kilka drzew posadzonych przez Lasy Państwowe?

Pomagamy, żeby poczuć się lepiej czy żeby zmienić świat na lepsze?

Uspokajamy wyrzuty sumienia czy przyjmujemy odpowiedzialność za świat, w którym żyjemy?

Czy potrafimy odróżnić, które działanie ma realny wpływ na otaczający nas świat, a które tylko pozwala nam się poczuć lepiej? Czy w ogóle zadajemy sobie to pytanie?

Wyzwanie nowoczesności

Za sprawą kolei, autostrad, samolotów i sieci światłowodowych nasze jednostkowe losy splotły się w przedziwny sposób z losami ludzi żyjących na przeciwnych krańcach globu, a nawet z losami całej planety. Piszę te słowa w Europie, na komputerze zaprojektowanym w USA, ale wykonanym gdzieś w azjatyckiej fabryce. Do jego produkcji – jeżeli wierzyć przerażającym doniesieniom – wykorzystano w dodatku rzadkie minerały pozyskiwane w Afryce przez ludzi będących współczesnymi niewolnikami.

Urodziwszy się w Polsce – jednym z najspokojniejszych i najzamożniejszych zakątków naszego globu – każdego dnia czerpię korzyści z globalnych nierówności. Urodziwszy się pod koniec epoki bezprecedensowego przyspieszenia technologicznego spowodowanego w sporej mierze rabunkową gospodarką opartą na nieumiarkowanym spalaniu paliw kopalnych, żyję na kredyt, który spłacić będą musiały moje dzieci i wnuki. Moje codzienne decyzje konsumenckie mogą zmienić życie miliardów obcych mi ludzi i zwierząt. Nic dziwnego, że wolałbym sobie tej presji nie uświadamiać.

Nasza decyzja podjęta w jednym miejscu i czasie może przynieść nieoczekiwany rezultat w innym punkcie globu. Te połączenia, rozciągające się na tysiące kilometrów czy dziesiątki lat, czasem bardzo trudno dostrzec. Stąd gąszcz sprzecznych wyjaśnień, w które wikłamy się pragnąc zrozumieć, jak właściwie działa otaczający nas świat (i akcje charytatywne, w których bierzemy udział).

Wobec globalnych procesów ekonomicznych czy ekologicznych każdy z nas jest ostatecznie bezbronny. W jaki sposób opanować poznawczo świat, który poddaje się naszemu zrozumieniu jedynie w malutkim wycinku? Jak w takim świecie działać skutecznie, a przede wszystkim – jak zachować poczucie sensu i sprawczości? Jak ocalić wiarę w to, że nasze działania mają w ogóle sens, że cokolwiek od nas zależy? A przecież to właśnie ta wiara przesądza o naszym człowieczeństwie, stanowiąc także niezbywalny warunek czynienia dobra.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *Bulwa*

Można z niemałą pewnością rzec, że pomiędzy zejściem człowieka z drzewa a zapewne rychłym bądź nieuchronnym wejściem nań z powrotem mózg jego – to znaczy człowieka – nie zmienił się ani się nie zmieni.

Jest to wciąż i będzie po wsze czasy ta sama bulwa o podejrzanym wyglądzie, zapachu i takoż smaku, pracująca od zawsze tak samo, na tym samym paliwie i na podstawie tych samych impulsów. Mało kto zdaje sobie sprawę, że ewolucja nie dobiła do mety i niby wiele jest jeszcze możliwe, zważywszy jednak na skład chemiczny tego urządzenia, jego urodę i konsystencję trudno mniemać, że przemieni się ono w coś mniej galaretowatego, mniej bulwiastego bądź to mniej szarego. Nie ma opcji – że użyjemy tego sformułowania, tak umiłowanego przez obnośnych sprzedawców czegokolwiek – że oto mózg ludzki zmieni się w połyskujący nowością dysk twardy z możliwością rozbudowy. Nie widać takoż, w żadnej perspektywie, by dało się bulwę zużytą wydłubać z czaszki, a na jej miejsce włożyć nową, zrobioną w fabryce bulw syntetycznych. Jest ona na zawsze przyczepiona do głowy, jakimiś wiotkimi niteczkami i węzełkami, na zawsze archaiczna, bez względu na to, czy dzięki jej funkcjonowaniu odkrywamy osobliwe zdolności krzemienia, czy konstruujemy rakietę wiozącą nas w wygodach na Merkurego. Bulwy wyrzucić się nie da i żyć z nią trzeba. Z jej kulawą percepcją, chyboczącym się poczuciem świadomości i tym podobnymi parametrami zahaczającymi o psychologię czy, pardon, filozofię.

Bulwa bez względu na okoliczności przez tysiąclecia dawała sobie radę. Rzecz jasna miewała kryzysy, gdy kazano jej, weźmy: patrzeć na budowę piramidy Cheopsa, ale przecież i dziś, gdy jest na wycieczce w Egipcie, nie ma bulwa z tą zdumiewającą nieruchomością łatwo. Wieża Babel, wieża Eiffla, krzywa wieża w Pizie, Pałac Kultury – wszystkie te budynki i dziś powodują kręcenie się w głowie. Bulwy oczywiście.

Zanurzenie na dłużej w wodzie bulwie szkodzi, wyniesienie jej za wysoko takoż, podniesienie wokół niej bądź to obniżenie temperatury zamienia ją w coś szalenie nieapetycznego, zważywszy, jak bardzo jest i tak nieapetyczna, będąc – dajmy na to – na rutynowym, poczciwym grzybobraniu, gdy to nie potrafi rozróżnić grzybka od podgrzybka. Warto też sobie uzmysłowić, w jak wąskim przedziale warunków fizykochemicznych bulwa pracuje. Ten przedział jest – między nami mówiąc – mikroprzedziałkiem, wziąwszy warunki wszechświatowe, ot, choćby pozaziemskie ciśnienia i temperatury, od których bulwie robi się szalenie niedobrze. W tymże wygodnym przedziałku, norce niemal, bulwa pojmuje, łapie zaledwie, że jest zimno, że za ciepło, za jasno, ciemno, że mokro albo sucho, ot tyle, i doprawdy niewiele więcej. Czasem chwyta, że coś jest głupie, a coś mądre. Ale rzadko, nie tak często, jak byśmy chcieli. Tak jest niejako od zawsze.

Tymczasem – tu i teraz – czas nie jest już bulwie przychylny. Dziubie ją szpikulcem – weźmy na to – telefon typu smart, do którego przeniósł się na stałe przedmiot zwany duszą. Owa, gdy mieszkała w bulwie, jakoś ułatwiała jej funkcjonowanie. Kazała jej, a to posiedzieć w świątyni, a to wykonać polecenie lipy, gdy ta szepcze „siądź pod mym liściem, a odpocznij sobie", i popróbować rozróżnić dobro od zła. Dziś oto bulwa nic nie wie. Nie wie, czy działa, czy nie, czy wokół jest ładnie, czy brzydko, co jest prawdziwe, a co fałszywe, a odróżnianie dojmującego zgłupienia od mądrości jej nie wychodzi, choć się stara. Zwraca więc swe modre oczy ku przeszłości, w której to wszystko takoż nie było łatwe, ale do ogarnięcia, choćby na poziomie podstawowym. Nie wie nawet, czy szczepienie szkodzi jej chorowaniu, czy mu sprzyja, choć wydaje się, że jest to temat tak prosty, że ze świecą szukać zadania łatwiejszego. Tematów, które bulwa odruchowo podejmuje, jest mnóstwo, coraz więcej, i każdy wydaje się jej ważny. Od tych zobowiązań bulwa mięknie i się dziurawi, by nie rzec: że się ementaleryzuje w tempie nieznanym w serowarstwie. Gdy ją zapytać: „O, bulwo ma, kto wygrał ostatnie wybory?" – nie wie. Bo niby skąd ma to wiedzieć? ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

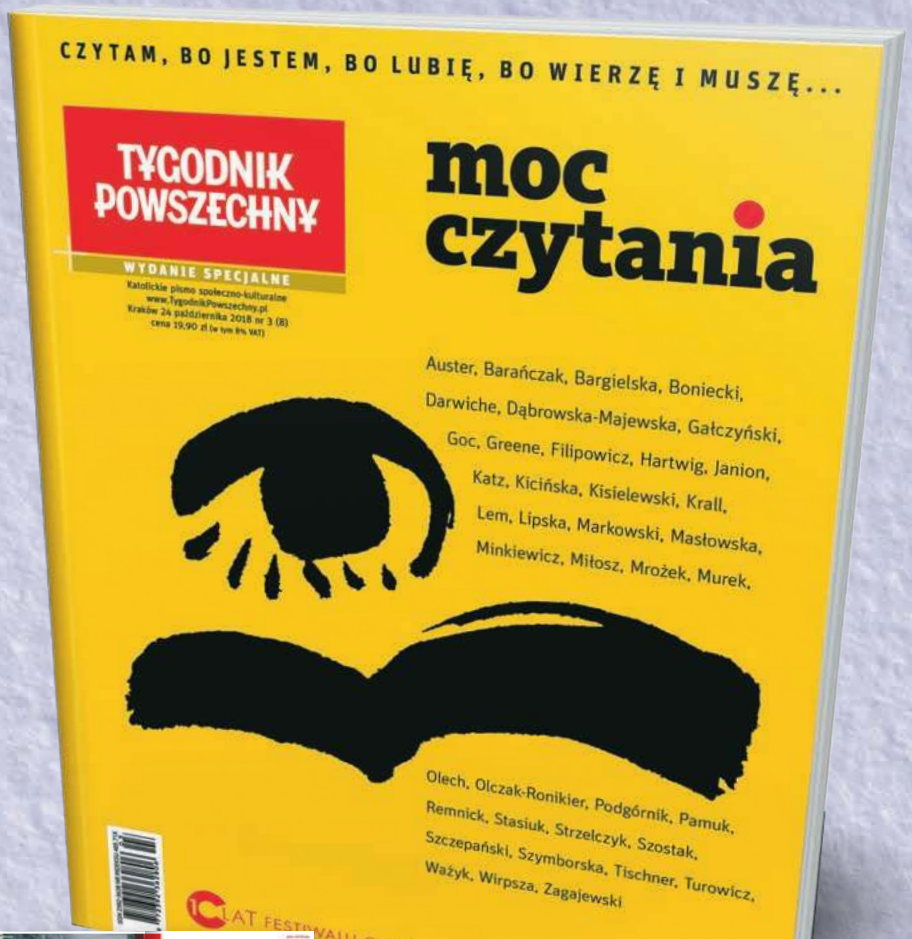

Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Masłowska, Miłosz, Mrożek, Murek, Olczak-Ronikier, Olech, Pamuk, Stasiuk, Szczepański, Szostak, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów? Weź, czytaj!

„Moc czytania"
już w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą

10 LAT | TYGODNIK POWSZECHNY | zawsze razem | CONRAD FESTIVAL

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator
Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl